

KSAWERY de MONTEPIN.

# PODPALACZKA

POWIEŚĆ W SZĘŚCIU TOMACH.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO

W. J.



*TOM II-gi.*



964

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni H. Olawskiego.

1891.

2



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Октября 1890 года.



I 1.571.393

1992W441/34a

Druk Jana Cotty, w Warszawie, Senatorska 29.





## TOM DRUGI.

### I.

Parowiec płynął szybko. Rozmowa trwała dalej.

— Jestem zamówiony przez inżyniera-mechanika z New-Jorku, Jana Mortimer — mówił Owidyusz.

— Jana Mortimera? — powtórzył były nadzorca.

— Znasz go?

— Z widzenia, tak, nieco. Sądzę, że to jest ów siwo-włosy jegomość, który płynie wraz z nami, w towarzystwie pięknej swej córki

Owidyusz rozśmiał się głośno, a uderzając w ramię mniemanego Pawła Harmant:

— A! zauważyłeś że piękna... ty, stary bałamucie! — zawołał — ha! ha! masz dobry gust jak widzę! Tak, w samej rzeczy jest to śliczna panienka, ładniejsza od twojej Piotrusi, nieprawdaż?

— Jakiej Piotrusi? — zapytał Jakób niezastanowiwszy się co mówi.

Owidyusz spojrział nań zdziwiony.

— Jakto, zapomniałeś o Piotrusi — rzekł — o tej Piotrusi która cię tyle kochała?

— Ach! — tak, Piotrusia — odpowiedział Garaud z przymuszonym uśmiechem; — nie myślę o niej. To tak stare dzieje!

— Stare? — nie bardzo — pomyślał Owidyusz. — Rzecz dziwna, iż on się zdaje o niczem nie pamiętać, ten mój kuzyn



Gdy mu się mówi o czemś z jego przeszłości, ma minę jakby oszołomionego. To dziwne, bardzo dziwne!

Z wyrazu twarzy swego towarzysza Jakób odgadł, że popełnił nową, a ważną nieroztropność. Spieszył więc zawiązać rozmowę, ażeby przerwać rozmyślania Owidyusza.

— Zatem — rzekł — jedziesz do New-Jorku, pracować u inżyniera Jana Mortimera?

— Zamówił mnie na lat trzy do robót, jako mechanika. Amerykanie nie warci Francuzów — ciągnął dalej paryżanin — mimo to, Jan Mortimer wynalazca, jak ty kuzynie, skombinował maszynę do giloszowania nowego systemu, jaka w niwecz obróci wszystkie dotąd znane.

— Maszynę do giloszowania? — powtórzył Jakób z najwyższym niepokojem.

— Tak, — powinieneś znać to na wskroś, ty, który lat tyle przy tem pracowałeś.

— W rzeczy samej, znam ja to dobrze...

— I ja zarówno, a ponieważ składałem wiele podobnych maszyn, inżynier Mortimer zgodził mnie z pensją pięciuset franków miesięcznie.

Były nadzorca zadumał głęboko.

— Jakiż to rodzaj maszyny do giloszowania, ów Amerykanin wynalazł — zapytał po chwili.

— Nic, nie wynalazł, udoskonalił jedynie.

— Radbym poznać urojone przezeń udoskonalenia. Czy wynalazł sposób giloszowania srebrnych okrągło-wypukłych powierzchni?

— Ha! ha! widocznie tyś zwaryował kuzynie! — zawołał Owidyusz, wybuchając śmiechem.

— Zwaryował, dlaczego?

— Maszyna do giloszowania okrągło-wypukłych powierzchni, wygiętych brzegów, posplatanych ozdób, ależ wiesz dobrze jako mechanik, że to jest niepodobnem.

— Rzecz trudna w istocie, ale nie nieprawdopodobna — odrzekł Garaud.



— Jakto?... sądzisz więc...

— Wszystko wynaleźć można.

— A więc, dokonaj tego wynalazku, a będziesz milionerem!

— Czy jest bogatym ten twój przyszły pryncypał? — pytał dalej Jakób.

— Bogaty, jak Bank Francuzki. Posiada warsztaty, jakich nikt nie ma w New-Jorku, licząc na udoskonaloną przez siebie maszynę, że ona to wszystko mu podwoi. A wiesz co tobie potrzeba kuzynie? — dodał po chwili.

— No, czegoż takiego?

— Wspólki z podobnem indywiduum. Masz dobre pomysły, jesteś zdolnym, pracowitym, mógłbyś zająć pierwsze miejsce w fabryce. Mortimer ma piękną córkę... wyposaży ją dobrze. A więc, kto wie? Tchórze jedynie giną z braku odwagi. Ach! — gdybym ja był panem jak ty!...

Mówiąc to Owidyusz do mniemanego Pawła Harmant, wpatrywał się weń podejrzliwie. W chwili tej, Jakób zdjąwszy kapelus, ocierał chustką czoło.

Były nadzorca pana Labroue, jak przypominają sobie czytelnicy, przy pomocy tynktury zmienił kolor włosów. Wiadomo, że farbowanie winno być często ponawianem z tej przyczyny, że wyrastające nowe włosy, przybierają od korzenia poprzednią swą barwę. Jakób od pięciu dni nie ponowił farbowania, skutkiem czego linia czerwonawa ukazała się pomiędzy skórą nad czołem i resztą włosów lśniaco-czarnych, Owidyusz posiadając wzrok bystry, za pierwszym rzutem oka spostrzegł tę niewłaściwość. Od włosów na głowie Jakóba, wzrok jego przeszedł ku brodzie, lecz nie odnalazł tu nic niewłaściwego. Twarz była czysto wygoloną, Garaud albowiem odbywał tę czynność co rano. Nieprzekonany tem jednak paryżanin, myślał:

— Do kroć tysięcy! coś się w tym kryje! Przysięgłbym że mój kuzyn ma farbowane włosy, a jednak gdym



go znał, był brunetem. Co to wszystko znaczy? Jest w tem coś podejrzanego, wyświecić to trzeba.

Jakób stał w zamyśleniu, rozmowa wydała mu się być już nazbyt długą.

— No! mój kuzynie — rzekł — zobaczymy się później; tu podał rękę Owidyuszowi Soliveau.

— Jakto, w ten sposób się rozejdziemy? — pytał ów ostatni; — to nazbyt obojętnie i zimno. Należałoby przecie coś wypić. Mnie nie wolno wchodzić do bufetu „pierwszej.“ Lecz tobie nikt nie zabroni przyjść do naszej budy. Dalej więc, chodźmy, porzuć to udawanie wielkiego pana.

— Zgoda! — rzekł Garaud, nie chcąc odmówić. — Tu paryżanin ująwszy pod rękę swego mniemanego kuzyna, zaprowadził go do bufetu.

Rozmowa nie była długą. Wychylili obaj butelkę wina Bordeaux, poczem Jakób odszedł tłumacząc się obiadową godziną.

— Stawiłem czoło niebezpieczeństwu — rzekł, wróciwszy do swej kajuty — sędzę jednakże, iż zredziło się powątpiewanie o mej tożsamości w umyśle tego człowieka. Starać się trzeba przywiązać go do siebie, wszelkimi możliwymi sposobami. Ach! gdybym zdołał trzymać go na wodzy i kierować nim według mej woli! I wszedł do salonu w którym znajdował się jak zwykle Jan Mortimer z swą córką jasnowłosą Noemi.

Jednocześnie Owidyusz rozważał. Nie omylił się były nadzorca dostrzegłszy w nim powątpiewanie. Wątpliwości te jednak, a raczej podejrzenia były jeszcze słabemi, lecz mogły wzmódz się, i wzrosnąć, grożąc niebezpieczeństwem. Ów dziłończyk zmieniony w paryżanina, znalazł dwa punkta szczególnie dającemi do myślenia, mianowicie: dziwny brak pamięci u swego kuzyna Pawła Harmant i przyfarbowane włosy.

— Ach! do pioruna! — wyszepnął, przechadzając się wielkimi krokami z cygarem w ustach po pokładzie; — dyabelnie się zmienił ten ów mój kuzyn! Na honor! dziwnie on jakoś wygląda! Jak mógł zapomnieć, że ja jestem mechani-



kiem, skoro kiedyś pracowaliśmy razem? Jak również zapomnieć mógł o Piotrusi, która tyle głupstw popełniła dla niego?

I farbuję się przytem jeszcze! Ma rude włosy pod czarnemi, widziałem to dobrze!

— No! A gdyby to nie był mój kuzyn? — wyszeptał po chwili milczenia — gdyby to była osobistość przywłaszczająca sobie nazwisko Pawła Harmant o jakim mówiono, że umarł?

Tu przerwał, zgasił cygaro i stanął w zamyśleniu.

— Co jednak mogłoby go skłaniać ku temu? ot czego zrozumieć nie mogę. Być może iż ja się mylę. Chciałbym wszelako w obszerniejszą rozmowę wprowadzić tego parafianina. Ma minę tajemniczą która nie podoba mi się bynajmniej. Zrobił majątek w ciągu lat sześciu. Rzecz zdumiewająca! Trafią się to niekiedy, lecz bardzo rzadko. Zbadać to muszę. Trzeba umieć korzystać ze sposobności jaka się nadarza. Tu uciał i wzrok jego zdawał się jak gdyby szukać kogoś na pokładzie. Nagle zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie około sześćdziesięciu lat mieć mogącym, przechadzającym się po pokładzie z przewieszoną przez ramię torebką skórzaną na zamek zamkniętą.

— Otóż i upragniona sposobność — mruknął Owidyusz, rzucając na ową torebkę spojrzenie pełne chciwości. — Widziałem ładunek tej torby. Jest tam w jej wnętrzu najmniej sześćdziesiąt tysięcy franków w złocie i biletach bankowych. Wystarczy nóż ostry aby przeciąć rzemienie, wydobyć z torby zawartość i próżną rzucić w morze. Ha! gdyby udała się operacya, kończył wsparty o pomost, podróżowałbym pierwszą klasą, palił cygara po sześćdziesiąt centymów, i miałbym ubranie z szykiem skrojone przez pierwszego krawca, jak mój kuzyn Harmant. Och ty... ty pokuso, jakże ty łatwo zdołasz owikłać człowieka! Jednocześnie właściciel torebki przeszedł koło Owidyusza, który drgnął chciwością na widok jego, lecz nie poruszył się z miejsca.

\*

\*

\*



II.

Powiódłszy wzrokiem za nieznanym, Soliveau zapalił nowe cygaro.

— Ciekawym — rzekł — coby uczynił mój kuzyn spotkawszy podobną sposobność? Pytanie, czy wynalazek przyniósł mu taki majątek? To mówiąc, palił cygaro, przechadzając się dalej.

Nagle przystanął w pobliżu dwóch osób rozmawiających pół głosem, na uboczu okrętu. Byli to: Kanadyjczyk o bronzowej twarzy, ubrany w krajowy swój kostyum, i młody około lat dwudziestu pięciu mieć mogący mężczyzna. Kanadyjczyk zdawał się już być w poważnym wieku, znamionowały to siwiejące włosy i policzki wklęsłe, pokryte zmarszczkami. Oczy jego płonęły blaskiem gorączkowym, a całe ciało drgało jak gdyby wstrząsane konwulsyjnym dreszczem. Trzymał w rękę fiakon napelniony płynem złotego koloru.

Ów drugi mężczyzna, młody lekarz francuzki jadący zdobyć fortunę w Ameryce, mówił do Kanadyjczyka:

— Jesteś więc pan dręczonym przez febrę od lat sześciu, i nie posiadasz innego środka na jej pokonanie jak tylko ten napój?

— Tak — odparł Indyanin we francuzkim języku, który mieszkańcy Kanady dobrze posiadają; — temu to płynowi zawdzięczam, iż żyję. Skoro powiększa się febra biorę pięć lub sześć kropel tego eliksiru i atak przemija, zmniejsza się osłabienie.

— Jakiż to płyn, z czego się składa?

— Jest to odwar z rośliny rosnącej w naszych górach.

— Znaną jest panu nazwa tej rośliny? — pytał doktor.

— W ojczystym moim języku jedynie.

— Płyn ten jak się nazywa?

— Ma on kilka nazwisk, pomiędzy innemi zowią go: „Liekierem prawdy.“



— Likier prawdy? — powtórzył młody lekarz — cóż to za szczególna nazwa?

— Oznacza to jedną z własności odwaru tej rośliny.

— Jakąż? ciekawym.

— Jeżeli się wypije łyżeczkę tego wyciągu zmieszana z jakimkolwiek napojem, winem, piwem, lub wódką, podnieca on działanie mózgu, prowadząc do chwilowego obłądu, trwającego krócej lub dłużej, niekiedy kilka minut tylko, a czasem godzinę. Owładnięty tym paroksyzmem uczuwa konieczność wyznania swojej przeszłości, wypowiedania najskrytszych swych myśli; gdy zaś ów płyn działać przestanie, o wszystkim się zapomina. W naszym kraju człowiekowi, który w ważnej jakiej okoliczności nie chce wyznać prawdy, wlewają w usta łyżeczkę tego napoju. Pochwycony szaleń, mówi bezwiednie i wyznaje kłamstwo, swój błąd, lub zbrodnię. Oto, dlaczego ten płyn nazwano „Likierem prawdy.“

— Zaiscie, to bardzo ciekawe! — rzekł młody doktor.

Owidyusz Soliveau słuchał z uwagą tej całej rozmowy, nie tracąc z niej słowa.

— Do króć tysięcy! — wyszepnął — bardzo ciekawe, ale nie nowe. I ja znam napój podobny, używany na bulwarach. Gdybym miał jednak ów płyn dałbym go wypić kuzynowi; wyjaśniłby mi on może natenczas dla czego jego włosy zmieniły swą barwę, i opowiedziałby jakim sposobem zrobił majątek. Bądź co bądź, muszę poznać przeszłość, owego Pawła Harmant i zbadać co kryje na sercu.

Obaj mężczyźni ciągnęli dalej pogadankę. Owidyusz słuchał z uwagą. Kanadyjczyk zaczął na nowo:

— „Likier prawdy“ posiada jeszcze inne nader znakomite przymioty.

— Jakież? — pytał doktor.

— Nalany na ranę, goi ją w oka mgnieniu. Widziałem sam drwalów i myśliwych ukąszonych przez jadowite węże a uzdrowionych kilkoma kroplami tego płynu, gdy zwilżono nim ranę.



— Ależ to cudowne, uniwersalne lekarstwo! — zawołał doktor, śmiejąc się z niedowierzaniem.

— Nie żartuj pan — odparł Kanadyjczyk poważnie; — mówię prawdę, o której możesz się pan przekonać.

— Jakim sposobom?

— Dokonawszy próby.

— Chcąc zrobić próbę, trzeba mieć płyn. Udzielisz mi go pan choć w małej cząsteczce?

— Niepodobna! Mam tyle zaledwie, ile dla mnie samego wystarczy.

— Radbym jednak zanalizować ów dziwny medykament. Gdzie mógłbym go dostać, powiedz mi proszę.

— Jedziesz pan do New-Jorku? — zapytał Indianin.

— Tak.

— A zatem pisz pan co ci podyktuję.

Młody lekarz wyjął z kieszeni notatnik, ołówek i był gotowym do pisania.

Owidyusz przysłuchiwał się chciwie.

— New-Jork. Chuchillino. Nr. 24, dyktował Kanadyjczyk.

— Co to jest Chuchillino?

— Współziomek mój, który opuścił Kanadę aby handlować w New-Jorku. Sprowadził on z naszych gór ów słynny „Likier prawdy“ i sprzedaje go na wagę złota. Każe zapłacić panu piętnaście dolarów za flakon takiej jak ten objętości, uprzedzam.

— Ależ to niesłychanie drogo, kupię go jednak, pragnę bowiem posiadać ów płyn.

Owidyusz zapisywał w pugilaresie adres podany.

— I ja kupię go również — rzekł. — Dałbym sześćdziesiąt pięć franków najchętniej abym mógł szanownemu kuzynowi mojemu udzielić łyżeczkę tego eliksiru, a tym sposobem rozwiązać mu język i wiedzieć to co ukrywa przedemną.



Uderzenie dzwonu oznajmiło godzinę obiadową dla pasażerów klas obu. Kanadyjczyk i doktor powstali z miejsc, udając się na pomost. Owidyusz poszedł za nimi.

Podczas gdy się to działo na przodzie okrętu „Lorda Majora,” Jakób Garaud wszedłszy do salonu znalazł sposobność do pomówienia z Noemi Mortimer, córką inżyniera.

Skutkiem posłyszanych od Owidyusza szczegółów, zapragnął wejść w bliższą znajomość z Janem Mortimer, pałał albowiem chęcią poznania ulepszeń zastosowanych przez tegoż w maszynie do giloszowania. Były nadzorca, ów złodziej, podpalacz i morderca, marzył obecnie nie tylko o wielkim majątku, ale i o wysokim przemysłowem dla siebie stanowisku. Ukryta ambicya wzmagala się w nim z przerażającą szybkością.

— Jestem — mówił — na drodze do zdobycia wielkiej fortuny, nie zatrzymam się na tem! Będę dążył pewnym przyspieszonym krokiem do celu.

Pieniądze jakie ukradł, niczem już były dlań teraz. Co znaczyło dwieście tysięcy franków? On potrzebował milionów, i mieć je postanowił, traf jednak tym razem nie przychodził mu jakoś z pomocą. W salonie gdy Jan Mortimer rozmawiał z kilkoma znanymi sobie amerykańskimi, jasnowłosa Noemi siedła do fortepianu.

Młode dziewczę studjowało motywa z operetki, wielką natenczas wziętość mającej w Paryżu.

Jakób, amator widowisk, widział dwukrotnie tę operetkę, a posiadając słuch muzyczny umiał na pamięć wszystkie prawie z niej arye. Z upodobaniem przeto przysiadłszy w pobliżu fortepianu wsłuchiwał się w melodye.

Noemi spostrzegła, iż od pewnego czasu ów podróżny z niezwykłym wpatrywał się w nią zajęciem. Widząc w nim dżentelmena, podróżującego pierwszą klasą, pełnego szlachetności, nie obrażała się owem dyskretnem dla siebie uwielbieniem.



Nie gniewało ją ono bynajmniej, a jako nieodrodna córka Ewy, być może iż znajdowała w tem nawet przyjemność. Spostrzegłszy Jakóba słuchającego z uwagą muzyki, zarumieniła się z lekka, co ją jeszcze piękniejszą czyniło i nie przerywała gry wcale. Po skończonych motywach, Garaud zbliżył się do uroczej pianistki.

— Poznaje — rzekł — iż pani zamieszkiwałaś we Francyi, a nie tylko we Francyi, ale w Paryżu.

Dziewczę spojrzało swemi pięknymi błękitnymi oczyma na osobistość, która poważyła się poczynić z nią rozmowę bez poprzedniego przedstawienia, jak to było w zwyczaju. Nie okazując jednak zdziwienia, głosem łagodnym zapytała pół uśmiechnięta:

— Zkąd to pan odgadujesz, radabym wiedzieć?

— Inaczej nie zdołałabyś pani oddać owej muzyki w sposób tak żywy, tak pociągający, gdybyś jej pani nie słyszała w Paryżu, w teatrze dla którego ułożoną została. Odnajduję w niej wspomnienia mego ukochanego kraju.

— A! pan jesteś francuzem?

— Tak pani.

— Zatem odgadłeś pan. Słyszałam tę muzykę w teatrze „Bouffes“ w Paryżu.

— Posiadasz pani zadziwiającą pamięć.

— Jeżeli mi się coś podoba, tak; a wiele rzeczy podobało mi się we Francyi.

### III.

— Jak długo mieszkałaś pani w Paryżu? — pytał dalej Jakób Garaud.

— Trzy miesiące tylko — odpowiedziała Noemi. — Zaledwie zdołałam zwiedzić piękniejsze gmachy i muzea w tem mieście. Rada byłabym przepędzić tam rok przynajmniej, niepodobna było jednakże mojemu ojcu zadość mi uczynić



w tym względzie. Interesa wzywały go do New-Jorku, gdzie wracam wbrew moim chęciom, po tej zbyt krótkiej podróży.

— Pojmuję panią w zupełności, mimo, iż sam opuściłem Paryż bez żalu.

— Ależ pan nie na zawsze wydalasz się z Francji?

— Nie na zawsze... być może. Na przeciąg jednakże czasu, jakiego teraz oznaczyć mi nie podobna, a który jak mniemam, przeciągnie się dość długo. Ja również jadę do New-Jorku.

— Masz pan tam rodziców, lub krewnych?

— Nikogo.

— Przyjaciół być może?

— Nikogo ze znajomych nawet.

— Tak? — rzekło młode dziewczę w zamyśleniu.

— Jestem mechanikiem z powołania — mówił dalej Ga-  
raud — pragnę odbywać studia w fabrykach słynnych wynalazkami, a przedewszystkiem w domu Mortimera.

— Mówisz pan o domu Jana Mortimer — pytała z uśmiechem Noemi.

— Tak pani, o domu Jana Mortimera, którego kierownik posiada w Europie sławę genialnego człowieka.

— Czy znasz pan tego, któremu taką chwałę przyznajesz?

— Nie pani; z kąd mógłbym go znać, jadąc po raz pierwszy do Ameryki — odrzekł były nadzorca z pozorem zupełnej obojętności.

— I zamiarem jest pańskim udać się do niego po przybyciu do New-Jorku?

— Tak, pierwsza ma wizyta tam będzie. Usprawiedliwi mnie miano, mam nadzieję, kornego współpracownika tego wielkiego człowieka; prosić go będę aby mi się pozwolił odwiedzać, jako wielbicielowi pragnącemu podziwiać i uczyć się w jego sławnych warsztatach.

— Zatem — ciągnęło młode dziewczę z uśmiechem, — byłoby panu przyjemnie bez wątpienia zostać przedstawionym



Janowi Mortimer, „wprowadzonym“ jak my to nazywamy amerykanie?

— Nic bardziej upragnionego, przyznaję. Uniknąłbym bowiem owej kłopotliwej prezentacyi według reguł.

— Pojmuję. Upewniam pana, że ów Jan Mortimer gorąco kocha francuzów.

— Jesteś pani pewną?

— Najzupełniej — i jeśli pan zechcesz, ofiaruję się być pańską przewodniczką.

— Przyjmuję, z gorącą wdzięcznością przyjmuję! — wołał Garaud.—Znasz go więc pani?

— Doskonale, i kocham go z całego serca. Jest to mój ojciec, panie.

Ostatnie te słowa, jak to odgadują czytelnicy, wywarły przygotowane wrażenie. Mniemany Paweł Harmant okazał zdumienie jak najdoskonalszy komedjant.

— On... ojcem pani?!—zawołał.—Ach, jakaż niespodzianka! któżby mógł przewidzieć? gdybym był o tem wiedział!...

— Byłbyś pan mówił inaczej może o moim ojcu...—zawołała, śmiejąc się, Noemi.

— O nie, bynajmniej, ponieważ moje słowa wyrażały w zupełności powzięte przekonanie.

— A więc z upewnieniem o pańskiej żywej sympatyi dla mego ojca, przedstawię mu ciebie.

— Będę najszczęśliwszym z ludzi, błogosławiąc los, jaki sprowadził to nieprzewidziane zbliżenie — mówił z udanem przejęciem się Garaud.

— Proszę o wymienienie nazwiska.

— Paweł Harmant.

— Pójdź pan zemną.

Tu Noemi, wstawszy od fortepianu, zbliżyła się z idącym po za sobą Jakóbem ku Janowi Mortimer, zagłębionemu w rozmowie z amerykanami.

— Wybaczcie, panowie, że przerywam pogadankę — wyrzekła—lecz pragnę ci, mój ojczy, przedstawić kogoś...



— Kogo?—zapytał Mortimer z lekkim zdziwieniem.

— Kogoś, co jedzie z Francji do New-Jorku wyłącznie po to, aby ciebie poznać bliżej. Traf zrządził, iż ten pan, nie znając mnie, wyjaśnił mi cel swojej wyprawy; sądzę więc, że nie należy dozwolić mu podróżować bez zbliżenia go ku osobie, którą tak wysoko poważa i ceni. A zatem pozwól mi, ojcze, przedstawić sobie pana Pawła Harmant, mechanika, jak ty.

Jan Mortimer podszedł ku Jakóbowi.

— Witam pana—rzekł—całem sercem, jako obywatela wielkiego kraju, którego jesteś przedstawicielem i dla którego gorące żywię współczucie. Jesteś mechanikiem jak ja, zechciej więc podać mi swą rękę.

— Ten zaszczyt dumnym mnie czyni! Dobrotliwość pańskiego przyjęcia wzrusza mnie do głębi! — zawołał Jakób Garaud, ściskając podaną sobie rękę inżyniera.

— Odtąd jesteśmy dla siebie starymi znajomymi—mówił Mortimer—porzućmy, proszę, wszelkie ceremonje. Przedstawiam pana jednemu z najpotężniejszych finansistów Ameryki, Ryszardowi Dawidson, bankierowi, przyjacielowi mojemu.

— Do usług pańskich — rzekł bankier. — W czem tylko zdołam być panu użytecznym, gotów jestem na jego rozkazy.

Były nadzorca odpowiedział podziękowaniem. Wszyscy razem usiedli. Noemi wróciła do fortepianu.

— Jeśli dobrze zrozumiałem mą córkę — wyrzekł Mortimer, zwracając się do Jakóba—pan jedziesz do New-Jorku celem poznania się zemną?

— Tak jest, w rzeczy samej. Mając zamiar otwarcia we Francji fabrykę modeli, podróżuję w zamiarze zwiedzenia słynniejszych zakładów przemysłowych; pańskie warsztaty zostały mi przedstawione jako nieporównane pod każdym względem, chciałem więc uzyskać od pana pozwolenie na zwiedzenie takowych.

— Chętnie je panu udzielam — odrzekł Mortimer—będziesz je zwiedzał i studyował do woli. Moje warsztaty—mówił dalej — miłość własna nakazuje mi się z tem pochwalić, są





pierwszemi w świecie, a zostały zbudowane jedynie dla mechaniki przemysłowej.

— Dla tej, jaka najwięcej przynosi korzyści, a którą nieco rozumiem—przerwał Garaud.

— Jest ona korzystną w rzeczy samej—mówił inżynier;—udoskonalone przezemnie maszyny do szycia przyniosły mi znaczne zyski.

— Znam pańskie maszyny do szycia, studjowałem je nawet—odrzekł były nadzorca.

— Znalazłeś w nich jakie braki, być może?

— Pozwolisz mi pan być szczerym?

— Bezwątpienia. Lubię szczerłość, chociażby ona nawet chwilowo przykrą być miała.—Nie mam pretensyi do nieomyślności i wiem, że udoskonalanie nie jest jeszcze doskonałością.

— Mechanizm w nich jest bez zarzutu — rzekł Jakób.—Zrobiłbym jednak uwagę, że pańskie maszyny do szycia ulegają zbyt gwałtownym drżeniom i ruchom hałaśliwym, nużąc tak tych, którzy są je zmuszeni poruszać, jak i tych, co słyszą.

— Chciałbyś pan więc otrzymać milezącą maszynę do szycia?—pytał Mortimer.

— Tak.

— Otóż, czego ja od lat pięciu szukam nadaremnie.

— Żle pan szukałeś.

— Miałżebyś coś odnaleźć w tym względzie?

— Być może.

— W teorii...

— Tak, lecz obok tego mam pewność. Uważasz pan, pewność, że z teorii łatwo mi będzie przejść do praktyki...

— Nie byłoby niedyskretuem z mej strony zapytać pana, w jaki sposób?—ciągnął zaciekawiony Mortimer.

— Bynajmniej; jestem szczęśliwym, mogąc porozmawiać o pańskim wynalazku i zwrócić jego uwagę na punkt jeden, który mi się wydaje być rzeczą najprostszą w świecie.

— Najprostszą?—powtórzył inżynier.

— Ależ tak!



— Wytłumacz mi to jaśniej, proszę.

— Mały rysunek objaśni tę rzecz lepiej, niż wszelkie inne wykłady.

Tu mniemany Paweł Harmant, dobywszy z kieszeni notatnik, otworzył go i zaczął rysować szybko różne zwroty maszyny do szycia, udoskonalonej przez Mortimera, na co tenże patrzył ze zdumieniem. Rzuty ołówka byłego nadzorca w podziw go wprawiały. Bankier Ryszard Dawidson i Noemi zdumiewali się również zdołaniem francuza.

— Oto najściślejszy plan pańskiej maszyny, nieprawdaż?—zapytał Jakób.

— Tak, zupełnie dokładny.

— Zatem uważaj pan na moje objaśnienia, proszę.

Tu Garaud, z wyjątkową jasnością i zdolnością praktycznego mechanika, wskazywał, że wystarczy wprowadzić w mechanizmie kilka drobnych zmian, aby maszynę doprowadzić do zupełnej doskonałości.

Mortimer, głęboko zainteresowany tem, co słyszał, śledził z uwagą udzielane sobie objaśnienia.

— Kochany kolego—zawołał, gdy Jakób ukończył swoje wskazówki—jesteś człowiekiem genialnym! Twoja teoria jest cudowną. Stworzysz maszynę do szycia ostatecznie we wszelkich szczegółach udoskonaloną, którą będziesz mógł nazwać „milczącą.“

— Maszyna — wyrzekł z powagą Garaud — będzie nosiła pańskie nazwisko. Upoważniam pana do jej eksploatacyi, zobowiązując się nie mieć nigdy najmniejszej pretensyi co do udzielonych pomysłów.

— Tego ja nie przyjmuję!—zawołał Mortimer.

— Dlaczego?

— Ponieważ wraz z ustąpieniem mi swego pomysłu ustępujesz mi pan ogromną sumę, jaką maszyna przynieść może.

\*

\*

\*



IV.

— Ogromną sumę? — powtórzył Jakób z uśmiechem. — Zdaje mi się, że pan przesadzasz nieco; przypuściwszy wszelako, iż tak jest, nie cofam słowa, jakie wyrzekłem przed chwilą.

— Oto uprzejmy człowiek i pewny siebie — pomyślał Mortimer — wybornego odnalazłbym w nim współnika! Dom, jakim rządilibyśmy razem, nie obawiałby się współzawodnictwa.

Mniemany Paweł Harmant obserwował ukradkiem amerykańczyka; czytał na jego fizyognomii część ukrytych myśli.

— Nie nalegaj daremnie, kolego — zaczął po chwili Mortimer. — Nie mogę przyjąć twojej ofiary, jak chyba w jednym wypadku...

— W jakim?

— Iż razem wspólnie eksploatować będziemy maszynę do szycia, udoskonaloną przez ciebie i skompletowaną.

Były nadzorca potrząsnął głową.

— Wdzięcznym za propozycję — rzekł — mam wszakże inne zamiary.

— Odmawiasz zatem?

— Tak.

— Dlaczego?

— Na co przyda się spółka w tak drobnej rzeczy? Nie wiem zresztą, czy pozostanę w Ameryce.

— Zmieniłeś więc pan postanowienie? — odezwała się Noemi. — Przed pięcioma minutami mówiłeś, iż spodziewasz się zostać tam dłużej?

— Tak, w rzeczy samej, miałem ten projekt, urzeczywistnienie go jednakże zależy od wielu okoliczności. Zajmuję się wielką pracą, mogącą mi przynieść znakomite rezultaty. Po ukończeniu studyów w mechanice amerykańskiej, zobaczę dopiero, czyli wypadnie mi osiedlić się w New-Jorku lub wradę do Francji.



— Masz więc pan zamiar otworzyć warsztaty w Ameryce?—pytał żywo Mortimer, obawiając się spotkać niebezpiecznego konkurenta w owym francuzie, w którym odkrył cenne mechaniczne zdolności.

— Czemu nie? gdyby wypadło...

— Chodziłoby więc panu natenczas o eksploatację nowego jakiegoś wynalazku?

— Tak—wynalazku, jaki nie ma najmniejszej łączności z maszyną do szycia — wynalazku maszyny do giloszowania—dodał, wygłaszając zwolna sylaby; powiadomiony bowiem o szczegółach przez Owidyusza Soliveau, postanowił w przemyśłowca stanowczym ciosem uderzyć.

Słyszając o maszynach do giloszowania, Mortimer zdrzął widocznie; mniemany Paweł Harmant zachował się obojętnie, udając, że tego nie spostrzega.

— Ja również—wyrzekł Mortimer po chwili—zajmowałem się tem nieco; nie ma tam jednak nic do poprawy; maszyny genewskie są doskonałemi.

— Do giloszowania płaskich powierzchni zapewne—odparł Jakób. — To jednak jest nic nieznaczącem, potrzebują one ni zbędnie ulepszenia.

Amerikanin uczuł, iż zimny pot wilży mu skronie.

— Miałżeby on powziąć tę samą, co ja ideę?—pomyślał.

Sądzisz pan zatem—dodał, zebrawszy odwagę — iż możebnem byłoby otrzymać maszynę do giloszowania odwróconych brzołów i krzywych powierzchni?—pytał niespokojnie.

— Jestem tego pewny.

Mortimer zbladł.

— I pan to odnalazłeś? — pytał dźwiękiem głosem.

— Odnalazłem — rzekł obojętnie — mam już plany, wykończone rysunki. Proszę pana, niech mi je posłać do odlewni mojej. Proszę pana, powiedzić panu prosiłbym, aby mógł osiedlić się na stałe w Genewie.



oraz innych, których mam gotowe projekta, lub wracać do Francji.

Trupia bladeść pokryła oblicze amerykańcina; stał się siny prawie.

— Otóż i współzawodnik — pomyślał sobie — najniebezpieczniejszy, jakiego można sobie wyobrazić, konkurent, który na niezliczone straty narazić mnie może. Trzeba cios odbić, nie tracąc chwili i pogębienie w tryumf zamienić.

— Pozwolisz mi, kochany kolego — pytał, przybierając siłą woli przytomność — pomówić z sobą otwarcie?

— Nie tylko pozwalam, lecz proszę o to — rzekł Garaud.

— Jeśli nie ludzisz się, w co wierzę, ponieważ dałeś mi dowód głębokiej swej wiedzy, toś posiadał wynalazek, który ci w krótkim czasie przynieść może kolosalny majątek. Przybywasz jednak do New-Jorku, gdzie nie znasz nikogo. Będziesz zmuszonym nawykać do naszych obyczajów i sposobów życia. Trzeba ci będzie utworzyć sobie fabrykę, urządzać warsztaty, co ci zabierze wiele czasu i szalone sumy pochłonie.

— Bezwątpienia, lecz można uniknąć tego?

— Można.

— W jaki sposób?

— Zaraz cię objaśnię; — posłuchaj propozycji. Zostań moim współnikiem, przyjmij zarząd nad warsztatami. U mnie możesz bezzwłocznie przystąpić do dzieła i zbudować jednocześnie „mleczącą“, oraz maszynę do giloszowania. Za przybyciem do New-Jorku podpiszemy kontrakt spółki na pięć lat. Ja będę ci połowę dochodów z mojej fabryki, na którą przysłałem ci czek, warty pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To jest przyjaciel bankiera Dawidsona, pla-

— zaczął Jakób, nie chcąc przy-  
— przy-  
— przy-

— przemówiła tkliwie  
— ci spojrzeń. Nie



Tak na przodzie jak w tyle statku zebrało się mnóstwo osób. Były nadzorca przebiwszy tłum, dojrzał w nim Owidyusza Soliveau.

V.

Jakób Garaud, podchodząc do Owidyusza, nagle zatrzymał się w miejscu.

Soliveau stał po za mężczyzną w podeszłym wieku. Ostrze noża, jakie skryć usiłował, błysnęło mu w prawym ręku. Zachowanie się paryżanina zwróciło uwagę Jakóba, który w nim utkwił spojrzenie. Owidyusz wyciągnął lewą rękę ku okryciu pasażera, jakie ten miał zarzucone na sobie, i uniósł z lekka ku górze brzeg tegoż. Dojrzał natenczas Jakób torebkę skózaną, zawieszoną na rzemieniu przez ramię podróżnego. Soliveau czując się być osłoniętym przez grupę osób zapatrzonych w nadpływający okręt, podniósł prawą rękę. Ostrze stało błysnęło.

Starzec poruszył się, a jednocześnie paryżanin spuściwszy brzeg jego okrycia cofnął się w tył.

Jakób Garaud zrozumiał w jednej chwili co zaszło.

— Do czarta — szepnął — mój kuzyn Soliveau jak widzę, celuje na raz kilkoma strzałami. Obok rzemiosła mechanika, uprawia rzemiosło złodzieja! Chce zdobyć torebkę tego dobrodusznego starca, który ani się domyśla zasadzki.

I mniemany Paweł Harmant zmarszczywszy brwi, uczuł dreszcz, przebiegający mu po ciele.

— Do pioruna! — szepnął z przestraczem, gdyby schwytny został na tej kradzieży, przytrzymanoby go, a wtedy mną by się zasnania! Piękna rzecz, zostać kuzynem złodzieja! Nie poprawiłoby to mej sytuacji wobec Jana Mortimera. Przeszkodzić trzeba tak nikczemnemu zamiarowi. Tu postąpiwszy naprzód zatrzymał się. Inna myśl mu zabłysła.



— Trzymam go! — zawołał, — traf nasunął mi sposób, jakiego daremnie szukałem podczas nocy w mej głowie. Ów błazen zostaje odtąd w moim ręku.

I krocząc zwolna, znalazł się wkrótce naprzeciw Owidyusza Soliveau.

Dwa okręty krzyżowały się z sobą w tej chwili.

Na szczycie masztu nadpływającego statku powiewała trójkolorowa flaga.

Zawołał głos jakiś:

— Szczęśliwej podróży... Szczęśliwej.

Wszystkie głowy na raz się odkryły, wszystkich ręce podniosły się w górę.

— Szczęśliwej podróży—wykrzyknęło na raz sto głosów.

Pasażerowie francuzkiego okrętu, odpowiedzieli podobniemi okrzykami, i oba statki popłynęły w swą drogę, oddalając się z równą szybkością z jaką się zbliżały ku sobie.

Ów starzec, właściciel torebki śledzonej przez Owidyusza był jednym z najzapalczywiej witających.

Poruszał frenetycznie kapeluszem. Wpatrzony w niego paryżanin oczekiwał przyjaznej chwili, i umknąć jej nie dał.

Podczas gdy ów sędziwy pasażer podniósł rękę w górę, wołając na całe gardło. „Szczęśliwej podróży.“ Soliveau wsunął lewą rękę pod jego okrycie, następnie prawą przyłączył do lewej. Ostrze noża przecięło rzemień, i w sekundę później torebka zmieniawszy właściciela znalazła się pod paltem Owidyusza, który wykręciwszy się na pięcie, zetknął się oko w oko z Jakóbem Garaud.

Mniemany Paweł Harmant, nieruchomy, ze zmarszczonym czołem, miną ponurą i surową, spuścił nagle rękę na ramię mechanika, i jednocześnie stłumionym głosem rzucił mu te słowa:

— Coś ty uczynił, złodzieju?

Owidyusz zachwiał się i zbladł.

— He... co? co mówisz kuzynie? — pytał zmieszany.



13  
Garaud, chwyciwszy go za rękę, pociągnął w osamotniony kąt okrętu.

— Mówię — zaczął z zaciśniętymi zębami — mówię ci, zem wszystko widział; jesteś łotrem, nędznikiem!.. Oddaj mi natychmiast torbę skradzioną temu człowiekowi!

Owidyusz schwytyany nauczynku zadrżał.

— Litości!.. łaski!..—wołał trzęsąc się cały. — Błagam, zaklinam kuzynie nie oskarżaj mnie! Przyznaję.. jestem nicponiem. Tak, ja ukradłem... lecz nie moja wina. Pragnienie bogactwa pozbawiło mnie rozumu. Byłem szalonym, sam nie wiedziałem co czynię!

— Milcz — fuknął mniemany Paweł Harmant. — Popelnileś występki, na który nie ma tłumaczenia! Gdy pomyślę, że należysz do mojej rodziny i zniesławiasz ją w ten sposób, radbym ci rozstrzaskać czaszkę wystrzałem z rewolweru, lub zaprowadzić do kapitana okrętu z wyjaśnieniem twego haniebnego czynu!

Owidyusz chwiał się na nogach, zęby mu szczękały.

— Nie... nie! — wyjąknął, — ty tego nie uczynisz. Litości dla nieszczęśliwego obłąkańca, litości. Przebacz mi tę słabość!..

— Słabość, która być może jest u ciebie wrodzonym występkiem, sądząc po twoim zuchwalstwie, zimnej krwi i zrzeczności, z jaką dokonałeś tej kradzieży.

— Po raz pierwszy, pierwszy w moim życiu, przysięgam

— Nie przysięgaj!—krzyknął mniemany Harmant. Masz mnie za tyle głupiego, iżbym uwierzył w przysięgę złodzieja?

— A jednak...

— Milcz! i oddaj mi natychmiast tę torbę!

Owidyusz podał torebkę Jakóbowi Garaud.

— Czy wiesz — pytał tenże odbierając takową — co tam wewnątrz się mieści?

— Złoto i bilety bankowe.

— Na jaką sumę?



— Mniej więcej około sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Dobrze. Czekaj tu na mnie.

Soliveau patrzył w osłupieniu na swego mniemanego kuzyna.

— Lecz co chcesz czynić na Boga? — pytał drżącym głosem.

— Jakto, nie odgadujesz?

— Nie.

— Oddam te pieniądze prawemu właścicielowi.

— Przez litość — zawołał Owidyusz ze drżeniem.

— Ani słowa, milcz!

I rzuciwszy surowe spojrzenie na mówiącego, były nadzorca skierował się w stronę, gdzie stał ów siwowłosy pasażer.

— Wybacz pan — rzekł przystępując z torebką w rękę. — Czy pańska to własność?

Podróżny dotknął ręką tużurka.

— Skradziona! — zawołał z przerażeniem.

— Nie trwóż się pan, wszakże ci zwracam twój majątek — rzekł Jakób z uśmiechem. — Oto torebka. Zechciej zobaczyć czy wszystko co było, wewnątrz się mieści?

Nie tracąc sekundy, starzec wydobyl kluczyk z kieszeni, otworzył z pośpiechem podaną sobie torebkę i przeliczył znajdującą się w niej zawartość.

— Nie... nie! nic nie brakuje! — wołał z radością. — Wszystko jest jak było. To cały mój majątek, panie — dodał drżącym głosem. — Sześćdziesiąt sześć tysięcy franków z trudem przez lat trzydzieści zbieranych w ciężkiej pracy, które wiozę mej córce. Lecz jakim sposobem ta torebka znalazła się w pańskim ręku?

— Racz pan pójść ze mną, a wyjaśnię ci wszystko — rzekł mniemany Paweł Harmant, zbliżając się ku Owidyuszowi, który błąd jak śmierć, śledził wzrokiem jego poruszenia.



Jakób wraz z siwowłosym podróżnym zatrzymał się na przeciw Owidyusza, który rad był skryć się pod ziemię w tej chwili.

— Oto człowiek, który okradł pana — rzekł były nadzorca z powagą, a gdy pasażer chciał coś przemówić przerwał mu, ciągnąc dalej.

— Znam na nieszczęście tego hultaja, ztąd nie radbym, ażeby został aresztowanym, żądam jednakże, ażeby panu wyznał swą winę i prosił o przebaczenie.

Nie było rady.

— Wyznaję panie, wyznaję — wyjąkał tłumionym głosem Soliveau — błagam przebaczenia!

— Przebaczam ci na prośbę tego pana — odrzekł podróżny z pogardą; — niechaj cię łotrze gdzieindziej powieszają, gdyż to cię spotka prędzej czy później, zobaczysz! Zapamiętam jednak twoje oblicze! Ja również jadę do New-Jorku i znam pana Mortimera u którego masz pracować. Opowiadałeś mi przed chwilą cel swojej podróży, słuchałem cię sądząc, iż mam do czynienia z uczciwym człowiekiem. Możesz być zręcznym robotnikiem, lecz jesteś łotrem obok tego; wystarczyłby jeden wyraz z mej strony, aby przekonać o tem twego przyszłego pryncypała.

Owidyusz wyjąkał kilka słów błagalnych.

— Powinienbym to zrobić — mówił dalej podróżny.

— Ta lekcyja wystarczy mi, sądzę, — odezwał się Jakób. — Proszę więc zamilknij pan o tej smutnej sprawie. Ten chłopiec jest mi znanym. Znam także jego rodzinę, są to ludzie uczciwi, niesława jego na nich by spadła.

— Przez wzgląd więc na zacnych tych ludzi, a przede wszystkim dla pana, który mi zwróciłeś mój ukradziony majątek — wyrzekł podróżny — zachowam milczenie, pragnę jednakże wiedzieć nazwisko tego człowieka. Jeśli nie zechce mi go wyjawić, odszukam je w liście pasażerów.

— Nazywa się on Owidyusz Soliveau — odpowiedział mniemany Paweł Harmant.



Owidyusz osłupiał z przerażenia.

— Owidyusz Soliveau? — powtórzył podróżny — znam to nazwisko. Ach! przypominam sobie — zawołał — jest to osobistość pochodząca z Côte-d'Or, przeciw której miałem w rękę przebywając w Paryżu, dowody, oskarżające ją o kradzież z włamaniem.

## VI.

Jakób Garaud spojrział badawczo na Owidyusza, który będąc bliskim zemdenia nie przeczył wcale.

— Nie znam przeszłości tego człowieka, — mówił — lecz przez wzgląd na jego rodzinę, racz pan zachować milczenie, jakieś mi to przyrzekł.

— Dotrzymam obietnicy, mając obowiązek wdzięczności względem pana — odrzekł podróżny. — Zamilczę, tak o poprzedniej jego zbrodni, jak o występku obecnym; będę się czuł jednak zwolnionym z zobowiązania jeśli nowe jakie przestępstwo odda mi w ręce tego niekzemnika. O! wtedy uprzedzam, będę bez litości!

Wyświadczyłeś mi pan przysługę — dodał następnie pasażer, podając rękę Jakóbowi — o której nigdy nie zapomnę. Jeżeli kiedy bądź kolwiek zapotrzebujesz z mej strony pomocy w New-Jorku, gdzie jadę do mojej córki, jestem u twojej usługi. Nazywam się Ireneusz Bosse, jestem francuzem. Służyłem w jednym z policyjnych oddziałów, a otrzymawszy po wysłużonych latach uwolnienie, wracam obecnie do rodziny. Adres mój Nr. 56. Ulica Jedenasta w New-Jorku.

Owidyusz zadrzał powtórnie na wyrazy: „służyłem w jednym z policyjnych oddziałów.“ Sam nawet Jakób Garaud, doznał żywego wzruszenia, którego przyczynę łatwo odgadujemy, przybrał jednakże spokój w oka mgnieniu.

— „Ireneusz Bosse, ulica Jedenasta, numer 56.“ — powtórzył; — nie zapomnę ani pańskiego nazwiska ani adresu.



Być może iż kiedykolwiek będę potrzebował jego pomocy, mając zamiar również zamieszkać w New-Jorku.

— Dając mi sposobność do wywdzięczenia się, uczyni mnie pan wielce szczęśliwym.

— A teraz pozwól mi proszę pozostać sam na sam z tym człowiekiem, — wyrzekł Jakób Garaud, do podróżnego.

Irenusz Bosse podawszy rękę mniemanemu Pawłowi Harmant, odszedł, obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem Owidyusza stojącego ze spuszczoną głową.

— A więc — rzekł ten ostatni, głosem przytłumionym, skoro zostali sami, — a więc ty, którego wypadek dozwolił mi spotkać na tym okręcie, a którego związki rodzinne łączą z Harmant'ami, ludźmi bez skazy, ty, którego odnalezienie radość mi sprawiło, ty jesteś jak okazuje się łotrem ostatniego rodzaju, zbrodniarzem, śledzonym przez policję, złodziejem z rzemiosła!

Tu Jakób nieco głos podniósł.

— Nie tak głośno kuzynie, błagam, nie tak głośno! — szeptał Owidyusz przez ściśnięte gardło. — Gdy stary ten z twej łaski mnie nie oskarży, na co powiadamiać wszystkich o tem co zaszło? Oblęd mnie opanował, cóż tak wielkiego? Wiesz, że nie jestem bogatym, słabość chwilowa, to się wybacza do czarta! Złoto, bilety bankowe głowę mi zawróciły...

Ach! kuzynie, kuzynie! — dodał płaczliwie z szatańską hypokryzyą — ty stałeś się dla mnie opatrnością niedozwalając mi spełnić złego czynu.

— Uznajesz więc, że m słusznie postąpił? — zapytał Jakób.

— Uznaję, uznaję!

— I nie żałujesz tej wielkiej sumy, jaką ukradłeś, a któregoś z wierznieli zwróciłem?

Owidyusz zawahał się z odpowiedzią.

— Pragniesz zostać bogatym za jaką bądź cenę, — mówi dalej Garaud, — twoje wachanie o tem przekonywa?

— Do czarta! bogactwo jest wszystkim!



— Torba tego pasażera zawierała sześćdziesiąt tysięcy franków?

— Cyfra nie lada! — mruknął hultaj z akcentem żalu.

— Tak, ale to nie był twój majątek; gdy jednak posłusznym mi będziesz ja cię bogatym uczynię.

— Na prawdę?

— Jakiem Paweł Harmant!

— Ależ oddaję się ciałem i duszą tobie kuzynie!

— Wiernie... bez żadnych podejrzeń?

— Do pioruna! czyż nie należą odtąd do ciebie? Czyliż ów Ireneusz Bose, któremu milczeć kazałeś, nie rozgadałby tego, gdybyś mu był mówić nie wzbronił? Czyliż ty sam nawet nie mógłbyś być mnie aresztować gdyby ci chęć przyszła ku temu?

— To prawda, nie chciałem jednak tego uczynić.

— Ażeby stary ów tylko dotrzymał słowa, bo gdyby opowiedział o tem głupstwie mojemu pryncypałowi, och! — wołał hultaj z niepokojem.

— Byłbyś zgubionym! — przerwał Jakób, — Jan Mortimer wygnałby cię bez odwołania. Obecnie jednak, nie lękaj się tego. Ja poręczam za milczenie Ireneusza Bosse, i względy dla ciebie Mortimera. Słyszysz, poręczam i odpowiadam!

— Ty?! — zawołał Owidyusz, patrząc z osłupieniem w swego mniemanego kuzyna.

— Posłuchaj mnie — rzekł Jakób przyciszonym głosem, pochylając się ku niemu. — Zbadałem cię teraz, znam cię tak dobrze, jak gdybyśmy całe lata żyli obok siebie. Kradzież torebki nie była pierwszą twą próbą w tym rodzaju, ponieważ Ireneusz Bosse miał w rękach akta twego poprzedniego oskarżenia.

— Kuzynie!

— Nie zaprzeczaj daremnie! Ja nie należę do tych, którzy łatwo oszukać można. Mam pewność niezachwianą, że gdyby przeszukano archiwa trybunału poprawy w Dijon, zna-



— Nędzne nad wyraz — odparł Owidyusz żalonym tonem. — Kucharz robi oszczędności na naszych pokarmach, użyte do nich produkty są najgorszego gatunku, a drogo za nie płacić sobie każą.

Jakób dobył z kieszeni dwanaście luidorów.

— Pożywiajże się lepiej — rzekł — kładąc je w rękę Owidyusza.

— Dziękuję ci, kuzynie, dziękuję! — wołał tenże rozpromieniony.

— Pamiętaj, że po raz ostatni wolno ci jest nazywać mnie kuzynem, z wyjątkiem, gdy się znajdziemy zupełnie sami.

— Nie zapomnę o tem.

— Liczę na to — rzekł Jakób Garaud — i odszedł, aby połączyć się z Mortimerem i Noemi w salonie.

## VII.

Ireneusz Bosse miał dobrą pamięć. Owidyusz Soliveau był oddawna łotrem najgorszego rodzaju. Mówił więc prawdę ten pierwszy o oskarżeniu, wniesionem przeciw mechanikowi za kradzież z włamaniem w małym hotelu, gdzie zamieszkiwał poprzednio przy ulicy de l'Ouest.

— Owidyusz posiadał w charakterze chytrą niezrównaną; znalazł więc sposoby wymknięcia się z rąk policyi, zając miejsce u jednego z kolegów, który nie więcej wart był od niego.

Po upływie roku zapomniano już o tej sprawie. Soliveau, przekradłszy się do Anglii i umieściwszy tamże w jednym z warsztatów, zgodzony został, jako zdolny mechanik, przez Jana Mortimera do New-Jorku, gdzie płynął razem z nim na okręcie „Lord-Major.”

Tu sądził się być zupełnie bezpiecznym, gdy nowa sposobność do występku, której oprzeć się nie zdołał, omal że dlań zgubą się nie stała.



— Łotrze! rozbójniku! — wołał on zaciskając pięści za odchodzącym mniemanym Pawłem Harmant. — Ta to szatańska torebka stała się przyczyną nieszczęścia, na domiar którego czart mnie popchnął w ręce byłego agenta policyi. Siemdemdziesiąt tysięcy franków z rąk mi się wymknęło dzięki tobie, ty, podły przybłodo! Dlaczego on jednak miesza się w cudze sprawy, ten niby mój kuzyn, radbym to wiedzieć?

I siadł, zatopiony w głębokiem rozmyślaniu.

— Bądź co bądź — wyrzekł po chwili — lepiej, iż rzeczy w ten sposób się ułożyły. Zostają teraz pod władzą tego szczywanego lisa, to prawda, sądzę jednakże, iż to mi więcej przyniesie korzyść, niż torba tego głupca starego. Jest on ambitnym i zręcznym niezwykle ten mój kuzyn Harmant; zajdzie daleko, jeśli na drodze coś go nie zatrzyma... Wczoraj naprzykład nie znał lub udawał, że nie zna Jana Mortimera; dziś został jego współnikiem i wkrótce spodziewa się zostać jego zięciem.

O! to mądry szpak! bądźmy ostrożni... Obiecuję mi po wylądowaniu miejsce zarządzającego fabryką; wierzę, iż mógłby to uczynić. Mimo to wszystko, silne mam przekonanie, że w jego przeszłości kryje się jakaś tajemnica. Jeżeli ja miałem drobne grzeszki i on je miał zarówno, przysiągłbym. Widocznie coś ciąży mu na sumieniu. To szybkie zebranie majątku jest podejrzanem. Schwycił mnie w swe szpony i trzyma, lecz i ja kiedykolwiek bądź schwytać go mogę. Trzeba mi tylko baczniej spoglądać wokoło siebie...

— Niech mnie dyabli porwą! — zawołał — jeżeli mu nie wleję w nos ój likieru kanadyjczyka, a wtedy, chcąc nie chcąc, wyśpiewa mi wszystko. Tymczasem pójdźmy do bufetu pokrzepić się za jego pieniądze... — Tu odszedł, pogwizdując wesoło.

Przez czas żeglugi „Lorda-Majora“ nie zaszedł żaden ważniejszy wypadek.

Mniemany Paweł Harmant przepędzał dnie w towarzystwie Mortimera i jego córki, prowadząc z inżynierem rozmowę o mechanice, a zarazem starając się przypodobać pięknej

*Handwritten notes:*  
A. T. K. 18  
Miało 2000 franków  
Wzrost 191.  
Imię

*Handwritten initials:*  
H. E.



Noemi, coraz bardziej nim zajętej. W dwunastym dniu od chwili wyjazdu przybito do brzegów.

Jakób Garaud, wysiadłszy w New-Jorku, nie potrzebował szukać dla siebie pomieszczenia w hotelu, wiemy bowiem, iż Mortimer ofiarował mu mieszkanie w pięknym swym domu.

W trzy tygodnie później Owidyusz wezwany został przez swego mniemanego kuzyna do pełnienia obowiązków zarządzającego fabryką, z pensją stu osiemdziesięciu dolarów, czyli dziewięciuset franków.

Po dwóch miesiącach Jakób Garaud, stawszy się niezbędnym współnikowi swemu, prosił o rękę Noemi, co zostało przez jej ojca z radością przyjętem.

— Szybko żegluj ten człowiek — mówił do siebie Owidyusz — co skłania mnie tem więcej ku zbadaniu go do głębi; prędzej czy później, muszę mu dać zakosztować tego likieru, skoro znajdziemy się sam na sam. Czekam jedynie sposobności.

Sposobność tę jednak niełatwo było odnaleźć, ponieważ Paweł Harmant, mimo użyczonej Owidyuszowi protekcji, surową względem niego zachowywał obojętność. Nie zniechęcał się tem bynajmniej ów młody hultaj, powtarzając stare przysłowie: „Cierpliwość do celu prowadzi,” i czekał.

Tak Jan Mortimer, jak jego córka Noemi, czuli się nad wyraz zadowolonymi ze współki i towarzystwa Pawła Harmant; wszystko więc szło dobrze. Jakób w nowej swojej postaci uczuł się człowiekiem nowym zupełnie; przeszłość wyrzucił z pamięci, zapomniał o popełnionej zbrodni. Nadeszła chwila, w której sobie o niej wszakże przypomniał, wyczytałszy w jednym z dzienników sądowe sprawozdanie w sprawie Joanny Fortier, obwinionej o podpalenie fabryki w Alfortville, zamordowanie właściciela tejże i kradzież, za co skazaną została na ciężkie dożywotnie więzienie.



Ów łotr, którego powyższy wyrok okrywał nowem bezpieczeństwem, nie uczuł najmniejszej litości dla swej ofiary, zapomniał nawet, że ją kochał kiedyś, że chciał z nią dzielić majątek, zebrany we krwi i płomieniach...

\* \* \*

Wielu ludzi posiada to przekonanie, iż sprawiedliwość mylić się nie może. Wierząc w niewinność obwinionego przed wydaniem wyroku, powątpiewają o niej z chwilą wygłoszenia tegoż. Sędziowie, powtarzają, mylić się nie mogą, my więc to byliśmy w błędzie. Takiemu właśnie przekonaniu uległ proboszcz z Chévry, jego siostra pani Klara Darier i młody malarz Edmund Castel. Obecni przy rozstrzygnięciu sprawy, usłyszeli tyle strasznych oskarżeń, wniesionych przeciw Joannie, tyle dowodów niezaprzeczonej jej zbrodni, iż powzięte przez nich współczucie dla tej nieszczęśliwej we wzgardę się zmieniło.

— Ach! jak ta kobieta nas oszukiwała! — szepnęła pani Darier, wychodząc z sali sądowej.

— Zapomnijmy o tem — rzekł zacny ksiądz Langier — myśląc jedynie o biednym sierocie, którego tak kochamy; niech dziecię nie dowie się nigdy, jaką plamą ta zbrodnia skalala jego nazwisko.

Za przybyciem do Chévry poczęli czynić starania względem adoptacji Jurasia przez panią Darier. Zabiegi ich otrzymały wkrótce skutek pożądaný. Wyrokiem trybunału departamentu Sekwany i Oisy, syn Joanny Fortier uznany został za przybranego syna pani Darier. Od chwili tej dziecię nazywało się Jerzym Darier. Postanowiono kształcić chłopczynę w naukach jak najwyżej, na której to drodze ksiądz Langier był pierwszym jego przewodnikiem, nie mogąc nachwalić się inteligencji chłopca, oraz bystrego jego pojęcia. Niewysłowioną radość napelniała serca zacnych opiekunów; w dziecięciu tej



bowiem złożyli całą swą tkliwość, wszystkie na przyszłość nadzieje.

Zapomniano o Joannie, czyli raczej starano się o niej zapomnieć; wszak oprócz Jurasia, istniało inne wspomnienie jej krótkiego pobytu na probostwie w Chévry, a był nim mały konik tekturowy, z którym dziecię rozłączyć się nie chciało, a którą to zabawkę, jak drogą relikwię, przechowywała pani Darier, widząc szczególnie przywiązanie dziecka do ulubionego przezeń konika.

Wróćmy jednakże do Joanny Fortier. Nieszczęsna ta kobieta, jak wiemy, po usłyszeniu wyroku, skazującego ją na dożywotnie więzienie, padła, utraciwszy przytomność. Przeniesiono ją do infirmaryi więzienia Saint-Lazare, gdzie związało się u niej gwałtowne zapalenie mózgu. Poważne niebezpieczeństwo groziło życiu nieszczęśliwej, któremu oparł się wszakże jej silny organizm. Przez miesiąc jednak została pomiędzy życiem a śmiercią, nie wiedząc, co się wokoło niej dzieje. Polepszenie następowało bardzo powoli. Po odzyskaniu zmysłów i mowy, Joanna żadnych wspomnień o tem co zaszło nie zachowała. Głęboka ciemność zalegała jej umysł, pamięć jej jak gdyby przyćmioną została, niezdolną była pojąć nic tak z przeszłości, jak i terażniejszości zarazem.

## VIII.

Doktorzy prefektury złożyli raport, określający stan zdrowia nieszczęśliwej, żądając przeniesienia jej do oddziału spokojnych obłąkanych w Salpêtriere.

Obłęd Joanny był cichym i smutnym.

— Ta kobieta wyzdrowieje być może—mówił jeden z lekarzy przy rozpatrywaniu cierpienia wdowy Fortier; — lecz kiedy nastąpi to uzdrowienie, nauka tego rozwiązać nie zdoła.

Niewinna została więc podwójnym ciosem dotknięta.—  
Obłąkanie to jednak lepszem dla niej było nad samowiedzę



nad bezustanną boleść po nad więzieniem bez kresu, lepszym niż życie pełne ponurych wspomnień, udręczeń i żalu po za minioną bezpowrotnie przeszłością, oraz nienawiść dla tych, którzy ją tak niesprawiedliwie rozłączyli z jej dziećmi.

Podczas gdy się to działo w Paryżu, Jakób Garaud używał w całej pełni szczęścia w New-Jorku, otoczony ogólnem poważaniem, mający śliczną i zacną żonę, oraz zwiększający się z dniem każdym majątek domu: „Jan Mortimer i Paweł Harmant.“

Rok upłynął od chwili jego zaślubin z córką inżyniera, a Noemi kochała go coraz więcej.

Ów nędznik, zeniący się jedynie w widokach ambicyi, zwolna przywiązał się do tej kobiety, używając jak najuczciwszy człowiek rozkoszy rodzinnego życia.

Pod jego kierownictwem interesa zakładu znakomicie się rozwinęły. Jan Mortimer budową maszyn obecnie nie zajmował się wcale. Podróżując bezustannie w sprawach fabryki, zostawił w tychże najzupełniejszą wolność działania zięciowi.

Pewnego dnia ojciec Noemi niemogąc z przyczyny gwałtownego ataku reumatyzmu jechać do jednego z oddalonych miast od New-Jorku, prosił zięcia, ażeby go zastąpił w tej podróży. Mimo, że Paweł Harmant nie rad był wyjechać z domu, zmuszonym był to uczynić zabrawszy wraz sobą swojego służalca Owidyusza Soliveau, który dzięki protekcyi mniemanego kuzyna, z zarządzającego został inspektorem zakładu i prawą ręką zarazem jego kierownika. Życzliwa ufność, jaką mu tenże okazywał, wydawała się Owidyuszowi całkiem naturalną, nie zmniejszając w nim żądzy zbadania przeszłości kuzyna, a razem i leżącej w niej tajemnicy. Prócz tego pałał chęcią wypróbowania skutków cudownego płynu na współniku Mortimera.

— Otóż i podróż, a z nią tak długo przezemnie oczekiwaną sposobność zdarza się nareszcie — rzekł, gdy mu Jakób



oznajmił o wyjeździe, mającym nastąpić nazajutrz. I wybierając się w drogę wsunął w torebkę podróżną flakon z drogo-cennym eliksirem, kupionym za piętnaście dolarów u kanadyjczyka według zapisanego adresu.

Paweł Harmant znajdując się sam na sam z Owidyuszem, zrzucił pozór obojętności przybranej w obec innych. Podróżowali sami, w przedziale pierwszej klasy; równocześnie więc z wyruszeniem pociągu, Garaud zaczął najpoufniejszą rozmowę.

— No jakże? — pytał — zadowolonym jesteś, że po pańsku podróżujemy, mogąc pomówić z sobą otwarcie jak do brzy przyjaciele, jak krewni?

— W samej rzeczy, rok przeszło oczekuję na podobną chwilę — odparł Soliveau.

— Nie przykrzy ci się w New-Jorku?

— Przykrzyłoby mi się miało, dla czego? — odrzekł zapytany. — Byłbym niewdzięcznym, gdybym to powiedział wśród bytu usłanego dolarami. Przeciwnie, pobyt w tem mieście jest mi bardzo przyjemnym, a jedyną przykreścią mi sprawia nasze rozdzielenie się, z punktu widzenia rzeczy rodzinnego. Suniesz kuzynie naprzód w społeczeństwie wielkimi krokami, wtedy, gdy w stosunkach ze mną zachowujesz zupełną obojętność tak, jak gdybyśmy byli sobie zupełnie obcymi.

— Tak być musi, winienesz to zrozumieć — odrzekł Garaud.

— Rozumiem i czuję to dobrze, od chwili owego głupiego wypadku na okręcie. Uwagi czynione mi wtedy przez ciebie były dobre, bardzo dobre — mówił Owidyusz; — dziś jednak gdyś został wyłącznym panem fabryki, gdy niemasz się czego i kogo obawiać, ponieważ majątek Mortimera z rąk ci się nie wyslizgnie, zdaje mi się, iż mógłbyś przedstawić mnie jemu jako swego krewnego, a tym sposobem postawić mnie na stopie równości względem siebie.

— Do czegoż jednak posłużyłoby ci to mogło?



— Zbliżyłoby mnie ku tobie — zawołał Soliveau, — znajduję przyjemność w twem towarzystwie; gdybyś chciał, znalazłbyś sposób ku temu, cóż bowiem łatwiejszego dla tak przebiegłego lisa, jakim ty jesteś.

— Jakób zmarszczywszy czoło, utopił badawcze spojrzenie we wzroku mówiącego.

— W czymże tę lisią chytrąść znajdujesz — pytał — objaśnij mnie proszę.

— W całym twojem postępowaniu drogikuzynie, co uważam za najwyższą dla ciebie pochwałę. Nie zdobywają ludzie za jednym zamachem wielkiego majątku, jak ty to zrobiłeś; nie zostają tak łatwo współnikami i zięciami jednego z największych i przemysłowców Ameryki, nie gromadzą milionów bez węzłowej mądrości w charakterze — odrzekł Soliveau — czego to właśnie tobie wieszczę z całego serca. Ktoby do czarta był odgadł, że ty tak wysoko wznieść się potrafisz!

— Tak, w rzeczy samej, posłużyło mi szczęście — odparł Jakób Garaud z powagą.

— A! wielkie szczęście, olbrzymie szczęście! — wołał Owidysz.

— Sądzę, że i ty na swój los uskarżać się nie możesz. Mimo, iż nie uznaję cię publicznie za mego kuzyna, postępuję względem ciebie jak dobry krewny — wyrzekł mniemany Paweł Harmant.

— Tak, oddaję ci w tym względzie zupełną sprawiedliwość, i jedną tylko rzecz drobną miałbym do zarzucenia.

— Cóż takiego?

— Że jesteś *kałalarzem*, lubisz otaczać się tajemnicami.

— Tajemnicami, ja? — zawołał z niepokojem Garaud.

— Tak, ty kuzynie.

— Lecz w czymże takim?

— W mnóstwie drobnych rzeczy.

— Mów jasno co chcesz powiedzieć! — fuknął opryskliwie mniemany Harmant.



Owidyusz przypomniawszy sobie szczegół, odnoszący się do czupryny swego kuzyna, jaki zwrócił jego uwagę na pokładzie okrętu, od kilku minut patrzył bacznie na w jego głowę.

Jakób pomimo starań i częstego używania tynktury, nie uniknął rudego odcienia, jaki się wydobywał z pod jego włosów, a co Owidyusz stwierdził powtórnie bystrym swym wzrokiem.

— Wytłumacz się! — zawołał Garaud — nie bardziej nie drażni mi nerwów po nad te głupie półsłówka.

— Między krewnymi, między kuzynami — ciągnął Soliveau ze złośliwym uśmiechem, — zdaje mi się, iż istnieć powinna ufność zupełna, ztąd dziwnem to mi się wydaje, iż nie chcesz powiedzieć w jaki sposób tak wielce zbogacić się zdołałeś w ciągu lat pięciu?

— Mówilem ci już do czarta, że wynalazek był główną podstawą mego skromnego z tamtych czasów kapitału — zawołał niecierpliwie były nadzorca — dla czego wątpisz o tem, wiedząc, że „milcząca,“ a wraz i maszyny do gilo-szowania zjednały mi współkę z Mórtimerem wraz z ręką jego córki?

— Wiem o tem, lecz nigdy nie powiedziałaś mi, jaki to był ten twój pierwszy wynalazek?

— Nie pojmuję tej natarczywości, — krzyknął z uniesieniem mniemany Paweł Harmant; — sprzedałem me plany i to właśnie przyniosło mi trochę pieniędzy. Wynalazek mój od owej chwili nie należy już do mnie, inny mu nadał swoje nazwisko. Byłoby więc nikczemnością z mej strony chęć się nim i utrzymywać, żem twórcą jego.

Rzecz zręcznie wytłomaczoną została; mimo to Owidyusz otworzył usta aby zapytać: dlaczego farbujesz włosy? Gdym cię znał kiedyś, nie były one rudemi; wstrzymał się jednak i zamilkł, nie chcąc budzić podejrzeń w swoim towarzysz.



— Wyjaśniłeś mi rzecz tą dostatecznie — odpowiedział — pojmuję, iż delikatność nakazuje ci milczeć w tym względzie.

— A innych jakich „kabalarstw“ mówiąc twym bulwarowym językiem, nie dostrzegłeś z mej strony? — pytał Garaud.

— Nie, żadnych.

— To dobrze. Tu Jakób zmienił przedmiot rozmowy.

— Powiedz mi, gdzie przepędzasz czas wolny od pracy? — zapytał po chwili — czy masz w New-Jorku przyjaciół, znajomych, jakie wynalazłeś sobie rozrywki?

Owidysz potrząsał głową.

— W New-Jorku — odrzekł — jak wszędzie, trudno znaleźć prawdziwych przyjaciół, nie szukałem też ich bynajmniej. Co zaś do znajomości, łatwo zawierają się one, szczególnie przy stole gry, a grubo grają jak widzę w tym kraju.

— Byłżebyś graczem? — zapytał Garaud.

— Tak, w rzeczy samej, jest to jeden z małych mych grzechów.

— Bądź baczny, bo się zrujnujesz.

— Lub się zбогаć kiedybądźkolwiek, wygrawszy wielką sumę pieniędzy.

## IX.

— Złudne marzenie! — zawołał śmiejąc się Jakób — czyś wygrał kiedy choć drobną cząstkę z tej sumy?

— Nigdy, przyznaję — odpowiedział Soliveau — lecz to nastąpi niechybnie. Czekam cierpliwie; o! bo ja wiele mam cierpliwości i umiem panować nad sobą. Nie gram grubiej nad to co stawić mogę. Dlaczegoż szczęście nie miałooby mi zabłysnąć kiedyś? Przyjdzie i na mnie kolej wygranej, jestem tego pewnym.

— To znaczy, że obecnie przegrywasz — rzekł Garaud.

— Tak.



— I wiele.

— Nie... niezbyt.

— Strzeż się! Szcześnie o jakim mówisz, może nie żyje wcale; ale nadejdzie chwila w której straciwszy zimną ew, tyle potrzebną do zatrzymania się na czasie...

— Bądź spokojnym — przerwał Owidyusz — zbyt jestem zważnym.

Rozmowa przeszła na inny przedmiot, a w kilka godzin później zatrzymał się pociąg. Obaj francuzi przybywszy oznaczone miejsce, zabrali swoje walizki, udając się do najbliższego hotelu. Pobyt ich w mieście miał trwać przez dwa dni co najmniej, chodziło o dokonanie studyów w wielkim zakładzie przemysłowym, gdzie używano przeważnie motorów awnego systemu.

Po spożyciu obfitego posiłku, udali się obaj do wyż wspomnianej fabryki, dla rozpatrzenia się w funkcjonujących tamże aszynach jakie przerabiać mieli; a ku czemu według umowy właścicielem, Paweł Harmant obowiązany był przedstawić osowne plany. Owidyusz spisywał szczegóły, dyktowane przez swego mniemanego kuzyna.

Wróciwszy do hotelu długo o tem rozmawiali.

— Trzebaby natychmiast zabrać się do roboty — mówił leć Mortimera, — nie radbym długo tu pozostawać, popracujemy dy trzeba będzie chociażby i w nocy.

— Jak zechcesz — odparł Soliveau — należałoby jednak przód czemś się posilić.

— Rozkażę podać wieszczę tu do pokoju. Jedząc, będziemy mogli rozmawiać o tem co nas obecnie najżywiej bchodzi.

Owidyusz dziwnie się uśmiechnął.

— Właśnie chciałem ci przedstawić — rzekł — tęż sątą propozycję.

Jakób Garaud zadzwonił i wydał polecenie.

Wniesiono stół z nakryciem, ponieważ ten jaki się znajdował w pokoju, mechanik zachował sobie dla kreślenia pla-



nów. W czasie tym Soliveau wymknął się na chwilę. Wszedłszy do swego gabinetu, otworzył podróżny kuferek, dobył zeń flaszkę z wiadomym płynem i schował ją do kieszeni, poczem wrócił do swego kuzyna.

— Teraz — pomyślał — trzeba tylko wynaleść sposobność do działania, która, że mi się nasunie, jestem tego pewny. I zasiadł do pracy ze swym zwierchnikiem, zajęty nią aż do chwili, gdy wniesiono wieczerzę.

Umieścili się obaj przy stole naprzeciw siebie.

Jakób Garaud jedząc z apetytem, w myślach był pogrążonym. Zadanie mechaniczne jakie rozwiązać usiłował, pochłaniało całą jego uwagę.

Wieczerza odbyła się w milczeniu.

— Proszę nam podać czarną kawę, lecz bardzo mocną — rzekł Garaud do posługującego; — długo w noc pracować będziemy.

— Kawa, otóż wyborna sposobność; — pomyślał Soliveau.

Paweł Harmant rysować zaczął na papierze, podczas gdy Owidyusz zwinąwszy cygaretkę, palił takową z najzupełniejszą obojętnością na pozór.

Kelner postawił na stole gotującą się maszynkę od kawy, dwie filiżanki, cukierniczkę i butelkę koniaku, czego nie dostrzegł Jakób, zajęty kreśleniem figur geometrycznych i cyfr na papierze.

— Otóż i kawa kuzynie — wyrzekł Soliveau po odejściu kelnera.

— Dobrze — odparł Garaud, nie przerywając swej pracy. — Nalej mi w filiżankę, włóż cukru i siądź tu przy mnie.

— Natychmiast — wyrzekł Owidyusz — podczas gdy twarz mu zabłysła radością.

Paweł Harmant zajęty rysunkiem siedział zwrócony doń plecami, z czego korzystając paryżanin nalał kawę w filiżankę, a dobywszy flakon z kanadyjskim płynem, wpuścił łyżeczkę tegoż szybko do kawy. Schowawszy flaszkę, następ-



nie ocukrował napój, zamieszał go i postawił na stole przed współnikiem Mortimera.

— Oto kawa—rzekł—pij, zanim wystygnie.

Garaud, ująwszy filiżankę, z roztargnieniem zbliżył ją do ust i połknął znaczną ilość napoju.

— Właś koniaku, jak widzę?—zapytał po chwili.

— Tak, parę kropli zaledwie—odrzekł Soliveau—może wlać więcej?

— Nie, nie! — zawołał Harmant — alkohol jest wrogiem pracy.—I zwolna wypróżniał filiżankę.

— Nalej mi drugą—wyrzekł po chwili—poczem weźmiemy się do roboty.

Owidyusz, rozpromieniony radością, pochwycił maszynkę, napelnił powtórnie filiżankę i podał ją wraz z cukierniczką swemu kuzynowi, który wzięwszy parę kawałków cukru, wrzucił je w takową, nie przerywając rysowania.

Soliveau, przyrządziwszy dla siebie kawę z koniakiem, pił ją przy zapalonem cygarze, śledząc z pod oka Jakóba.—Oczekiwał skutków działania płynu; tyle zachwalonego przez kanadyjczyka.

Pokoje, zajęte przez obu francuzów, położone były na pierwszym piętrze we frontowej części hotelu. Znajdowali się tam sami, tak, iż gdyby nawet mówili głośno, nikt dosłyszećby ich nie zdołał, z czego cieszył się Owidyusz, widząc, iż los mu sprzyja.

Jedenasta wybiła na poblizkim zegarze, cisza zaległa całe piętro hotelu. Drzwi były zamknięte, pogaszone światła z wyjątkiem pokoju, w którym znajdowali się dwaj nasi znajomi. Garaud zachowywał głębokie milczenie. Schylony nad arkuszem papieru, z linią i cyrklem w ręku, rysował plany; Owidyusz robił, a raczej zdawał się robić coś podobnego.

Mówimy, zdawał się robić, gdyż w rzeczywistości gdzieindziej zwróconą była jego uwaga—Paweł Harmant pochłaniał ją całkowicie. Im więcej upływało czasu, tem bardziej



dziwił się Soliveau, nie widząc oczekiwanych skutków medykamentu.

Miałoby skłamać ów kanadyjczyk? — Myśl ta zasepiła czoło paryżanina.

Wtem spostrzegł on Jakóba, przesuującego ręką po czole, którego to gestu nigdy dotąd u niego nie zauważył, a jednocześnie powieki męża Noemi drgać nerwowo poczęły.

— Miałoby się to zaczynać?—pytał sam siebie Soliveau. Przyszło zbyt późno, wszak lepiej późno, niż nigdy.

I nie omylił się w tym razie. Skutki tajemniczego płynu objawiać się na zewnątrz poczęły. Nagle były nadzorca zerwał się z krzesła i rzucił cyrkiel oraz linę, które trzymał w ręku.

— Co ci to, kuzynie?—pytał Owidyusz—czujesz się słabym, być może?

— Pragnienie mnie pali — odrzekł zapytany, i jednym tchem wypróżnił stojącą przed nim filiżankę kawy, poczem zaczął przechadzać się po pokoju szybkimi, nierównymi krokami. Dreszcz zimny wstrząsał jego ciałem, ręce mu drżały, twarz przybrała ciemno-czerwoną barwę, a oczy dziwnym blaskiem płonęły.

— Widocznie — zaczął Owidyusz, udając niepokój—widocznie, kuzynie, ty jesteś chorym, chodzisz tu i tam, drżysz cały, masz minę obłąkanego, co ci jest?... trwożyć się poczynam...

Jakób nagle zatrzymał się w miejscu.

— Ha! ha! ha! — zawołał z wybuchem ostrego śmiechu—jam chory? z kąd i dlaczego miałbym być chorym?

— Zbyt wiele pracowałeś, potrzebujesz, być może, spoczynku?—mówił dalej z udanym niepokojem Soliveau.

— Ja potrzebuję spoczynku... ja? nigdy!—krzyknął zapytany—dla mnie nie istnieje zużycie! Daj mi się napić czego, pragnienie mnie pali!—dodał — daj, co znajdziesz najlepszego, nie patrz na cenę, jestem bogaty... mogę zapłacić!



milonerem, ale uczciwym człowiekiem, słowo honoru uczciwym, nad wyraz uczciwym!...

Tu przerwał opowiadanie.

— Dlaczego tak patrzysz na mnie ty... ty? — wołał po chwili ochryplym głosem, biegnąc ku omdlewającemu prawie z przestrachu Owidyuszowi; — wszak ty mnie nigdy nie widziałeś, nie znasz mnie wcale!... Joanna Fortier była jedynym świadkiem popełnionej zbrodni... ona zna tylko Jakóba Garaud! Czemu wpatrujesz się we mnie? Jakób Garaud zginął pod walącymi się gruzami fabryki Alfortville, zginął! Obecnie ja jestem Pawłem Harmant, współnikiem Mortimera!

Tu nędznik przyłożył nagle rękę do swych piersi; ból ostry przeszywał mu serce, czuł, iż pożerają go wewnętrzne płomienie. Głucha skarga, rodzaj ponurego jęku wybiegła z ust jego i nagle, pochwycony nerwowym spazmem, zakręcił się wkoło, podniósłszy ręce w górę, i padł bez zmysłów na ziemię. Owidyusz przyskoczył ku niemu.

— Umarł! Boże... czyżby on umarł?! — zawołał z trwogą — dla mnie byłoby to nieszczęściem w samej rzeczy!

I położywszy z pośpiechem rękę na lewej stronie piersi Jakóba, uczył się uspokojonym; serce gwałtownie uderzało.

— A więc nie umarł — zawołał z uśmiechem tryumfu; — to skutek płynu kanadyjskiego, skoro odzyska zmysły, o niczem pamiętać nie będzie. Ach! Jakóbie Garaud — mówił dalej — jesteś mistrzem w swej sztuce, zaprawdę, lecz i ja nie jestem głupim zwierzęciem, jak mnie nazwałeś; od pierwszej chwili byłem pewien, że ty nie jesteś Pawłem Harmant. Masz wielki majątek, tem lepiej, ponieważ jakaś zeń cząstka i mnie się dostanie! Pochwyciłeś mnie w swe szpony... trzymałeś... teraz nawzajem ja trzymam ciebie! Wszystko to, co mi opowiedziałeś, wyrzyło się głęboko w mojej pamięci... zapiszę sobie te szczegóły. Pięknie spełniłeś swój obowiązek, ty podpalacz, morderco! I ty, ty śmiałeś udzielać mi nauk moralnych, ty? — dodał — czekaj drogo mi zapłacisz za tę swoją moralność!



— Według objaśnień Cuchillin'a—mówił dalej Owidyusz, jest to omdlenie, które trwać będzie przez kilka godzin, nie przedstawiając zresztą żadnego niebezpieczeństwa. Położę na łóżku mego mniemanego kuzyna, a skoro się obudzi, porozmawiamy z sobą jak trzeba.

Tu podniósłszy leżącego bezwładnie na ziemi Jakóba, poniósł go, nakrył kołdrą, umieścił mu głowę na poduszkach i odszedł do swego pokoju, gdzie udawszy się na spoczynek, zasnął niebawem.

Nazajutrz, wstawszy równo ze świtem, udał się do chorego, i z progu spojrział nań uważnie. Garaud nie poruszał się wcale, ciężki wszelako i chrapliwy oddech jego świadczył, że żyje.

Soliveau zbliżył się do łóżka, ujął zlekka rękę śpiącego, a położywszy palec na arteryi, zaczął puls śledzić z uwagą. Puls uderzał najregularniej.

— Zostawmy go w spokoju — rzekł, siadając przy stole, na którym znajdowały się papiery i plany, rozpoczęte wczoraj przez byłego nadzorcę.

Godzina upłynęła w milczeniu, gdy nagle szmer lekki zwrócił jego uwagę; — mniemany Paweł Harmant poruszył się. Soliveau podszedł ku śpiącemu, oczekując zupełnego jego przebudzenia, które nastąpiło za chwilę. Jakób otworzył oczy, poczem, zerwawszy się nagle, spojrział niespokojnym wzrokiem wokoło siebie. Na razie umysł jego, zasnuty jak gdyby mgłą ciemną, nie zdołał zdać sobie sprawy, ani mu wyjaśnić, co znaczy ów pokój nieznany, w jakim się znalazł. Dwukrotnie potarł ręką czoło, jak gdyby usiłując rozproszyć ciemności, przysłaniające mu pamięć.

— Gdzie jestem?—nagle zapytał.

— W Kingston, w hotelu „Pod trzema gwiazdami“—odrzekł Soliveau.

— Dlaczego ja śpię nierozebrany?

— Ha! ha! kuzynie—zaśmiał się nizezemnik — nic sobie zatem nie przypominasz?



— Przypominam sobie to tylko, że pracowałem przy tym stole tam, obok ciebie—rzekł Garaud, siadając na brzegu łóżka.

— Dobrze pamiętasz, tak było...—odparł Owidyusz z pół-śmiechem; — lecz siedząc tam, nagle powstałeś z osłupiałym wzrokiem, gestykulując jak szalony, prawiąc dziwne jakieś historie, klnąc mnie ze wściekłością w spojrzeniu, z pianą na ustach, z siniałą twarzą: myślałem, doprawdy, żeś zmysły utracił.

Jakób skoczył na środek pokoju.

— Co to znaczy? ja... ja opowiadałem jakieś historie?—zawołał, drżąc cały.

— Tak, miałeś uderzenie na mózg—odparł spokojnie Owidyusz;— pracujesz zbyt wiele, nużysz, męczysz swój umysł i kiedykolwiek bądź zabić cię to może. Podobne ataki są nader niebezpieczne, szczęściem, że teraz zdrowym cię widzę.

Jakób przechadzać się zaczął w ponurem zamyśleniu.

— Czuję się bardzo osłabionym — rzekł — ręce i nogi mam jakby pogruchotane.

— Ha! nic dziwnego, na tyle gestów i wściekłych ruchów—odpowiedział Owidyusz — ręce, nogi i język biegały ci jak śmigi u wiatraka, poczem nagle upadłeś i zaniósłem cię na łóżko.

— Dlaczego nie przyzywałeś doktora? — pytał mniemany Harmant.

Owidyusz zawahał się z odpowiedzią.

— Dlaczego?—powtórzył.

— Tak, pytam: dlaczego?

— Przeworność nie pozwalała mi tego uczynić.

— Nie rozumiem... mów jaśniej! — wołał z niepokojem były nadzorca fabryki.

— Mówiłeś, krzyczałeś, opowiadałeś straszne jakieś rzeczy; niepodobna mi było dozwolić, ażeby obcy człowiek to słyszał.



XI.

Garaud zbladł nagle.

— Mówilem... krzyczałem?...—powtórzył.

— Tak jest, kuzynie.

— Cóż więc mówiłem?

— Eh! głupstwa... powtarzać nie warto!

— Ale cóż przecie?—zawołał opryskliwie wspólnik Mortimera.

— Mówiłeś o jakichś planach, maszynach, mnóstwo bez związku banialuków; obawiałem się ciebie, będąc przekonanym, żeś dostał obłąkania i wskutek tego nie chciałem sprowadzać doktora.

Mniemany Paweł Harmant ukrył głowę w dłoniach.

— Co ja mogłem takiego powiedzieć? — zapytywał sam siebie — z kąd przyszedł ten nagły obłąd... owo szaleństwo? — A nie znalazłszy na to odpowiedzi, usiłował rozpędzić przyniatające go myśli.

— Jak daleko postąpiła nasza praca?—zapytał po chwili.

— Zsumowałem kosztorys, przejrzyj go i podpisz; około południa będziemy mogli udać się do fabryki—odrzekł Soliveau.

Jakób, podszedłszy do umywalni, zlewał przez czas długi twarz i głowę zimną wodą, dla przywrócenia zmysłom równowagi, poczem zasiadł do pracy. Po załatwieniu interesu z właścicielem zakładu w Kingston, obadwa z Owidyuszem wraca koleją w stronę New-Jorku, dokąd w nocy przybyli. Soliveau nazajutrz wstał bardzo rano, a zamknąwszy się w swym gabinecie, w wielkim nieładzie utrzymywanym, zasiadł przed biurkiem, rozłożył ćwiartkę listowego papieru, wziął pióro i nakreślił te słowa:

„New-Jork, 23 czerwca 1862 r.

Dyrektorowi generalnego szpitala w Genewie.

Panie! Ufny w uprzejmość jego, pośpieszam prosić o wyświadczenie mi nader ważnej przysługi. Potrzebują



dowodami zgon mego krewnego Pawła Harmant, mechanika, nastąpiony w r. 1856-ym, w szpitalu, którego pan jesteś dyrektorem, proszę o nadesłanie mi kopii aktu jego zejścia, prawnie zlegalizowanej. Na kosztą i wyniknąć mogące w tej sprawie poszukiwania, załączam sto franków, gdyby zaś powyższe wydatki nie dosięgnęły tej cyfry, pozostałość racz pan wnieść do kasy pomocy waszego dobroczynnego zakładu.

Druga ulica Nr. 55,  
w New-Jorku.

Z wysokiem poważaniem  
Owidysz Soliveau."

Odczytawszy ten list, włożył go w kopertę, a nakreśliwszy adres, udał się na pocztę, gdzie go wrzucił do skrzynki. W końcu miesiąca otrzymał akt zejścia Pawła Harmant, zmarłego na suchoty w genewskim szpitalu w dniu 15 kwietnia 1856 roku.

— Ha! samozwańczy Pawle Harmant—zawołał Soliveau rozpromieniony radością—teraz nie ty mnie, ale ja ciebie trzymam w mych szponach!

*da przyjechał*  
\* \* \*

Lat dziesięć upłynęło od powyżej opowiedzianych wypadków. Nadszedł rok 1870, ówrok straszny. W dniu piątym grudnia, o godzinie jedenastej w południe, orszak pogrzebowy, wyszedłszy z probostwa de Chévry, skierował się w stronę kościoła tej wioski. Na czele szedł zacny ksiądz Langier, z nabrzękłemi od płaczu oczyma, drżącym głosem śpiewając „De profundis.” Zwarty tłum ludzi postępował za niosącymi trumnę czarnem suknem nakrytą, z białym w pośrodku krzyżem.

Tuż po za trumną, oddzieleni od tłumy, szli dwaj mężczyźni; jeden z nich około lat trzydziestu pięciu mieć mogący, rugi podrostek czternastoletni w szkolnym mundurku.

Pierwszym był to znany nam malarz Edmund Castel, rugim Jerzy Fortier niegdyś, obecnie Jerzy Darier.

Odprowadzano na wiekiuisty spoczynek matkę przybraną syna Joanny. Zaczna siostra proboszcza Langier zmarła



w siedemdziesiątym roku życia, po kilkodniowej chorobie. Kształcący się w jednym z kolegiów Paryża, a wezwany do Chévry w chwili obsaczenia wojskiem tegoż miasta, Jerzy, był obecnym przy śmierci tej tak godnej szacunku kobiety, przybranej swej matki, zgon której uderzył go w serce boleśnie.

Pomimo swoich młodocianych lat wieku, Jerzy nie był już dzieckiem; myślał i czuł wiele, pojmując, jaka próżnia ze śmiercią tej uwielbianej powszechnie kobiety otworzy się wokoło niego.

Po strasznej, pamiętnej wojnie nastąpił wreszcie pokój. Edmund Castel, wypełniwszy swój obowiązek w gwardyi ruchomej Paryża, zawiózł Jerzego do kolegium Henryka IV-go, objąwszy na nowo w posiadanie swoją pracownię przy ulicy de Renne, cudem ocaloną przed napaścią prusaków.

Upłynął miesiąc od śmierci pani Darier; Edmund Castel wraz z Jerzym wrócili do Paryża, gdy dnia pewnego młody malarz odebrał list, nakreślony ręką Brygidy, starej służącej proboszcza, wzywający go ku jaknajspieszniejszemu przybyciu do Chévry. Owładnięty smutnem przecuciem, Edmund bezwzględnie tamże pośpieszył.

Przybywszy na probostwo, poznał, że go przecucie nie omyliło. Ksiądz Langier dotknięty został ciężką chorobą, obok czego jednakże zachował całą przytomność umysłu. Na widok wchodzącego młodzieńca, wychudła twarz chorego zajaśniała radością.

— Ostatnia chwila nadeszła—rzekł, wyciągając rękę ku Edmundowi.—Bóg, którego tyle kochałem, któremu służyłem ze wszystkich sił moich, wzywa mnie ku sobie. Niechaj się stanie wola Jego święta...

Edmund, tłumiąc łzy, gwałtem mu się do oczu cisnąc chciał coś przemówić.

— Zapomnij o mnie, me dziecię — rzekł proboszcz — a mówmy o Jerzym. Wezwałem cię tu do siebie, ponieważ przed śmiercią pragnę powierzyć ci ważne zlecenia. Siad i posłuchaj mnie.



Młody malarz siadł w pobliżu łóżka umierającego.

— Wiadomo ci—zaczął ksiądz Langier—iż moja siostra przekazała cały swój majątek Jerzemu, przybranemu przez nas synowi.

— Wiem o tem—odrzekł artysta.

— W testamencie nazaczyła mnie jego opiekunem; gdy zaś obecnie zbliżający się kres życia nie dozwala mi nadal wypełnić jej woli, tobie powierzam opiekę nad Jerzym, wraz z tem, co posiadam. Kochaliśmy tkliwie oboje z siostrą syna Joanny Fortier; otocz go, proszę, zarówno i ty swoją miłością, swoim przywiązaniem. Przyrzekasz-że mi to uczynić i wypełnić ściśle zlecenie, poruczone ci przez umierającego?

— Przyrzekam kochać Jerzego i czuwać nad nim jakby nad własnym bratem!—rzekł Edmund głęboko wzruszony.

— Dziękuję ci, stokroć dziękuję! — zawołał starzec; — znając twe serce, byłem pewien, iż nie odmówisz tej mojej prośbie ostatniej. Ciebie naznaczam wykonawcą mojego testamentu, jaki ci wręczę, a którego drugi egzemplarz znajduje się u notaryusza de Bossy-Saint-Leger. Oddam ci go wraz z listem, napisanym przezemnie do Jerzego, który zachowasz u siebie do chwili, gdy Jerzy ukończy dwudziesty czwarty rok życia. Dwudziestopięcioletniemu mężczyźnie należy wiedzieć szczegóły swego pochodzenia, znać prawdę całkowitą, zupełną. Mimo mych starań, nie zdołałem ocalić jego nieszczęśliwej matki, jak również nie mogłem tego dokonać, ażeby nazwisko Fortier, to nazwisko skalane krwią i mordem, nie zostało zamieszczonem w akcie adoptacji. Sądzę wszelako, że Jerzy, zostawszy człowiekiem dojrzałym, winien o wszystkim wiedzieć. Gdyby bowiem, wbrew wszelkim pozorom, ludzka sprawiedliwość potępiła niewinną, nie byłoby natenczas obowiązkiem syna starać się o uwolnienie swej matki, jeśliby żyła jeszcze, o zdjęcie z niej tyle straszego piętna hańby?— Chcę jednak, aby w dwudziestym piątym roku życia, Jerzy dopiero dowiedział się o owej fatalnej tajemnicy. Przyrzekasz mi więc to uczynić, Edmundzie, przysięgniesz? — pytał dalej



chory, iż cokolwiekbądź nastąpiłoby mogło nie odkryjesz mu nic w tym względzie przed oznaczoną datą przezemnie.

— Przyrzekam, przysięgam! — zawołał artysta.

— Otwórz więc to biurko, proszę cię — rzekł proboszcz.

## XII.

Edmund powstawszy, spełnił polecenie.

— W dolnej szufladzie, po prawej stronie, znajdują się dwie paczki papierów opieczętowane, podaj mi je, — mówił ksiądz Langier.

Młody artysta znalazłszy dwie duże koperty z pieczęciami, wręczył takowe choremu.

— To, to właśnie, — rzekł proboszcz.

Zamknawszy biurko, Edmund powrócił do jego łóża.

— Jedna z tych kopert zawiera mój testament — ciągnął ksiądz Langier; — w drugiej mieści się list napisany przezemnie do Jerzego, jaki masz mu doręczyć w oznaczonym czasie. Zachowaj oba dokumenty u siebie drogi Edmundzie, a bądź dla tego biednego sieroty życzliwym przyjacielem, i mądrym doradcą. Jerzy, rozpocznie wkrótce lat piętnaście, byłem jego nauczycielem prawie od niemowlęctwa, znam go więc dobrze. Zdaje się on mieć powołanie do prawniczego zawodu, kształć go w nim, jeśli to powołanie nadal pozostanie. Obok tego przezornie zarządzaj majątkiem, jaki oboje wraz z siostrą dlań przekazujemy. Nie wielka to wprawdzie fortuna, pozwole ona mu jednak rozpocząć walkę z życiem, i urządzić się na początek przyzwoicie. Polecam twojemu sercu to przybrane dziecko mej siostry, kochany Edmundzie — mówił dalej chory; — mam silne przekonanie, że uczynisz zeń to, co jabym sam uczynił, poczciwego, zacnego człowieka.

Młody malarz uściskał rękę kapłana.

— Przysięgam — powtarzał — iż czuwać nad nim będę z wszelkiem staraniem, z miłością ojca i brata.



Dwie grube łzy spłynęły z oczu umierającego.

— Polecam ci sprzedać wszystko co tu się znajduje — mówił dalej, dawszy przeminać milczeniu — z wyjątkiem biblioteki, jaką zachowasz dla Jerzego, jak równie nakazuję ci zachować dlań małego, tekturowego konika z którym dziecię weszło tu do mnie raz pierwszy tuląc go do swych piersi naówczas gdy jego matka omdlała w progu z głodu i znużenia. Ta drobna zabawka stanowi relikwię dlań prawie. Jerzy na szczęście nie pamięta owych chwil smutnej przeszłości; sądzi, że konik ów został mu danym przez moją siostrę, z kąd wielce go ceni. Skoro wyrośnie na dojrzałego mężczyznę, i urządzi się u siebie, oddasz mu tą drobnostkę.

— Wszelkie życzenia twe opiekunie, zostaną do najściślejszych szczegółów spełnione — rzekł Edmund — masz-li co więcej jeszcze do polecenia?

— Nie! umieram spokojny o przyszłość Jerzego — odpowiedział ksiądz Langier — radbym jednakże przed wybraniem się w mą ostateczną podróż, ujrzeć jeszcze to dziecię. Czy nie mógłbyś jechać po niego do Paryża?

— Ach! wola twa opiekunie jest dla mnie rozkazem — zawołał artysta — dziś wieczór Jerzy stanie przy twojem łożu.

— Spiesz, bo czas nagli, życie ucieka — rzekł proboszcz.

Edmund ucałowawszy rękę kapłana wyjechał.

Przez upłynione lat jedenaście, młody ten człowiek pracował wiele; stał się poważnym artystą, artystą rzeczywistej wartości, którego dzieła sprzedawano po wysokich cenach. Na początku naszego opowiadania, widzieliśmy go przybywającym do Chévry na kilkodniowy wypoczynek, a razem dla wyśzukania tematu do obrazu, któryby na jego nazwisko dotąd jeszcze nieznanne, mógł zwrócić ogólną uwagę. Wiemy, że przyaresztowanie Joanny Fortier, w chwili, gdy rozłączano z dzieckiem tą nieszczęśliwą kobietę, nasunęło mu upragniony temat, jaki w pobieżnych rysach naszkicować pośpieszył.



Wróciwszy do swej pracowni w Paryżu, zaczął malować obraz sprawiający porywające wrażenie. Zamieszczona w nim postać Joanny Fortier i jej małego Jurasia, odznaczały się uderzającym podobieństwem. Najmniejszy szczegół nie został pominięty przez młodego artystę, nawet ów tekturowy konik znajdował się w ręku dziecka.

Obraz ten wystawiony w Salonie, zyskał niezwykle uznanie; z przyczyny jednak, iż położone pod nim nazwisko Edmunda Castel nie było wiele znanem, nie znalazł nabywcy. Po ukończonej wystawie płótno wróciło do pracowni malarza, gdzie w ciemnym zakątku pod zielonem nakryciem zawieszonem zostało i Edmund zajęty innemi robotami, prawie o niem zapomniał. W następnym roku artysta otrzymał złoty medal, a w rok później, pierwszą nagrodę Salonu.

Od owej chwili młody malarz zyskał ogólną wziętość, a wraz i fortuna dotąd płochliwa doń się uśmiechnęła. Edmund, wiodący życie spokojne, regularne, a po nad wszystko ceniący niezależność, nie pomyślał dotąd o ożenieniu.

— Jak się to dziwnie rzeczy składają — mówił sam do siebie jadąc z Chevry do Paryża — obawiałem się ożenienia, a będę miał dziecię na opiece teraz, ja, który rzeczywiście tak kocham dzieci!

Przybywszy na miejsce, kazał się zawieźć do kolegium Henryka IV-go, gdzie umieszczonym był Jerzy, żądając bezwłocznego widzenia się z dyrektorem.

Na przedstawione sobie powody, ów kierownik zakładu wydał rozkaz, by dla młodego Darier przygotowano wszystko do podróży.

W pięć minut później wybiegł Jerzy ku przybyłemu.

— Co stało się panie Castel żeś przybył — wołał z niepokojem. — Miałżeby ukochany mój wuj być słabym?

— Tak drogie dziecię, jest chorym — odrzekł artysta.

— I mocno chorym? — pytał chłopiec z trwogą.

— Niebezpiecznie — rzekł Edmund.

Jerzy wybuchnął łkaniem.



— Boże, mój Boże! — wołał — ukochana moja matka poszła tam pierwsza, miałżeby i wuj opuścić mnie zarówno?

— Odwagi lube dziecię — mówił artysta, tuląc chłopca do piersi — odwagi! Jedziemy natychmiast, twój wuj pragnie cię widzieć.

— Och! jedźmy co prędzej.

W trzy godziny później wysiedli obaj na probostwie de Chévry, które wkrótce nową miało się okryć żałobą.

Jerzy wbiegł szybko do pokoju księdza, w którego objęcia rzucił się płacząc. Chory zarówno niemógł powstrzymać łkania, jakie dusiło go prawie.

Przez parę sekund pozostali oba w niemym, serdecznym uścisku, aż wreszcie proboszcz zdoławszy pokonać wzruszenie:

— Jerzy — rzekł głosem złamanym — drogie, ukochane dziecię, jak twoja matka, ma siostra, tak i ja ten świat wkrótce opuszczę.

— Nie! nie! — szeptał syn Joanny Fortier, drżąc cały — ty nie umrzesz, mój opiekunie, nie umrzesz, ja nie chcę byś umarł!

— Daremna opierać się temu — rzekł smutno chory — podlegam jak wszyscy ogólnemu prawu. Bóg wzywa mnie; idę ku Niemu. Opuszczając świat, jednego tylko żałuję, a to, iż nie mogąc być tobie w życiu przewodnikiem, nie będę widział, skoro w dojrzałych latach rozstrzygniesz o swojej przyszłości. Zanim to nastąpi, nasz dobry przyjaciel Edmund Castel zastąpi ci tych, których straciłeś. Przyrzecz mi drogie dziecię — kończył ksiądz Langier osłabionym głosem — że jak byłeś posłusznym swej ukochanej matce, a mej dobrej siostrze, jak mnie posłusznym byłeś, tak wskazanego sobie opiekna we wszystkim słuchać będziesz zarówno. Przyrzekasz mi to?

Jerzy dusząc się od łkania, jakie nie pozwoliło mu głosu z piersi wydobyć, poruszył głową na znak potwierdzenia i rzucił się w objęcia Edmunda płaczącego cicho.



— Tak w latach młodocianych, jak w wieku dojrzałym — mówił chory dalej — bądź takim, jakim byłeś w dziecięcych chwilach życia, dobrym, ludzkim, miłosiernym. Przyszłość, być może, chowa dla ciebie wiele walk ciężkich i smutków, uzbrój się więc zawczasu w odwagę, i zaparcie się siebie, pomnając, że człowiek wtedy silnym się staje, gdy go podtrzyma sumienie. A teraz me dziecko — dodał przyciszonym głosem — klękaj tu przy mnie.

Jerzy padł na kolana przy łóżku umierającego.

Ksiądz Langier uniósł się z wysileniem po raz ostatni, wyciągnął obie ręce nad głowę syna Joanny, jak to niegdyś nad jej czołem uczynił i rzekł:

— W imię miłosiernego Boga, ja ciebie błogosławię.

Były to ostatnie słowa zacnego kapłana; wysilenie wyczerpało resztki sił jego. Padł na poduszki, a bladą twarz otoczyły siwe włosy jak gdyby srebrzystą aureolą.

Jerzy pochwycałszy ręce konającego, okrywał je pocałunkami.

W kilka minut później ksiądz Langier, ów człowiek, którego życie całe było jednym pasmem dobroczynienia, oddał Bogu czystą swą duszę.

W tydzień, okryty nową żalobą młody Darier, wracał do kolegium Henryka IV-go, rada familijna posłuszna woli testatora, mianowała Edmunda Castel głównym opiekunem pozostałego sieroty.

Podczas gdy się to działo na probostwie de Chévry, Noemi Mortimer umierała w New-Jorku, pozostawiając swemu mężowi, mniemanemu Pawłowi Harmant ośmioletnią córeczkę, wątłą i słabowitą.

Jakób Garaud mimo, iż był łotrom nikiem, kochał swą żonę do ubóstwienia, ztąd boleść jego nie miała granic; jedyną ulgę przynosił mu widok dziecięcia przypominającego matkę.



Jan Mortimer złamany tym strasznym ciosem nie przeżył długo swej córki; zmarł, zostawiwszy zięciowi jeden z najrozleglejszych przemysłowych zakładów w Ameryce.

### XIII.

Posiadłszy tajemnicę Jakóba Garaud, Owidyusz, strzegł pilnie swego mniemanego kuzyna, milczał jednakże przez lat dziesięć, życzliwość dlań bowiem Jakóba nie pozwalała mu użyć środka tego. Oddając się coraz więcej grom hazardownym, ów paryżanin tracił znaczne sumy jakie zań płacił zięć Mortimera. W takim stanie rzeczy brakło pozorów Owidyuszowi do wystąpienia z swą bronią.

Nieprzewidziany zbieg okoliczności złamał jego powściągliwość w tym względzie.

Pamiętamy, że właściciel fabryki w Alfortville zostawił syna powierzonego opiece pani Bertin, która za pomocą sum otrzymanych z Towarzystwa ubezpieczeń, zlikwidowała należitości po bracie pozostałe. Honor nazwiska zmarłego ocalałym został. Lucyan w spadku jednakże otrzymał tylko opustoszałe grunta ze zwaliskami fabryki, za które dawano bardzo niską cenę.

— Kto wie — mówiła pani Bertin — czy mój siostrzeniec kiedyś nie będzie w możności odbudowania warsztatów, a gdyby to nastąpiło, grunt znajdzie gotowym, niech więc to wszystko jak jest pozostanie.

Zacna ta kobieta kochała Lucyana jak własnego syna, a myśląc o jego przyszłości, postanowiła udzielić mu staranne wychowanie. Niejednokrotnie nadmieniał jej pan Labroue, iż życzyłby sobie, ażeby syn jego kształcił się w technicznym kierunku, i został kiedyś inżynierem; postanowiła więc zastosować się do tego; i skoro chłopiec ukończył dziesiąty rok życia przeniosła się wraz z nim do Paryża, gdzie go umieściła w kolegium Henryka IV-go



Los tym sposobem połączył syna ofiary, z synem nieszczęśliwej skazanej za cudzą zbrodnię, i obaj chłopcy stali się wkrótce najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Młodszy dwoma laty od Lucyana Jerzy, znajdował się mimo to w jednej klasie z synem pana Labroue, kończąc z nim razem nauki. Przyszła jednakże chwila rozłączenia, gdy Lucyana po wyjściu z kolegium udał się na kursa szkoły Sztuk i Rzemiosł, który to rozdział chwilowy nie zerwał związków przyjaźni łączącej obu młodzieńców.

Pani Bertin posiadając jedynie wdowią dożywotnią swą pensję, w ilości pięciu tysięcy franków, jaka służyła jej na utrzymanie wraz z siostrzeńcem, niepokoila się przyszłością Lucyana, mogącego w razie jej śmierci znaleźć się bez środków do życia, z uwagi na co oszczędzała się w wydatkach, aby cośkolwiekbądź na bok odłożyć dla ukochanego chłopięcia.

Syn paną Labroue był pracowitym; gorąco pragnął on własną siłą zdobyć sobie stanowisko w społeczeństwie, a pewien, iż dopnie tego, pocieszał ciotkę w jej obawach.

Zacna kobieta zmarła, gdy jej siostrzeniec poczynał dwudziesty rok życia; przed zgonem jednak, opowiedziała mu o tragicznej śmierci swego brata, o majątkowym upadku wskutek tej śmierci, przekazując zarazem młodzieńcowi prawo własności do gruntów w Afortville. Wyjawiwszy Lucyanowi nazwisko kobiety skazanej na dożywotnie więzienie za zamordowanie jego ojca i podpalenie fabryki, opowiedziała mu wszystkie szczegóły tej tajemniczej sprawy, nie ukrywając, iż mimo wydanego przez sędziów wyroku, wątpiła ona, ażeby zbrodnia ta spełnioną być mogła przez Joannę Fortier. Mówiła zarówno o nadzorcy Jakóbie Garaud, którego mniemano być pochłoniętym przez pożar w czasie niesienia ratunku, nie wierząc samą bynajmniej w to jego poświęcenie i śmierć jaka stwierdzoną nie została. Według jej zapatrywań, Jakób Garaud był winny, a Joanna męczenicą jedynie.



Lucyan słuchał tych opowiadań z uczuciem żywej boleści; słowa ciotki utkwiły w jego umyśle; zaprzysiągł rozjaśnić ciemności pokrywające śmierć ojca.

Po zgonie pani Bertin, zostawszy sam na świecie z podwójną energią zabrał się do pracy w kierunku specjalnych, technicznych studyów, ażeby prędzej dosięgnąć celu.

Opuściwszy go, wróćmy do Joanny Fortier.

Wiemy, iż nieszczęśliwa uległszy obłąkaniu w skutek gwałtownego zapalenia mózgu, spowodowanego posłyszczanym wyrokiem, przeniesioną została do Salpêtrière, jak wiemy zarówno, iż lekarz oddziału obłąkanych po zbadaniu jej cierpienia powiedział:

— Ona może być uzdrowioną.

Nieprzewidziany wypadek przyspieszył to uzdrowienie Joanny.

Było to w czasie oblężenia Paryża. Wojska niemieckie otoczyły miasto łańcuchem ognia i żelaza. Chcąc głodem zmusić do poddania się mieszkańców, prusacy ściskali coraz więcej linię oblężniczą, aż znużeni wreszcie oporem paryżan, rozpoczęli bombardowanie, zasypując granatami najbliższą sobie część miasta, położoną na lewej stronie Sekwany.

Trzy bomby pękły w obrębie budynków Salpêtrière, jedna z nich zapaliła front, mieszczący w sobie obłąkanych, w których liczbie znajdowała się wdowa po Piotrze Fortier. Płomienie zewsząd mury ogarnęły, sięgały sklepień i dachów, a krzyki przerażenia i dzikie wycia szalonych, podwajały grozę tej sceny.

Joanna błędnie oczyma, z rękoma uczepionemi do ryglów swej celi wpatrywała się w pożar, dokonywający dzieła zniszczenia. Zdumiewająca przemiana odbywała się natenczas w jej mózgu. Pożar w Salpêtrière, stał się dla niej pożarem fabryki w Alfortville. Pamięć wracała jej jednocześnie z wspomnieniem, rwała się, rozpostarta na umyśle zasłona, rozum odzyskiwał swe prawa. Pojawszy niebezpieczeństwo, zamiast wydawać dzikie okrzyki, wzywała głośno pomocy.



Ocalona wraz z towarzyszkami, przeprowadzoną została do oddalonej części budynku, gdzie ukrywszy twarz w dłoniach zadumała głęboko.

Po upływie godziny, przeszłość, ta przeszłość dziesięcioletnia nie była już dla niej tajemnicą.

Przybyły w zwykłe odwiedziny doktor nazajutrz, znalazł chorą patrzącą jasnym, pogodnym spojrzeniem zżywionym wyrazem twarzy.

Spostrzegliśmy we drzwiach lekarza, pierwsza zbliżyła się ku niemu, pragnąc zapytać gdzie się znajduje, czuła bowiem, że jest uwięzioną, lecz gdzie, w jakim więzieniu?

Podchodzącą ku sobie, doktor bystrem obrzucił spojrzeniem, zrozumiałwszy, iż coś dziwnego, nieoczekiwanego zaszło w umyśle tej kobiety. Chciał pierwszy przemówić, uprzedziła go w tem Joanna:

— Pan jesteś doktorem, nieprawdaż? — spytała.

— Tak — odrzekł zdumiony.

— A zatem ja się znajduję w szpitalu?

Głos mówiącej był czysty i jasnym, wyrazy zwięzłe wypowiedziane, co zwróciło uwagę lekarza.

— Zapytujesz czy jesteś w szpitalu? Tak! — odrzekł z wachaniem.

— Dlaczegoż nie jestem w więzieniu, gdzie miałam odsiadywać mą karę? — mówiła dalej.

— Znajdujesz się w Salpêtrière — rzekł doktor, coraz więcej zdumiony tym nagłym przewrotem cierpiącej. Salpêtrière jest zarazem więzieniem i szpitalem.

— W Salpêtrière? — zawołała wdowa, bledniejąc — ach! teraz wypełnia się próżnia, wytworzona w mej głowie! W Salpêtrière zamykają skazanych, dotkniętych obłąkaniem. Byłam więc waryatką!



## XIV.

Doktór zawahał się z odpowiedzią.

— Tak! byłam warjatką — mówiła żywo wdowa po Piotrze Fortier — nie zaprzeczaj pan, to próżne! Byłam obłąkaną, lecz nią obecnie nie jestem. Ciemności, rozsnute nad moim mózgiem, nagle się przedarły. Noc rozproszyła się... Wszystko, tak... wszystko sobie przypominam. Skazano mnie na dożywotnie więzienie za morderstwo, podpalenie i kradzież! Usłyszawszy ów wyrok, wyrok niesprawiedliwy, przysięgam... omdlałam! Co działo się ze mną od owej chwili, nie wiem tego. Zdaje mi się, że spała snem długim i ciężkim. O, powiedz mi pan... powiedz, błagam cię — mówiła z rozrzewnieniem w głosie, powiedz, jak długo byłam obłąkaną, od jak dawna przebywam w Salpêtrière? ja muszę to wiedzieć!

— Aby ci ściśle oznaczyć czas — rzekł doktór — potrzebuję w tutejszych księgach sprawdzić datę twojego przybycia — i zwróciwszy się do nadeszłej dozorczyńni, polecił przynieść sobie takowe.

— Przebywasz tu pani od dnia 14 marca 1862 r. — rzekł, zuciwszy księgę.

— A obecnie jaki rok mamy? — pytała.

— Tysiąc osiemset siedemdziesiąty pierwszy.

Joanna, zachwiałszy się, omal nie upadła.

— Lat dziewięć! — jęknęła, powściągając wzruszenie przykładając rękę do czoła; — więc przez lat dziewięć byłam obłąkaną! — Nikt już zapewne o mnie nie pamięta i nikt nie wychodził tu do mnie, wszak prawda?

— Nikt! — odpowiedziała dozorczyńni.

— A jednak miałam dwoje dzieci! — wołała nieszczęśliwa kobieta, wybuchając łkaniem — syna Jerzego i córkę Łucyę... ile się z nimi? Czy żyją aby jeszcze... czy żyją?

— Nic o tem nie wiem — rzekł doktór — napisz pani do os u których zostawiłaś swe dzieci, a otrzymasz dokładne obświadczenie.



— Tak! — zawołała uwieczona — napiszę, napiszę, chcę wiedzieć... Lecz co mnie teraz oczekuje?

— Przedewszystkiem zadam pani jedno zapytanie — ozwał się lekarz — a skoro mi na nie odpowiesz, złożę raport, stwierdzający twe uzdrowienie. Niezaprzeczenie w tej chwili znajdujesz się pani w stanie zupełnej przytomności umysłu — mówił dalej — jak to długo potrwa jednakże, przyszłość okaże. Chciej mi powiedzieć, w jaki sposób odzyskałaś przytomność?

— Ja nie wiem — odpowiedziała Joanna. — Na widok wspinających się po murze płomieni trwoga mnie ogarnęła... Przypomniało mi to pożar fabryki w Alfortville, zaczęłam przyzywać pomocy...

— Wstrząśnienie moralne zbudziło wspomnienia, skutkiem czego wróciła przytomność — rzekł doktor. — Nie po raz to pierwszy zdarza się nam stwierdzać coś podobnego.

— Sądysz mnie pan zatem być uzdrowioną?

— Spodziewam się i wierzę w to!...

— Zechciej mnie więc objaśnić, o co prosiłam: jaki leczy czeka mnie teraz?

— Po złożeniu przezemnie raportu przeniesioną niesz do więzienia, gdzie będziesz odsiadywała swą karę.

— Tak, dopóki żyć będę! — zawołała z goryczą; — a moje osierocone dzieci być może zmarły... zmarły z braku macierzyńskiej opieki. Ach! nieszczęście srodze we mnie uderza.

— Odwagi, biedna kobieto — rzekł doktor, wychodząc — odwagi!... Nie posiadasz dowodu, aby twe dzieci umarły, może, Bóg je zachowuje dla twego szczęścia i dozwoli uściśnić ci je kiedyś!

Wdowa po Piotrze Fortier wybuchnęła łkaniem. I w wyjściu doktora, zostawszy samą, Joanna uspokoiła się nieco i rozmyślać zaczęła nad swoim położeniem.

— Zostawiłam Jurasia u proboszcza wioski, nazwano jej się, o ile pomnę, Chévry. Ów proboszcz był zacnym człowiekiem, pełnym dobroci i miłosierdzia. Przyrzekł, iż synem mo-



im opiekować się będzie i jestem pewną, że dotrzymał słowa. Mój ukochany Jerzy, jeżeli żyje, ma już lat czternaście, a Łucya jedenaście. Jej mamka w Joigny, zdjeta litością, pewno ją wychowała. Och! moje dzieci, moje ukochane dzieci—wołała, rozplywając się we łzach—czyż ja was kiedy zobaczę? Tak—dodała po chwili—doktór miał słuszność, ufajmy w boskie miłosierdzie, może ja je kiedyś uścisknę jeszcze.

I ukojona tą myślą, udała się z prośbą do dozorczyńni o potrzebne materyały do napisania listu.

— Niewolno nam udzielać takowych — odpowiedziała.

— Ależ ja już nie jestem obłąkaną—prosiła Joanna.

— To nic nie znaczy. Dla przyjętych tu reguł wyjątki nie istnieją. Jutro, podczas wizyty—mówiła—proś pani o to zarządzającej albo doktora. Być może, dostarczyć ci żądane przedmioty pozwolą. Ja działać samowolnie nie mogę w tym razie.

Biedna kobieta płacząc, pochyliła głowę w milczeniu.

Nazajutrz poprzedniego doktora zastępował inny lekarz. Wy pod względem przepisów, nie chciał uwzględnić żądającej, jak również i zarządzająca zakładem, do której udała się Joanna.

— A więc—wołała nieszczęśliwa matka, owładnięta rozpaczą—pozbawiają mnie nawet środków powiadomienia się, czy moje dzieci żyją lub zmarły?

Po złożonym raporcie przez doktora o uzdrowieniu wdowi Fortier, wydano rozkaz przewiezienia jej do Saint-Lazare, gdzie przeprowadzona być miała do więzienia w Clermont. Wiadomość ta zmocniła otuchą jej serce, spodziewała się bowiem, iż w więzieniu łatwiej jej może napisać pozwolą. Zaledwie jednak nieszczęsną nadzieją; i tam zarówno wszelka korespondencya najsurowiej więźniom wzbronioną została.

Było to w początkach roku 1871. Po ukończonej wojnie, skutkiem wewnętrznych zamieszek, nastąpiły mordy i pożary w Paryżu, tak, iż zaledwie w czerwcu zdołano przewieźć skazaną do Clermont, gdzie umieszczono ją w szwalni. Tu na-



reszcie, mimo surowej reguły więziennej, udzielono jej pozwolenie na napisanie listu. Wysłała je dwa razem; jeden do proboszcza w Chévry, drugi do mamki, u której pozostawiła swą córką w Joigny, oczekując odpowiedzi z ławą do pojęcia trwogą.

W kilka dni potem dyrektor więzienia odebrał list od proboszcza w Chévry z oznajmieniem, iż jego poprzednik zmarł, a on nic nie wie o szczegółach żądanych. Na tę wiadomość biedną kobietę ogarnęła rozpacz, która zwiększyła się jeszcze, gdy jednocześnie prawie powrócił list wysłany do mamki w Joigny z napisaniem na kopercie: *Adresantka nieznaną*.

— Tak więc biedne me dzieci straconemi dla mnie zostały!—wołała nieszczęśliwa—nigdy ich nie zobaczą więcej! Nie, nie! — szepnęła zeicha po przejściu wzruszenia—ja chcę je widzieć i widzieć je muszę... choćby mi przyszło czekać lat dziesięć, wynajdę sposób wymknięcia się z tego domu, muszę j odszukać... Bóg mi je powróci!

Odtąd gorące pragnienie ucieczki opanowało umysł anny, nie dając jej spokoju.

— Uciec... lecz w jaki sposób?—zapytywała siebie.

Gruby, podwójny mur opasywał więzienie, a wśród pomiędzy temi murami, na piętnaście stóp wysokimi, cho dwóch szyldwachów, dniem i nocą czuwając, zaś u drzwi, chodzących na więzienne podwórze, stało dwudziestu nierzy.

Wewnątrz budynku rygor był niemniej surowym. O tej godzinie latem, a o szóstej zimą, więźniowie wstawali mi sieli. Po krótkiej przechadźce w dziedzińcu, szli do warsztatów, pracując tam do jedenastej, w którym to czasie rozdawano im obiad w refektarzu; o dwunastej wracali znów do swych zajęć w warsztatach, pozostając tam do wieczery, po spożyciu której, modłach wieczornych w kaplicy i krótkiej przechadźce, udawali się na spoczynek.



Reguła nakazywała uwięzionym bezwzględne milczenie. W takich warunkach czyliż podobna marzyć o ucieczce, o wyzwoleniu się wobec bezustannej nad sobą czujności nadzorców?

Joanna pojmowała trudność, a raczej niemożebność spełnienia podobnego zamiaru; nie rozpaczała jednakże i nie traciła nadziei; mijały wszelako miesiące, lata po latach następowały, a nie nadarzała się sposobność, tyle upragniona przez nie-szczęśliwą.

W początkach siódmego roku od chwili uwięzienia, z uwagi na jej nienaganne zachowanie się, postanowiono ją przenieść do infirmaryi. Było to wielką łaską, nadzorczyńiom bowiem przy chorych mówić wolno było, używały tam większej swobody, stosownie do reguł przepisanych i otrzymywały drobne osobiste wynagrodzenie.

## XV.

Wdowa po Piotrze Fortier przyjęła tę wiadomość z nieopisaną radością, spodziewając się, iż nowa sytuacja dostarczy jej od tak dawna wyczekiwaną sposobność do spełnienia powziętego zamiaru. Infirmaryą zarządzały siostry miłosierdzia, oceniające oddawna ciche i spokojne zachowanie się uwięzionej. Po upływie roku Joanna została główną dozorczynią w więziennym szpitalu. Dano jej oddzielną stancijkę, przytykającą do apteki, zostającej pod zarządem jednej z zakonnice świętego Wincentego à Paulo. Siostra ta zajmowała również gabinet obok apteki, lecz położony z przeciwnej strony mieszkania wdowy Fortier.

Obowiązki służbowe powoływały często główną dozorczynię do udawania się w różne części więzienia, bądź to do ogólnej dyrekcji, bądź do wydziału ekonomicznego lub składów. Wolno jej było chodzić po wszystkich dziedzińcach. Czynnność ta otwierała przed nią wszystkie wewnętrzne drzwi więzienia.



Oddział szpitalny położony był w prawem skrzydle gmachu, przy wejściu z głównego podwórza.

Smutny i ponury zwykle wyraz twarzy Joanny zmienił się dnia pewnego, fizyognomią jej nagle się ożywiła, rumieniec okrywał jej policzki, oczy dziwnym blaskiem płonęły, jak gdyby podniecane ukrytą gorączką. Znalazła nareszcie tak upragnioną chwilę. Przebywając w infirmeryi, zauważyła, iż w każdą niedzielę zakonnice, po wysłuchaniu mszy świętej w miejscowej kaplicy, szły o szóstej zrana na nabożeństwo do parafialnego kościoła, z kąd około ósmej wracały. Zarządzająca apteką siostra Filomena, udając się tamże z innemi, wracała wcześniej nieco, ażeby być obecną w więzieniu przy wizycie doktora.

— Otóż, co mi posłuży za pozór,—szepnęła Joanna i zamiar, od tak dawna powzięty, w czyn wprowadzić postanowiła.

Posiadając nieco uzbieranych pieniędzy podczas przebywania w szpitalu więziennym, zamierzała użyć takowych po odzyskaniu wolności na kosztą oczekującej ją podróży. Ileż potrzeba było jednakże zwalczyć przed tem trudności, ile zapór pokonać!

Nadszedł rok 1880. W dniu 18 stycznia, w sobotę wdowa po Piotrze Fortier zamierzyła rozpocząć działanie nazajutrz.

Siostra Filomena, kobieta pięćdziesięcioletnia, cierpiąc oddawna na słabość żołądkową, według poleceń doktora, piła co wieczór przed udaniem się na spoczynek kieliszek wina z chininą.

Joanna, znając ten szczegół, gdyż niejednokrotnie zakonnica w jej obecności przygotowywała sobie ów napój, odchodziła do swej stancyjki wieczorem, po odebraniu od siostry Filomeny poleceń względem dawania nazajutrz lekarstw i odwarów chorym, a zarazem przysposobienia arkuszków do zamieszczenia przepisów na dzień następny.

Od lat trzech pełniąc obowiązki w infirmeryi, wdowa znała tak wszystkie flaszki, umieszone na półkach porządko-



wo, jakoteż i własności lekarstw w nich zawartych. W chwili, gdy siostra Filomena udała się na obiad do refektarza, Joanna, wszedłszy do apteczki, zdjęła z półki flaszkę z napisem *Laudanum* i udała się z nią do pokoju siostry. Na stoliku stała butelka do połowy napełniona chinowem winem. Dozorczyni bez wahania wlała w tę butelkę połowę płynu *Laudanum*, mieszczącego się we flaszczyce.

— Będzie to dostatecznem — mówiła — dla przedłużenia snu siostry, nie przynosząc szkody jej zdrowiu.

Postawiwszy następnie flaszki na swoim miejscu, odeszła do chorych.

Wieczorne godziny dnia tego zdawały się jej wlec nieskończenie; czuła się być wzburzoną nerwowo, pożeraną przez gorączkę i trwogę.

Nakoniec uderzyła dziesiąta.

Joanna, zająwszy się, jak zwykle, przygotowaniem arku-  
szy dla doktora, przedłużała umyślnie owo zajęcie, by się nao-  
cznie przekonać, czy siostra Filomena wypije swe wino chino-  
we, jak to co wieczór czyniła.

O dziesiątej zakonnica weszła do swego pokoju.

Uwięziona, natężywszy uwagę, dosłyszała nalewanie wi-  
na z butelki i jednocześnie siostra Filomena ukazała się we  
drzwiach z kieliszkiem w ręku.

— Ukończyłaś już swą pracę, me dziecko?— spytała.

— Tak, siostrze.

— A więc idź spocznij i ja toż samo uczynię, czuję się  
być nad wyraz znużoną. Jutro niedziela—dodała—trzeba iść  
na mszę do kościoła parafialnego, a skutkiem tego wstać  
rano. Dobranoc ci, a nie zapomnij obudzić mnie równo ze  
świtem.

— Dobrze—odpowiedziała wdowa—dobranoc.

Wypiwszy lecznicze wino do ostatniej kropli, zakonnica  
weszła do swego pokoju; dozorczyńni, obszedłszy salę chorych,  
wróciła również do swej stancyjki, której okratowane okienko  
wychodziło na dziedziniec.



Pomimo, iż było to wśród zimy, a każdy pamięta, jak ciężką ona była w roku 1880-ym, młoda kobieta pod naciskiem wewnętrznego gorąca, dusiła się prawie. Wielkie krople potu spływały po jej skroniach. Otworzywszy okienko, wsparła rozpalone czoło na kracie żelaznej. Noc była ciemna, płatki śniegu unosiły się w powietrzu.

— Otóż piękna pogoda mi sprzyja — szepnęła z gorzkim uśmiechem.

Objęta mroźnym powiewem wichru, zadrzała, a zamknąwszy okno, zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami siostry Filomeny.

— Oby narkotyk ten wydał skutek pożądaný — szepnęła—i przedłużył jej sen o tyle, ile będzie potrzeba.

Słuchała dalej przez kilka minut, powstrzymawszy oddech.

— Cisza...—wyrzekła, odchodząc—zgasiła światło... śpi pewnie. Sen prędko przyszedł, czy jednak jutro zrana spać jeszcze będzie?

Odpowiedź na to niepodobną była, czekać należało.

Joanna, wróciwszy do siebie, rzuciła się na łóżko nierozbierając, i rozmyślać zaczęła nad sposobami wydostania się z więzienia. Noc upłynęła nareszcie. Uderzyła piąta na miejscowym zegarze.

Co niedziela o tej porze przychodził stróż otwierać drzwi infirmaryi na noc zamykane. Na odgłos jego kroków wdowa po Piotrze Fortier szybko się zerwała, a zapaliwszy latarkę, weszła do pokoju siostry Filomeny.

Zakonnica, z rękami na piersiach złożonemi, spała tak głęboko, że zdała się być prawie umarłą. Joannę ogarnęła trwoga. Wiedziona gorącą chęcią uwolnienia się, czy mimo-wolnie nie popełniła występku?

Podszedłszy, położyła rękę na piersiach uspionej. Ciało było ciepłe, serce uderzało. Dozorczyni z ulgą odetchnęła i nie tracąc chwili, udała się do pokoju przełożonej.



— Wielebna matko—wyrzekła, wchodząc—siostra Filomena przysłała mnie z powiadomieniem, iż zajęta przyrządzaniem bandażów dla chorych, nie będzie mogła teraz udać się do kościoła. Prosi, ażeby siostry na nią nie oczekiwały; przybędzie sama wkrótce, skoro ukończy robotę.

— Dobrze, moje dziecię—odpowiedziała przełożona—powiedz jej, że zaraz wychodzimy.

Joanna, wróciwszy do infirmaryi, znalazła zakonnicę pogrążoną w śnie tak głębokim, iż zdawał się on być prawie letargiem. Zdjąwszy więc szybko ubranie, przywdziała suknie siostry Filomeny, które doskonale na niej leżały, ponieważ zakonnica była tegoż samego wzrostu prawie; welon, przysłaniający twarz, nadawał jej pozór prawdziwej siostry miłosierdzia. Przy przebieraniu się nie zapomniała wziąć ani różańca, ani książki nabożnej, ani pęka kluczków, które zawiesiła u pasa.

W kącie leżało futro, szarem suknem kryte, z obszernym kapturem; uwięziona wdziała to futro, nakryła welon kapturem i wsunęła w kieszeń chustkę z węzełkiem, zawierającym jej drobną sumkę pieniędzy, z trudem przez lat kilka zbieraną.

— A teraz, w imię Boże!—szepnęła z gestem silnego postanowienia—w imię Boże, w drogę!—I wyszła.

## XVI.

Dziesięć sióstr miłosierdzia pełniło usługi w więzieniu pod kierunkiem przełożonej. W każdą niedzielę zrana, jak wiemy, udawały się one razem na mszę do parafialnego kościoła. Obecnie wszystkie w liczbie dziewięciu zebrały się w sali od strony podwórza.

— Lecz gdzie jest siostra Filomena? — zapytała jedna z zakonnice—nie widzę jej pomiędzy nami.

— Prosiła, ażeby na nią nie czekać — odrzekła przełożona—zajęta jest przygotowywaniem bandażów, nadejdzie sama



do kościoła; chciej nam otworzyć, mój przyjacielu — dodała — idąc z towarzyszkami ku odźwiernemu.

Klucz zaskrzypiał w ciężkim zamku żelaznym, brama się otworzyła. Zakonnice, wśród gęsto spadającego płatami śniegu, minawszy podwórze, weszły w drugi dziedziniec, gdzie inny odźwierny drugą im bramę otworzył.

W dziesięć minut po ich odejściu dało się słyszeć stuknięcie od strony więzienia. Odźwierny wyszedł, spojrzął, a ująwszy za rygiel, ujrzał stojącą przed sobą zakonnice.

— Al to siostra Filomena — rzekł — wiem o tem... Przekłety czas — dodał, otwierając bramę — spadł śnieg na stóp kilka wysoko podczas nocy.

Zakonnica, której podniesiony kaptur okrywał twarz prawie zupełnie, skinęła głową w milczeniu, przeszła jedno podwórze, następnie drugie, poczem ostatnie drzwi więzienia za nią się zamknęły. Joanna była wolną. Czy jednak ta wolność na długo posłużyć jej miała? — przyszłość okaże.

Obecnie cofnijmy się wstecz o cztery miesiące czasu, by wrócić do NewJorku dla połączenia się z Jakóbem Garaud, a raczej Pawłem Harmant, wielkim przemysłowcem Stanów Zjednoczonych, milionerem.

Były nadzorca fabryki w Alfortville dobiegał pięćdziesiątego trzeciego roku życia; córka jego Marya, którą otaczał niewysłowioną tkliwością, poczyniała rok osiemnasty. Była ona uroczo piękną blondynką, matowa jednakże bladość jej policzków, jak równie sinawa linia w około powiek, wzniewały obawę, czyli to dziewczę nie nosi w sobie zarodu piersiowej choroby, jaka zabiła jej matkę, anielską Noemi, do której dziwnie była podobną.

Cierpienie to nie rozwinęło się jeszcze widocznie na wątlęm ciele pełnej wdzięków dziewczyny, groziło jednak bezustannie, na którą to groźbę Paweł Harmant zamykał oczy, o władnięty trwogą. Wpływ Maryi na ojca był bez granic, dość było jej chcieć, aby zostać wysłuchaną i zyskać zadośćuczynienie, z czego korzystać nie zaniedbywała.



Pełnej kaprysów i dziwnych fantazyj, a prócz tego nadmiar pieszczonej jedynaczce, przychodziło na myśl zachceń tysiące, jakie wypełnionemi beżwłocznie być musiały.

W chwili gdy przedstawiamy ją czytelnikom, siedzi wraz z ojcem przy stole w towarzystwie Owidyusza Soliveau, który po śmierci Mortimera stał się głównym kierownikiem zakładów, uznany w obec wszystkich za krewnego Harmant'a.

Kończono spożywać śniadanie. Marya, krając na cienkieplątki ananas, polewała go maraskinem.

— Ojczy, posłuchaj mnie — wyrzekła — i odpowiedz na moje pytanie.

— Czego żądasz drogie dziecko? — odparł Garaud, ku córce się zwracając.

— Powiedz mi, jaką jest ogólna cyfra twego majątku po dzień dzisiejszy?

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z zdumieniem.

— Dla czego nie odpowiadasz? — wołało niecierpliwie dziewczę — najpierw odpowiedz na zapytanie, a potem dziwić się będziesz. Nasz kuzyn Owidyusz wie o wszystkim — dodała — nie mamy dla niego tajemnic; przy nim możesz wyjawić to, o czem chcę wiedzieć.

— Zkąd i dlaczego jednak pytasz mnie o to? — odważył się zagadnąć Garaud.

— Zkąd, zkąd, — powtórzyła z odcieniem gniewu — chcę, ponieważ podoba mi się chcieć i rzecz skończona! No, odpowiadaj — dodała.

— A więc drogie dziecko — odrzekł, pokonany jej wolą Garaud — posiadam, to jest posiadamy obecnie około pięciu set tysięcy liwrów dochodu.

— Co znaczy... kapitał? — pytała dalej.

— Blisko dwóch milionów.

— Czy fabryka wchodzi w powyższy rachunek?

— Nie.

— Jakąż wartość ona przedstawia?



— Wartość miliona; miałem nabywcę, który chciał mi tyle zapłacić.

— Trzeba ją było więc sprzedać—wyrzekła Marya rozkazująco.

Mniemany Paweł Harmant wraz z Owidyuszem spojrzeli powtórnie z zdumieniem.

— Jakto! ty chcesz abym ja sprzedał fabrykę? — zawołał Jakób.

— Ma się rozumieć.

— Lecz...

— Niema żadnego *lecz*. Jesteśmy dosyć bogaci!

Tu młode dziewczę pomimowolnie się uśmiechnęło, spojrzawszy na twarze obu obecnych, komicznie osłupiałe.

— Nie dosyć na tem — mówiła dalej — chcę, ażeby ta sprzedaż nastąpiła jaknajrychlej.

— Nic nas nie nagli — wybąknął Garaud.

— Przeciwnie, nagli i bardzo nagli — mówiła — mam projekt, który bezwzględnie musi być wykonanym.

— Jakież to projekt?

— Zamieszkamy stale we Francyi.

— Obaj mężczyźni pomimowolnie zadrżeli.

— We Francyi?! — powtórzyli razem.

— Tak jest we Francyi, w rodzinnym ojczyźnie twym kraju, i twoim zarówno kuzynie Soliveau. Twój kraj mój ojczyzna, jest moim, jestem francuzką. Uwielbiam Francję, chcę ją poznać, w niej żyć i umrzeć!

— Ach! zkądże tobie mówić o śmierci, drogi ukochany skarbie? — wołał były nadzorca, obejmując jasnowłosą główkę dziewczęcia i tuląc ją ku sobie.

— Nie radabym, możesz być pewnym — odrzekła śmiejąc się Marya... aby tego uniknąć chcę jechać. Pozostawszy tu dłużej, umrę w młodym wieku, umrę, mam to przekonanie, Ameryka bowiem jest mi wstrętną. Paryż mnie ściąga ku sobie. Paryż, to miasto cudów, pełne życia, rozrywek! Czuję,



iż tam łatwiej oddychać mi przyjdzie, niż w tym obmierzłym New-Jorku, którego powietrze dusi mnie, zabija!

— Nic nam nie przeszkadza — odparł po krótkim namyśle Garaud wyjechać do Francji, do Paryża, możemy tam pozostać przez parę miesięcy.

— Och! tylko bez żadnych podziałów, żadnych oznaczeń czasu! — zawołała gwałtownie dziewczyna; — nie cierpię tego, nienawidzę! Chcę, ażebyś ojciec zlikwidował swoje interesa, zrealizował majątek, i ażebyśmy bezpowrotnie wyjechali do Francji na zawsze, chcę tego!.

— Jakto, sprzedać fabrykę, zakłady? — ozwał się niechętnie Soliveau — opuścić na zawsze Amerykę? Ależ to projekt szalony!

— Myśl jak chcesz kuzynie, wszystko mi jedno; — odpowiedziała. — Wolno ci pozostać w New-Jorku jak długo ci się podoba. Nic mi na tem nie zależy, ażebyś miał jechać wraz z nami; ja jednak chcę jechać, pojechać muszę, inaczej umrę tu, umrę!

— Znowu wspomnienia śmierci! — zawołał z nieudanym smutkiem były nadzorca fabryki. — Co się dziś z tobą dzieje me dziecko? — pytał — z kąd te myśli czarne, ponure?

— Ja sama nie wiem, tak! nie wiem. Czuję, że tutejsze powietrze zabija mnie, duszę się, ginę — wołała Marya, wybuchając łkaniem.

Jakób Garaud ujął ją w objęcia, i łza, łza nieklamanej ojcowskiej miłości spłynęła na czoło dziewczęcia z ócz tego nędznika.

— Uspokój się — wyjąknął po chwili głosem złamanym — uspokój się proszę. Życzenia twoje spełnionemi zostaną. Pojedziemy do Francji, do Paryża. Lecz cóż tam robić będziemy?

— Będziemy żyli jak nam na to pozwala twój ojciec wielki majątek. Kupimy pałac w najpiękniejszej części miasta. Będziemy mieli galeryę obrazów, powozy, konie, będziemy



uczęszczali na widowiska i bale, przyjmując wytworne towarzystwo u siebie zarazem.

— Lecz wkrótce znudzi nas takie życie gorączkowe, bez celu.

— Nigdy — zawołała dziewczyna.

— Mnie zabije brak pracy, bezczynność — mówił Jakób dalej.

— Jakto, chciałbyś ojcie jeszcze pracować?

— Tak! dopóki żyć będę.

— Na co, dlaczego? Czyliżes nie dość bogaty?

— Nie dla zbierania pieniędzy, bynajmniej — odrzekł — lecz praca, to moje istnienie, to dla mnie życie!

Marya spojrziała na ojca z uśmiechem.

— A więc skoro tak jest — zaczęła — mam sposób, który pogodzi wszystko.

— Jakiż to?

— Ażebyś ojcie sprzedawszy fabrykę, wybudował sobie nową we Francyi, zupełnie do tej podobną. Cóż, nie jest że to z mej strony wielka, genialna idea? — pytała żartobliwie. — Ty, wielki mechanik, jeden z najpierwszych wynalazców w Stanach Zjednoczonych, którego nazwisko sławnem się stało, dla czegoż nie miałbyś sobie wytworzyć podobnego stanowiska w rodzinnym swym kraju? Zdobyta tu chwała pójdzie wraz z tobą, i wkrótce staniesz się we Francyi tak głośnym, jak w Ameryce. Powinieneś starać się o to, choćby ze względu na swoją córkę, która dumną się być czuje, nosząc rozgłośne nazwisko Harmant!

## XVII.

Jakób Garaud słuchał z zaszepionem czołem, ze zmarszczonemi brwiami.

— Zbudujesz sobie we Francyi wspaniałą fabrykę mój ojcie, jak ta w New-Jorku — mówiła Marya dalej. — Będziesz



mógł odstąpić na użytek drogom żelaznym swój nowy wynalazek, który ogólny podziw obudzi. Rząd zwróciwszy nań uwagę, udekoruje pierś twoją zaszczytnym znakiem Legii honorowej, co i mnie zarówno dumną uczyni! Postanowione więc i zatwierdzone, nieprawdaż? — pytała patrząc w ojcowskie oczy z przymileniem; fabrykę sprzedasz wprędce, skoro masz na nią nabywców, za tydzień będziemy już w drodze, ku czemu od dziś przygotowywać się zacznę. I ty pojedziesz z nami kuźnie Owidyuszu — dodała, zwracając się ku siedzącemu; — będziesz miał pod swemi rozkazami rysowników, mechaników i mnóstwo innych, jak w tej obecnie fabryce.

— Zobaczymy, zobaczymy — odparł Soliveau z szyderczym uśmiechem.

Oczy dziewczęcia ogniem gniewu zabłysły.

— Jak ci się zresztą podobał — zawołała; — widzę z wyrazu twojej twarzy, że gotów jesteś użyć wszelkich możliwych środków, ażeby odwieść mojego ojca od tego zamiaru. Czyń co chcesz, ja i bez ciebie dopnę mego celu. Chcę jechać do Francji i pojedę. Powietrze tameczne jest potrzebnem dla mojego życia, gdyby ojciec nie chciał mnie tam powieść, wkrótcebym zmarła! Jest to przyczyna, dla której nie odmówi mej prośbie; jedziemy w przyszłym tygodniu!

Tu młode dziewczę rozdrażnione napotkanym oporem wybiegło z jadalni, ocierając łzy obficie z jej oczu płynące.

Mniemany Paweł Harmant pozostał z Owidyuszem.

— Miałżebyś zamiar być posłusznym temu szalonemu żądaniu? — pytał ten ostatni.

— Znajdź sposób by tego nie uczynić; zachoruje i umrze — odparł Jakób Garaud.

— Wyjedziesz zatem w ciągu tygodnia?

— Tak, inaczej zrobić nie mogę.

— Człowieku! człowieku bez woli i siły — zawołał Soliveau, wzruszając ramionami — dać się jednej dziewczynie za nos prowadzić?..

*Magdalena*



— Ależ Marya ma słuszość — rzekł były nadzorca — dla czegoż nie mógłbym otworzyć fabryki w pobliżu Paryża, a tem samem dozwolnić korzystać rodzinemu krajowi z mych wynalazków i majątku mego zarazem? Jestem w sile wieku, mogę pracować wiele, i chcę pracować dla mojej córki, która jest dla mnie najwyższą radością, jedyną pociechą na ziemi!

— Słowa twe mogą być dla niej przyjemnemi, ale nie dla mnie — odparł opryskliwie Owidyusz.

— Powtarzam, Marya ma słuszość zupełną — mówił Garaud — nie zważając na wyrazy swego towarzysza. Dostyć zrobiłem dla Ameryki, niech kraj rodzinny korzysta teraz z mych prac i poszukiwań. Jadę do Francyi! Dawidson stręczy mi korzystnego nabywcę na moją fabrykę; przystąpię z nim do układów, oddam za ofiarowaną mi cenę, i przygotowuję się do wyjazdu.

— Chciałbym z tobą pomówić kuzynie — zagadnął nagle Soliveau — wejdźmy do twego gabinetu.

— Odlóżmy handlowe interesa na dzień jutrzejszy, proszę — rzekł Jakób.

— Nie o handlowe interesa tu chodzi bynajmniej.

— O cóż więc?

— O rodzinne, domowe sprawy.

— Mów zatem.

— Lecz nie tu.

— Dla czego?

— Ponieważ nie chcę ażeby to, co ci mam powiedzieć było usłyszane przez kogobądź z obcych — odparł Soliveau, przyciszonym głosem. — Do tego pokoju służący wchodzić nie spodziewanie, a oni mają słuch ostry...

Paweł Harmant spojrział na mniemanego kuzyna podejrziwym wzrokiem.

— Cóż tak ważnego masz mi do powiedzenia? — zapytał.

— Dowiesz się, lecz raz jeszcze proszę wejdźmy do gabinetu, nie będę cię tam długo zatrzymywał...

Weszli obadwa do całkiem oddzielnego pokoju.



— Oto jesteśmy sami, mów — rzekł Garaud.

— Zamknij drzwi na klucz.

— Już, słucham teraz.

— Zatem — zaczął Owidyusz, rozkładając się wygodnie na miękkim, poręczowym krześle — zatem postanawiasz nieodmiennie opuścić Amerykę?

— Tak, nieodmiennie.

— Dobrze! — cóż ze mną zamysłasz zrobić natenczas?

— Pojedziesz wraz z nami.

— Nigdy! za nic w świecie.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie mam ochoty wracać do kraju, w którym mógłbym się zetknąć z sprawiedliwością i sądem.

— Masz zapewne na myśli wyrok wydany niegdyś przeciw sobie? — rzekł Garaud; — nie obawiaj się, rzecz ta oddawna poszła w zapomnienie.

— Wiem o tem, lecz wolę pozostać w Ameryce.

— Ha, skoro życzysz, niech i tak będzie, położę za warunek mojemu nabywcy, ażeby cię zatrzymał przy tej samej pensyi. Zgadzasz się na to?

— Nie! — odparł Soliveau, zapalając cygaro.

— Czegóż więc żądasz?

— Chcę nabyć twoją fabrykę.

— Do pioruna! — zawołał Garaud głośnym parsknąwszy śmiechem — sądziłem żeś jest bez grosza, widząc cię codziennie prawie odwołującym się o pomoc do mej kasy na zapłacenie długów i nagle pojawiaasz mi się jako milioner! Winszuję, winszuję kuzynie!

— Nie mam ani grosza w kieszeni, przysięgam — odparł Soliveau — wczoraj przegrałem dane mi przez ciebie ostatnie dwieście dolarów, a jednak zostanę właścicielem twojej fabryki.

— Wytłomacz mi tę zagadkę.



— Nie ma tu żadnej zagadki. Podpiszemy akt kupna i sprzedaży. Ty pokwitujesz mnie z odbioru miliona, prócz czego wręczysz mi gotówką czterdzieści tysięcy dolarów na początkowe prowadzenie zakładów.

— Żartujesz — rzekł Jakób z przymuszonym uśmiechem pod którym chciał ukryć wstrząsający sobą niepokój.

— Żartuję? bynajmniej — zaczął poważnie Soliveau — ta propozycja oznacza cenę, jaką nakładam za moje milczenie.

Garaud zerwał się jak tknięty iskrą elektryczną.

— Twoje milczenie? czyż ja go potrzebuję — zawołał — nie nie ukrywam, nie lękam się niczego.

— Jesteś więc pewnym siebie?

— Najzupełniej!

— Poszukaj dobrze kuzynie, poszukaj pilnie w swojej przeszłości — mówił z szyderczym uśmiechem Owidyusz — a spostrzeżesz, że twój powrót do Francji jest możebnym jedynie w warunku, gdy ja milczeć będę.

Niespokojność przemysłowca w trwogę się zmieniła, mimo, iż nie rozumiał jeszcze co znaczyły groźby Owidyusza.

— Co mówisz? — zapytał drżącym z lekka głosem.

— Mówię — rzekł Soliveau z naciskiem — że Jakób Garaud gdyby był znanym, naraziłby się na niebezpieczeństwo, wracając do kraju gdzie pozostawił tyle świadectw zbrodniczych swych czynów.

Usłyszawszy wymienione nazwisko Jakóba Garaud, był nadzorca, nie będąc panem siebie, przyskoczył z wściekłością do mówiącego.

— Coś ty powiedział? — krzyknął, chwytając go za ramiona i wstrząsając nim silnie.

— Wymieniłem tylko twoje nazwisko — odrzekł niezmięszany Soliveau. — Proszę w obec mnie zrzuc te przybrane pozory, zdejm maskę! Nazywasz się Jakóbem Garaud — mówił dalej, patrząc śmiało w oczy, przed sobą stojącemu — podpalileś fabrykę w Alfortville, okradłeś i zamordowałeś



swego pryncypała pana Juliana Labroue. Po dokonaniu znakomych tych czynów stwarzasz sobie nową indywidualność, używając wpadłej ci w ręce wypadkowo książeczki legitymacyjnej, obszywając się w skórę Pawła Harmant, zmarłego w szpitalu w Genewie w dniu 15-tym Kwietnia 1856 roku.

Jakób przerażony cofnął się i zatoczył jak człowiek pijany.

— Kto śmie mówić coś podobnego? — zapytał stłumionym głosem.

— Ja! — odrzekł Soliveau.

— Na czem opierasz swoje twierdzenia?

— Ach! między innymi na akcie zejścia mego kuzyna Pawła Harmant.

— Kłamstwo! — wykrzyknął Garaud.

— No, no, nie udawaj daremnie, proszę cię — mówił Owidyusz. — Ja wiem wszystko, słyszysz ty, wszystko! wiem całą prawdę! Mimo to — dodał — możesz jechać do Francji bez obawy, jeżeli ja zachowam milczenie, gdyż wtedy nikt nie przypuści, żeś to ty popełnił cały ów szereg zbrodni, za które skazaną została nieszczęśliwa Joanna Fortier!

— Pojadę, nie potrzebuję kupować twego milczenia — odparł bezczelnie były nadzorca, odzyskując zimną krew w obec grożącego sobie niebezpieczeństwa. — Pojadę! Nie obawiam się sprawiedliwości. Istnieją przedawnienia.

— Dobrze! — zawołał śmiejąc się Soliveau — kładziesz rękę w ogień aż po łokieć mój stary. Istnieją przedawnienia, być może, za podpalenie, kradzież i morderstwo, ale nie za przywłaszczenie nazwiska Pawła Harmant! Niechaj wniesioną zostanie skarga do prokuratora, obwiniająca cię o noszenie cudzego nazwiska, zobaczysz jak gorliwie sprawiedliwość zajmie się tobą, twoją przeszłością i terażniejszością zarazem.

— I ty, ty śmiałybyś wnieść podobne przeciw mnie oskarżenie? — pytał Garaud, drżąc cały.

— Zależy to od okoliczności — mówił z lekceważeniem Owidyusz, puszczając kłęby dymu. — Tak, jeżeli się hojnym



okażesz,—nie, jeżeli nie uczynisz tego, czego żądam. Wierzaj mi, nie żałuj zapłaty za mą życzliwość i milczenie. Czy wiesz, że ja posiadam te wszystkie o tobie wiadomości od chwili twoich zaślubin? A czyż dałem ci to poznać? czy groziłem ci kiedy? Pracowałem w cichości obok ciebie, nie mieszałem ci spokoju i pozwalając ci zebrać wielki majątek. Twa jednak sprawa już ukończona, starość się zbliża ku tobie, a z nią razem bezsilność, znużenie. Nadeszła chwila, gdzie tobie o mej przyszłości i spokoju dla mnie pomyśleć należy.

### XVIII.

Jakób Garaud słuchał zasepiony, nie przerywając.

— Widzisz więc — ciągnął dalej Owidyusz — sam przyznaj, że dość długo byłem ci podwładnym. Chcę teraz nareszcie zostać pryncypałem; oddaj mi zatem fabrykę wraz ze czterdziestoma tysiącami dolarów, inaczej rozpowiem wszędzie, że Paweł Harmant, ów przemysłowiec otoczony powszechnym szacunkiem i poważaniem, jest najnudniejszym z łotrów, nazywającym się Jakób Garaud, a kto nie zechce uwierzyć, przekonam go dowodami. Będzie to bardzo przyjemnem twej córce, nieprawdaż? Ach, jakże byłeś bezczelnym, ty dobry, zacny człowieku, prawiąc mi nauki moralne wtedy na okręcie, pamiętasz, między Southampton a New-Jorkiem — dodał z szatańskim uśmiechem. — Wiesz, iż z nas dwóch gorszym niedźnikiem nie jestem ja, lecz ty nim jesteś! Mimo to wszystko zostaliśmy przyjaciółmi i kuzynami, jak przed tem; jeśli okażesz się dla mnie uprzejmym, dozwolę ci żyć w spokoju. Jedź do Francyi i wstawiaj się jako Paweł Harmant, cieszyć mnie to będzie, abym ja tylko został nawzajem właścicielem głównych zakładów w New-Jorku pod firmą „Jan Mortimer i spółka.“

Jakób powstawszy przystąpił do Owidyusza z obłąkanemi oczyma, z zacisniętymi pięściami.

— A gdybym cię też zabił?! — wyjąkał świszczącym głosem, drżąc całym.



Soliveau rozśmiał się głośno, z zimną krwią zwijając nową cygaretkę.

— Niewiele zyskałbyś na tem — odpowiedział. — Zabezpieczyłem się i na ten wypadek. Testament mój złożony jest u jednego z notaryuszów w New-Jorku; zawiera on twoją biografję wraz z dowodami. Nie umarłbym bez wyjawienia światu, kim jesteś.

— Ha! — zawołał Garaud z gestem rozpaczony — pochwyliłeś mnie więc w zasadzkę i trzymasz!...

— Fortuna kołem się toczy... przysłała na mnie kolej nareszcie, no! jak się decydujesz, mów!

— Chodź ze mną! — zawołał opryskliwie były nadzorca.

— Gdzie chcesz mnie prowadzić? — pytał Soliveau.

— Pójdziemy do Dawidsona, mego bankiera. Za godzinę, zostaniesz właścicielem fabryki i otrzymasz czterdzieści tysięcy dolarów.

— Brawo! postępujesz jak człowiek rozumny — wołał z radością paryżanin. — A teraz, gdy nastąpiła ugoda pomiędzy nami, powiem ci, iż w rzeczy samej wyjazd twój jest koniecznym. Po rozdzieleniu się, każdy z nas pójdzie w swą stronę; mam jednak nadzieję, iż stosunki dobrej przyjaźni utrzymamy nadal przez korespondencyę, nieprawdaż?

Jakób nie rzekł na ironiczne te słowa.

— Pójdź ze mną! — powtórzył i wyszedł z rozpromienionym radością Owidyuszem, który tegoż samego wieczoru został właścicielem fabryki.

W osiem dni później mniemany Paweł Harmant płynął wraz z córką do Hawru, a w końcu miesiąca zamieszkali oboje w jednym z najpiękniejszych gmachów Paryża w pobliżu parku Monceau.

Były wspólnik Mortimera miał liczne handlowe stosunki z zamieszkałymi tu bankierami i wielkimi przemysłowcami tak Francji jak Ameryki. Znany powszechnie jego majątek, oraz nieposzlakowana uczciwość, otwierając dlań drzwi wszystkich salonów, sprowadzały zarazem wiele gości do jego domu.



Wielkie wrażenie w przemysłowym świecie wywarła wiadomość, iż zamierzył zbudować olbrzymią fabrykę w okolicach Paryża, by w niej zużytkowywać wynalazki, jakie go zubożyły w Ameryce, i w tym celu zaczął szukać odpowiedniej miejscowości. Znalazł w krótkim czasie nad brzegiem Sekwany w Courbevoie znaczną przestroną gruntu, jaką nabył bez wahania, i począł z architektem nakreślać plany przyszłych budowli, gdy nagle został mu wytoczonym proces o brak legalnych dowodów do prawa własności tej ziemi. By co najrychlej ukończyć tę sprawę, jaka przeszkadzała jego zamiarom, potrzebował wynaleźć zdolnego adwokata, któryby mu ją poprowadził. Dla pozyskania wskazówek w tym względzie udał się do bankiera, u którego złożył swe kapitały.

— Do takiej sprawy—rzekł bankier, gdy Jakób opowiedział mu wszystko—nie potrzebujesz pan szukać koniecznie wsławionego adwokata, który, być może, nie podjąłby się tak drobnego interesu, wystarczy panu odnaleźć pracowitego, inteligentnego i biegłego w swoim zawodzie młodego człowieka, jakiego panu mogę polecić, a który z powyższych przymiotów jest dobrze mi znanym. Udać się pan do niego, adres z przyjemnością udzielię.

Tu bankier napisał na ćwiartce papieru: „Jerzy Darier, adwokat, ulica Bonapartego, Nr. 19.“

— Dziękuję, szczerze dziękuję! — odpowiedział były wspólnik Mortimera—jadę bezzwłocznie do niego.

I w pół godziny przybył pod numer sobie wskazany.

Jerzy, ów syn przybrany pani Klary Darier, powierzony przez proboszcza Langier opiece malarza Edmunda Castel, urzeczywistnił pokładane w sobie nadzieje.

Za kilka miesięcy dosięgnąć miał dwudziestego piątego roku życia. Był to piękny chłopiec, jasnowłosy, z ciemnymi, błękitnymi oczyma. Regularne jego rysy twarzy, nacechowane szczerością i otwartością charakteru, sprawiały najprzyjemniejsze wrażenie. Zapisany od dwóch lat na liście adwokatów Paryża, niejednokrotnie bronił zawilych spraw wobec



sądu. Tak jego koledzy, jak i zwierzchnicy, żywili dlań wiele życzliwości i szacunku, wróżąc mu świetną przyszłość.

Jerzy Darier zajmował mieszkanie na drugim piętrze, w domu pod Nr. 19-ym przy ulicy Bonapartego. W jego gabinecie pracy, umeblowanym dębowymi rzeźbionymi sprzętami, zwracały uwagę dwa przedmioty, różniące się od reszty urządzenia. Pierwszym z nich była mahoniowa biblioteczka pełna książek, dar pamiątkowy zacnego księdza Langier; drugim hebanowa kolumna, w kącie gabinetu stojąca, z umieszczonym na wierzchołku tekturowym konikiem, czarną krepą pokrytym.

Jerzy przechowywał tę drobną zabawkę jak relikwię, uważając ją za podarunek od swojej matki, pani Darier, w latach dziecięcych otrzymany.

Obiadując w domu u siebie, trzymał służącą, czterdziestoletnią kobietę, doskonałą kucharkę; niekiedy szedł na obiad do swego opiekuna Edmunda Castel, który zarówno przybywał na obiady i do Jerzego.

Młodzieniec studyował właśnie potężny zwój aktów sądowych, gdy weszła służąca, wręczając mu bilet wizytowy Pawła Harmant.

— Proś, niech wejdzie—rzekł.

Jakób Garand ukazał się we drzwiach gabinetu. Jerzy powstawszy, podszedł ku niemu.

Po latach dwudziestu ów nędznik, sprawca wszystkich nieszczęść Joanny Fortier, znalazł się wobec syna swej ofiary.

Morderca pana Labroue miał obecnie lat pięćdziesiąt. Nie farbował już włosów, które mu całkiem posiwiały. W początkach opowiadanych przez nas wypadków Jerzy, poczynający czwarty rok życia, nie mógł zachować w pamięci rysów twarzy byłego nadzorcy, skutkiem czego i obecnie nie poznał go wcale.

— Przybywam do pana — zaczął mniemany Paweł Harmant — z rekomendacji mego bankiera Edwarda Halbergera, będącego jednym z pańskich klientów.



— Czyni mi to zaszczyt—rzekł Jerzy.

— Jestem francuzem — mówił dalej Garaud — wracam z Ameryki, gdzie prowadziłem pierwszorzędną fabrykę budowy maszyn; zdrowie jedynej mej córki, oraz jej gorące życzenie zamieszkania we Francyi, skłoniły mnie do zlikwidowania interesów, a zarazem powrotu do rodzinnego kraju. Mimo, iż posiadam znaczny majątek, pragnę tu rozpocząć roboty, jakie prowadziłem w New-Jorku, ponieważ nie potrafiłbym żyć bezczynnie. W tym celu nabyłem przestrzeń gruntu w Courbevoie, lecz w chwili, gdym miał rozpocząć stawianie budowli, przerwano mi to zajęcie wynalezieniem pewnych trudności.

— Trudności... jakiego rodzaju?—zapytał Jerzy.

Były wspólnik Mortimera podał kopię aktu młodemu adwokatowi.

— Jesteś pan w swem prawie — rzekł tenże; przejrzawszy papiery z uwagą; — wygrasz pan proces, mogę pana upewnić.

— Zatem obowiązuje się pan przeprowadzić sprawę?

— Najchętniej. Będę jednak potrzebował udzielenia sobie plenipotencji.

— Racz ją pan przygotować—rzekł Garaud.

— Bezzwłocznie to uczynię, a pan podpiszesz. Obecnie proszę o podyktowanie pańskiego imienia, nazwiska, oraz miejsca zamieszkania.

— Paweł Aleksander Harmant—mówił były nadzorca—inżynier-mechanik, zamieszkały w Paryżu przy ulicy Murillo Nr. 27.

Po nakreśleniu pełnomocnictwa, Jakób podpisał je przybranem swoim nazwiskiem.

— Rozpoczne natychmiast działanie — rzekł Jerzy — i o biegu sprawy zawiadamiać pana nie omieszkam; wkrótce otrzymasz pan list odemnie.

— Byłoby mi nader przyjemnie, gdybyś pan raczył osobiście udzielić mi tę wiadomość — odpowiedział z grzecznością



Czekali więc od roku, lecz o ile Łucya była cierpliwa, o tyle Lucyana ogarniało zniechęcenie. Zarobek jego pozostał szczupłym jak poprzednio, nie przedstawiając widoku polepszenia bytu; gdyby w takich warunkach zaślubił Łucyę, nędzą by ich oczekiwała.

Oboje narzeczeni opowiedzieli sobie nawzajem historię swojego życia. Dzieje Łucyi były krótkimi. Mamka nie odbierając zapłaty, oddała jednoroczną dziewczynkę do przytułku dla sierot, gdzie wyrosła, oto wszystko. Dziewczynką tą była córka Joanny Fortier.

\* \* \*

W kilka dni później, Łucya zapakowywała wykończony stanik, ażeby go odnieść do szwalni pani Augusty. Wziąwszy pakiet, wyszła, a zamknąwszy drzwi na klucz zastukała do mieszkania Lucyana, znajdującego się na tem samem piętrze.

— Proszę wejść — odpowiedział młodzieniec.

Wszedłszy tam dziewczę, zastało narzeczonego przy stole, zajętego rysunkami.

— Witaj mi, witaj! ukochana — wołał biegnąc ku niej rozradowany.

Córka Joanny Fortier w miejsce odpowiedzi, ujęła obie ręce biegnącego ku sobie i bacznie weń spojrzała.

— Jakżeś bładny! — wyrzekła z wzruszeniem — znowu noc całą pracowałeś!

— Lecz...

— Nie ma żadnego *lecz*. Tak, czy nie, mów zaraz!

— A więc taki! — odpowiedział.

— Zakazałam ci czynić coś podobnego.

— Nie mogę być tobie posłusznym; pilne rysunki na dziś wieczór wykończyć muszę.

— Lecz się zabijasz tą pracą. tak licho wynagradzana!



— Cóż począć? · Nędznie jest wynagradzaną to prawda, ale daje mi jednak chleb codzienny.

— Mógłbyś zarabiać sto razy więcej.

— Tak, gdybym miał sposobność ku temu. Wszędzie, gdziekolwiek się udam, jedno wciąż słyszę: „Nie potrzebujemy obecnie nikogo, bądź pan cierpliwym i czekaj.“ Czekam więc, czekam bez kresu, aż w końcu obawiać się poczynam, by to, oczekiwanie nie przeciągnęło się równo z mem życiem.

## XX.

Milczenie, które nastąpiło po tych wyrazach Łucya przerwała:

— Lucyanie — wyrzekła tkliwie — musisz przyjąć ode mnie nagane.

— Nagane, za co, cóż uczyniłem? — pytał zaniepokojony.

— Wykroczyłeś ciężko.

— W czym, kiedy?

— Poczyna cię ogarniać zwątpienie, tracisz odwagę!

— Zkąd przypuszczasz coś podobnego?

— Widzę to! zamiast stawić mężnie czoło złej doli, chylisz głowę przed nią, tak jak przedemną w tej chwili; a jednak nasza wzajemna miłość winna cię uzbroić energią i siłą. Być może, iż nie kochasz mnie już więcej...

— Ach! — zawołał Lucyan, ranisz mi serce do głębi temi słowy. Wiesz dobrze, iż cię kocham z całej mej duszy, kocham nad wszystko na świecie!

— Nie! ja nie wierzę temu — zawołała dziewczyna; — gdybyś mnie kochał tyle jak mówisz, nie spędzałbyś dni całych i nocy, przy pracach wyniszczających twe zdrowie, a dających ci tak szeszupły zarobek.

— Cóż chcesz więc bym czynił? — pytał z rozpaczą.



— To, co czynią inni nie godni porównać się z tobą, a jednak dochodzący do celu! Okaż swą zdolność, nie zniechęcaj się kołataniem do drzwi, jakie się niechęć otworzyć przed tobą. Próbuje dalej, muszą się one wreszcie otworzyć.

— Ależ to na próżno... stracę daremnie godziny; nie będę miał czasu na ów nędzny jak słusznie nazwałaś zarobek, który zapewnia mi jednak mój chleb powszedni — rzekł Lucyan.

— Wszakżem ci mówiła, że mam cokolwiek oszczędzonych pieniędzy; rozrządzaj nimi jak zechcesz. Oddaję je tobie jako narzeczonemu, jako przysłanemu memu mężowi.

— Nie przyjmę tej ofiary, nie, nigdy!

— Lucyanie! odmowa twoja, wielką mi przykrość sprawia — ozwała się córka Joanny Fortier; — pozbawiasz mnie rozkoszy przyjscia tobie z pomocą! och! to bolesne, nadmiar bolesne! Lecz wreszcie — dodała po chwili — masz kolegów, przyjaciół na stanowiskach, w których mogliby tobie być użyteczni, dlaczego nie udasz się do nich o pomoc w tym razie?

— Żebrać? — zawołał Lucyan z oburzeniem.

— Ach! cóżes wyrzekł mój kochany — mówiło dziewczę, tkliwie go obrzucając spojrzeniem — wyrazić pragnęłam aby ci dopomogli swemi stosunkami do pozyskania miejsca, w którym z fabrycznych zakładów. Masz więc tak niskie o mnie wyobrażenie, iż sądzisz mnie być zdolną do podobnie upakarzającego postąpienia?

— Wybacz mi droga — odrzekł, całując jej rękę; — co zaś do owych kolegów, przyjaciół, o których mówisz...

— To?

— Przyjęli mnie grzecznie, dopóki nie wyjawilem, iż potrzebowałam ich będę, następnie unikać mnie zaczęli, a wkrótce drzwi pozamykali przedemną. Odszedłem z sercem zranionem głęboko!

— I wszędzie tak było?

— Wszędzie — rzekł Lucyan z ciężkiem westchnieniem.



— Nawet i ów młody człowiek, dla którego chowałeś głęboką życzliwość i tyle chwaliłeś przedemną jego zacne przymioty charakteru?

— Ach! Jerzy Darier, mój ukochany towarzysz z kolegium Henryka IV-go?

— Byłeś u niego?

— Nie!

— A dla czego?

— Niewiem gdzie mieszka, niespotkaliśmy się z sobą od lat sześciu.

— Być może mieszka w Paryżu?

— Niewiem tego.

— Jakież on obrał sobie zawód?

— Kończył kurs prawa, chciał zostać adwokatem.

— Jeśli jest adwokatem, łatwo byłoby go odnaleźć.

— Bezwątpienia, lecz na co się to przyda? Przyjmie mnie jak drudzy. Skoro się udam do niego, zyskam jedynie rozczarowanie i nową boleść dla siebie.

— Kto wie? — odrzekło, zamyślając się dziewczę — kto wie — powtórzyła po chwili — czy jego serce nie pozostało dla ciebie takim, jak było niegdyś? Przeczucie moje mi mówi, że masz w nim prawdziwego przyjaciela. Jeśli mnie kochasz Lucykanie, staraj się go odnaleźć i pójdz do niego.

— Żądasz tego koniecznie?

— Proszę cię o to.

— A więc ukochana, spełnię twą wolę.

— Jak rychło zobaczysz się z nim?

— Dziś jeszcze.

— I nie dasz się ovladnąć zwątpieniu, nie stracisz odwagi?

— Nie.

— Przrzekasz mi to?

— Przysięgam!

— Och! — otóż obietnica, która mi ciężar zdejmie z serca — zawołała Łucya rozradowana; — przytłaczał mnie



on, teraz oddycham swobodniej! Weszłam smutna do ciebie, wychodzę prawie wesola. Do widzenia mój luby — mówiła, podając mu rękę, idę do pracowni z nadzieją, że dziś wieczorem gdy się zobaczymy, oznajmisz mi dobrą wiadomość!

— Do widzenia Łucyo, droga, ukochana!

Dziewczę pochyliwszy się ku narzeczonemu, podało mu do pocałunku swe czoło, poczem wybiegłszy, jeszcze mu z progu przesłała od ust pożegnanie.

Pani Augusta owa sławna modniarka, mieszkała przy ulicy świętego Honoryusza.

Łucya biegnąc z pośpiechem, nie zatrzymując się ni przy sklepach, ni na przechodniów nie zwracając uwagi, przebyła wkrótce znaczną odległość dzielącą wyspę świętego Ludwika od ulicy Honoryusza.

Młode to dziewczę zamiast oczekiwać w szwalni jak inne pracownice, odnoszące robotę, miała szczególną łaską swojej zwierzchniczki, dozwolonem wejście do jej gabinetu i przyległych pokojów, w których ona sama pracowała. Na mocy tego weszła do salonu przeznaczanego do przymierzania ubiorów, gdzie pani Augusta znajdowała się ze starszą panną i młodem osiemnastoletnim nieznanem jej jasnowłosem dziewczęciem.

Z wyjątkowej grzeczności dla owej klientki, pani Augusta sama brała jej miarę na jedwabną suknię balową, podczas której to czynności dosłyszawszy skrzypnięcie drzwi, zwróciła się w tą stronę.

— Ach! to ty Łucyo — wyrzekła z uśmiechem do wchodzącej — przybywasz w samą porę: chcę ci powierzyć pilną robotę, wymagającą wiele gustu i zręczności, suknię balową dla panny Harmant, na którą właśnie biorę miarę. Pragnę, ażeby jej wykonanie było arcydziełem.

Łucya spojrzała na dziewczę jakie ujrzała po raz pierwszy w życiu; jednocześnie i Marya na niej wzrok zatrzymała; spojrzenia obu dziewcząt nagle się skrzyżowały.

— A więc to pani będziesz szyła mi suknię? — wyrzekła córka Jakóba Garaud.



— Tak — odpowiedziała pani Augusta. — Łucya jest najzdolniejszą z moich pracownic, posiada ona gustu i wprawy wiele. Ufam jej w zupełności. Nie będziesz pani potrzebowała trudzić się tu do nudnego tyle przymierzania, skoro suknia będzie gotową, Łucya przyniesie ją pani.

— Oczekiwać więc będę twojego przybycia panno Łucyo — wyrzekła Marya. — Zastaniesz mnie pani w przedpołudniowych godzinach w pałacu mojego ojca. Do widzenia zatem wkrótce, nieprawdaż?

— Tak pani — odpowiedziała córka Joanny Fortier.

Tu wyszła Marya, przeprowadzona aż ku drzwiom przez panią Augustę.

Łucya rozpiąwszy pakiet, dobyła z niego wykończony stanik.

— Cudownie, doskonale! — wołała właścicielka magazynu, po rozpatrzeniu się w robocie. — Ach Łucyo! ty jesteś prawdziwym skarbem, nie zasługujesz nigdy na najmniejszą naganę! Oto dla czego chcę tobie powierzyć odrobienie sukni dla panny Harmant, kapryśnego dziecka które jest trudno zadowolnić. Czyś ją tu u mnie widziała już kiedy?

— Nie, pani.

— Jest to amerykanka, mająca ojca przemysłowca, milionera, który opuściwszy New-Jork przybył z nią do Paryża. Panna Marya jest jedną z mych klientek, rozpieszczona to i fantastyczna istota. Biedne dziecię, nie jej w tem wina, pochodzi to z jej cierpienia.

— Byłaby słabą? — pytała Łucya.

— Jest cierpiącą na piersi, wszak to widoczne. Te wypalone rumieńce na policzkach, ów suchy, drobny kaszel co chwila, zdradzają ukrytą a straszną chorobę. Młoda, piękna, bogata — mówiła dalej pani Augusta — posiadająca wszelki do szczęścia warunki i takiej umierać, och! to bolesne i smutne nieprawdaż?

— Zapewne, to bardzo smutne — odparła Łucya w zadumie.



— Otóż to życie! Niemasz stałego szczęścia na świecie — ciągnęła dalej modniarka. — Moja Łucya — dodała — skroją tę suknię jaka ma być zrobioną z blado różowej materii, pokryta gazą i kwiatami. Gdy jutro z rana przybędziesz zabierzesz ją do powozu, dodam ci potrzebne do niej ozdoby, obok szczegółowych moich wskazówek.

— Dobrze pani, to na jutro robota... a dzisiaj?

— Dziś, pokryjesz mi futerko dla dziecka białym kaszmiem; czy znajdziesz czas ku temu?

— Jeśli potrzeba, popracuję w nocy by je ukończyć.

— Przejdź zatem do sali kroju, odbierz futerko, zapisz je w książkę i udaj się do kasy. Jestem z ciebie Łucya bardzo zadowolona. Oto dwa luidory gratyfikacyi.

— Dziękuję pani — wyrzekło rumieniąc się dziewczę — z serca dziękuję. Nie zasłużyłam na tyle łaski z jej strony.

— Zasłużyłaś na wdzięczność mam, drogie dziecko — mówiła pani Augusta — lecz weźże adres tej amerykanki.

Łucya dobywszy z kieszeni karnet i ołówek, czekała.

— *Panna Marya Harmant, ulica Murillo Nr. 19* — dyktowała właścicielka magazynu.

Po napisaniu tego, dziewczę udało się do sali kroju, następnie do kasy, poczem wróciła do swej stancyjki na ulicy de Bourbon, gdzie zasiadłszy do pracy oczekiwała na przybycie narzeczonego.

## XXI.

Lucyan po spożyciu jak zwykle śniadania w mleczarni, poszedł odnieść wykończone rysunki mechanikowi zamieszkałemu przy ulicy Issy, gdzie otrzymał nową robotę. Następnie by dotrzymać danego Łucyi przyrzeczenia, postanowił udać się do sali sądowej pałacu Sprawiedliwości, by z umieszczonej tamże listy porządkowej adwokatów, powziąć wiadomość o li Jérzy Darier zamieszkuje w Paryżu.



Wszedłszy tam, prosił pierwszego z napotkanych urzędników o objaśnienie w tym względzie.

— Pytasz pan o Jerzego Darier — rzekł zagadniony — ależ to jeden z najbardziej kochanych przezemnie kolegów, znam go doskonale i natychmiast adres panu udzielię.

To mówiąc, wyjął notatnik z kieszeni i przeczytał:

— Ulica Bonapartego nr. 19.

Podziękowawszy uprzejmie, Lucyan wyszedł z pałacu.

Zegar wieżowy wskazywał piątą.

— Powiniennem zastać go w domu o tej porze — rzekł — ulica Bonapartego w pobliżu. Lucya ma słuszność; źle uczyniłem odsunawszy się od tego, który mi tyle przyjaźni okazywał. Być może iż on wart więcej nad innych, nie zmienił się jak tamci.

I ucieszony myślą zobaczenia towarzysza młodości, szedł w stronę ulicy Bonapartego.

Dnia tego Jerzy Darier na krótko ukazał się w pałacu Sprawiedliwości. Mając bronić sprawy w szóstej Izbie sądowej wrócił do swego mieszkania gdzie rozpatrywał akta, na mocy których miał wkrótce wnosić obronę. Dźwięk dzwonka przerwał mu jego pracę, a stara służąca oznajmiła przybycie Edmunda Castel.

Młody adwokat wybiegł z pośpiechem na spotkanie opiekuna, który był razem najlepszym jego przyjacielem.

Edmund nie był już owym młodzieńcem, jakiego widzieliśmy przed laty dwudziestu dążącego drogą ku probostwu de Chèvyry. Obecnie miał lat przeszło czterdzieści, lecz mimo iż włosy gdzie niegdzie mu posrebrniały, rysy twarzy zachowały dawną otwartość, wesołość i szczerłość. Szczupły i zręczny, szedł z podniesioną głową patrząc w świat pogodnie. Przy wykwintnym sukienym garniturze widniała mu w butonierce wstążeczka Legii honorowej.

— Jakiż gość rzadki, a upragniony! — wołał biegnąc ku niemu Jerzy — dwa tygodnie mój opiekunie niewidzieliśmy się z sobą.



— Nie miałem czasu — odrzekł artysta — wykończyłem obraz, lecz ty mogłeś być przyjść do mnie, ulica Bonapartego nie jest zbyt odległą od ulicy Assas.

— Pragnąłem tego gorąco — rzekł młody adwokat — lecz byłem zarówno obciążony pracą.

— Przewidywałem to, a chcąc wynagrodzić owo długie niewidzenie się nasze, przychodzę do ciebie na obiad, jeżeli ci tem nie sprawię różnicy.

— Ach jak możesz mówić coś podobnego — zawołał Jerzy — dla spędzenia z tobą chwil kilku, wszystko jestem gotów poświęcić.

— Rozkaż więc Magdalenie położyć dla mnie nakrycie, a razem i te ciastka z sokiem poziomkowym jakie ona przygotowywać tak wybornie umie.

Jerzy zadzwonił śmiejąc się wesoło. Stara służąca ukazała się w progu.

— Mój opiekun będzie dziś u nas na obiedzie — rzekł do niej.

— Biegnę więc przygotować leguminę z sokiem poziomkowym — mówiła uśmiechając się kobieta.

— Tak, tak, lecz pośpiesz proszę.

— Punktualnie o siódmej podam obiad i przyniosę dwie butelki tego starego wina, które pan Edmund tak lubi.

— Brawo, doskonale — zawołał Jerzy.

— A teraz — począł artysta gdy po odejściu służącej zostali sami — teraz skorom oblatwił się z pilniejszymi robotami, zasiądę do wykończenia obrazu namalowanego przed dwudziestu laty, do którego zaczerpnąłem temat w czasie mej bytności u twego nieodżałowanego wuja, proboszcza w Chévry.

— Obrazu stojącego na stalugach w kącie pracowni twej opiekunie, szarem płótnem nakrytego? — pytał Jerzy.

— Tak.

— Powiedz mi, dlaczego go ukrywasz?



— Nie ukrywam bynajmniej, nie pokazuję tylko, ot! wszystko. Jest to jedna z pierwszych prób moich w malarstwie, a ztąd w niektórych punktach niedokładną być może; właśnie chcę to wszystko poprawić, wyrównać, poczem niech oglądają. Ale — dodał po chwili — będę cię prosił o wyświadczenie mi małej przysługi.

— Rozkazuj proszę.

— Przechowywasz o ile mi wiadomo, ze czcig. religijną, jako drogie wspomnienie lat dziecięcych, małego tekturowego konika?

— Tak, jest to pamiątka po mej ukochanej matce, obdarzyła mnie tą zabawką gdy byłem maleńkim — mówił Jerzy — chowam go zatem jak drogą relikwię. Stoi tam na kolumnie, pokryty krepą żałobną.

— Prosiłbym cię, abys mi użyczył na czas krótki tej drogiej pamiątki.

— Potrzebujesz jej?

— Tak.

— Do czego?

— Do mego obrazu.

Młody adwokat stanął zdumiony.

— Cóż może przedstawiać ów obraz? — zapytał po chwili.

— Wzruszającą i dramatyczną scenę. Żandarmi przychodzą wyrwać młodą kobietę z domu, do którego się schroniła, oskarżona o zbrodnię. Grupa ułożona jest porywająco, otoczenie z licznych osób złożone. Na głównym planie znajduje się przyaresztowana kobieta, mer, żandarmi i strażnicy więsocy; umieściłem zarówno na tem płótnie twą matkę, twego wuja i ciebie nakoniec, drogi mój Jerzy — opowiadał artysta.

— Mnie? — zapytał ze zdziwieniem syn Joanny Forti r.

— Tak, ciebie, który wzrokiem zdajesz się błagać sprawiedliwości o łaskę dla nieszczęśliwej.

— To się rzeczywiście zdarzyło? miało to miejsce?

— Tak.



— I ja tam byłem?

— Byłeś.

Mówiąc to wszystko, Edmund Castel miał wzrok utkwiony w młodego adwokata, śledząc na jego twarzy wrażenie, wywołane temi słowy.

Jerzy słuchał wszystkiego ze zdumieniem, lecz obojętnie; nie drgnął żaden mięsień w jego twarzy.

— To dziwne! — wyrzekł — utrzymują powszechnie, że wrażenia, otrzymane w latach dziecięcych, niezatartemi pozostają. Ze mną wszelako inaczej się stało. Nic nie pamiętam z tego, co opowiadasz, nic... wszystko zniknęło. Ileż lat mogłem mieć natenczas? — zapytał po chwili.

— Pół czwarta roku.

— A więc dwadzieścia jeden lat upłynęło od owej chwili.

— Tak.

— Nic sobie nie przypominam z owego dziecięcego wieku.

— Sięgnij myślą wstecz, głęboko...

— Nadaremnie! panuje noc, ciemność, najzupełniejsza ciemność!

— Posłuchaj więc — zaczął Edmund Castel. W ogrodzie, gdzie odbywała się ta scena, stałeś przy swojej matce, trzymając w ręku konika, a ponieważ na obrazie pragnę zachować najściślejsze szczegóły tego zdarzenia, potrzebuję zatem pomienionej zabawki, by ją odszkicować z natury.

— Przyniosę ci ją sam — rzekł Jerzy.

— Wdzięcznym ci pozostanę.

— Sądząc po tem, co mi opowiedziałeś przed chwilą — zaczął młody adwokat — portret mojej matki, wuja i twój znajdują się na tym obrazie?

— Tak, i twój zarówno, mój Jerzy.

— Czy masz zamiar sprzedania go po wykończeniu?

— Dlaczego pytasz mnie o to?

— Ponieważ, nie posiadając żadnej z prac twoich, kupiłbym chętnie ów obraz, mający dla mnie wartość wyższą nad dzieło sztuki, bo pamiątkową wartość.



— Jesteś więc, jak widzę, bogatym — odrzekł u uśmiechem artysta; — wiesz bowiem, że ja swe prace bardzo wysoko cenię.

— Wiem o tem — odparł młodzieniec — lecz wiem obok tego i to także, iż w tym razie postąpisz ze mną jak z przyjacielem, względnym się dla mnie okażesz.

— Hm... hm... — mruknął Castel — będzie to obraz znakomitej wartości.

— Jak wszystkie twe prace, opiekunie.

— Hm... hm... cenię go wyżej... wyżej nad inne.

— Proszę więc, oszacuj go, chciałbym ci zań odrazu zapłacić, a gdyby było potrzeba, zakredytujesz mi cośkolwiek, wszak prawda?

— Ależ ten nabytek zrujnować cię może...

— Nie obawiaj się, siłą pracy potrafię zapełnić ucyzioną w dochodach szczelinę.

— Ach, dziecko, ty dobre, prawdziwe dziecko! — zawołał artysta, wybuchając śmiechem. — Nie odgadujesz więc, że ów obraz przeznaczam dla ciebie, że jeśli go chcę wykończyć starannie, to jedynie w celu, aby go tobie ofiarować?

— Drogi, ukochany, najmiłszy opiekunie! — zawołał uradowany młodzieniec, rzucając się w objęcia Edmunda.

— Chciałem ci zrobić niespodziankę — mówił tenże wesoło. — i dobrze mi się to udało. W dniu, w którym go ukończę, obraz znajdzie się u ciebie. Przygotuj więc dlań miejsce w salonie.

— A rychło go ukończysz?

— Ściśle czasu oznaczyć nie mogę, zważ, iż nietylko nad tem pracuję; przypuszczam jednak, że mniej więcej za cztery lub pięć miesięcy.

— Pozwolisz mi jednak przed tem go zobaczyć?

— Ilekroć razy zechcesz odwiedzić moją pracownię.

— A zatem jutro...

— Dobrze, oczekiwać cię będę.



XXII.

Jerzy, pochwycawszy rękę Edmunda Castel, uściskał je z uczuciem gorącej wdzięczności.

— Ach, jakżeś dobrym!—wołał—jakiemiż słowy mam ci wyrazić moją serdeczną podziękę? Powiedz mi jednak—dodał po chwili—ta kobieta, o której wspomniałeś, przyaresztowana przez żandarmów u mego wuja na probostwie de Chévy, a zajmująca miejsce na pierwszym planie twego obrazu, w czem ona zawiniła?

— Oskarżono ją o potrójną zbrodnię: kradzież, podpalenie i morderstwo—odrzekł artysta.

— Och! nieszczęśliwa! oddano ją w ręce sprawiedliwości bezwątpienia?

— Tak.

— Jakiż wyrok na nią wydanym został.

— Skazaną została na dożywotnie więzienie.

— Musiała zatem w rzeczy samej być winną?

— Zdaje się, skoro sędziowie zebrane dowody uznali za dostateczne do jej potępienia.

— Czy znasz nazwisko tej nieszczęśliwej?

— Wiedziałem je kiedyś, dziś zapomniałem, nie dziw, tyle lat od tego czasu upłynęło.

W chwili, gdy Edmund to mówił, u drzwi zadźwięczał głos dzwonka.

— Jeżeli to klient przybywa do ciebie w jakiej sprawie—rzekł—wejdę do przyległego pokoju wypalić cygaro.

— Zostań, dowiemy się kto przyszedł.

Jednocześnie Magdalena oznajmiła przybycie jakiegoś nieznanego.

— Dał bilet swój wizytowy?—zapytał Jerzy.

— Nie, panie, nie miał go przy sobie, powiedział tylko, się nazywa Lucyan Labroue.



— Lucyan Labroue! — zawołał młody adwokat z radośnym zdziwieniem.

— Labroue?—powtórzył malarz, kryjąc zmieszanie.

— Tak, dawny mój szkolny kolega, przyjaciel, którego nie widziałem od lat sześciu; czy znasz go, opiekunie? — pytał Jerzy.

— Nie... znanem mi jest tylko to nazwisko.

— Pozwolisz mi więc przyjąć go w swej obecności?

— Nietylko pozwolę, ale proszę o to.

Służąca wyszła, a w chwilę później Lucyan ukazał się we drzwiach gabinetu.

Jerzy podbiegł ku niemu z otwartymi ramionami.

— Lucykanie! drogi, kochany Lucykanie! — wołał i obaj młodzieńcy z jednako głębokim wzruszeniem bratersko się uścisnęli.

— Ach! jakżeś dobrze zrobił, żeś przyszedł, jakżeś szczęśliwy, że cię widzę! — powtarzał z nieklamana radością Darier.

— I ja niemniej się cieszę — odparł Lucyan, składając następnie ukłon Edmundowi.

— Mój opiekun i przyjaciel—rzekł Jerzy—pan Edmund Castel.

— Znany rozgłośnie artysta-malarz, którego talent podziwiam i uwielbiam — odpowiedział Lucyan z powtórny ukłonem.

— Podbijasz mnie pan, uderzając w moją słabą stronę — odrzekł malarz z uśmiechem. — Artysci lubią pochwały i ja nie jestem w tym razie wyjątkiem.

— Zamieszkuje w Paryżu? — pytał Jerzy swego niegdys towarzysza.

— Tak, od dwóch lat.

— Miałeś nieprzeparowane powołanie do mechaniki, stoisz więc zapewne na czele jakiego zakładu?

— Niestety, nie.



— Dlaczego? z twojemi zdolnościami, z twoją inteligencją?

— Zalety, jakie mi przyznajesz, nie posłużyły ku czemukolwiek bądź. Wegetuję z dnia na dzień. Zmuszony jestem dla utrzymania życia kopiować modele maszyn i plany.

— Czy podobna?

— Tak jest, na nieszczęście! a jednak nie brak mi odwagi i chęci do pracy.

— Czemuż się nie starał gdzie o pomieszczenie?

— Niekroć razy! wszystko nadaremnie; zrozpaczony niepowodzeniem, postanowiłem udać się do ciebie.

— Należało ci to oddawna uczynić. Chłopiec tak jak ty uzdolniony, winien rozwinąć skrzydła do lotu, a nie pełzać jak żółw z dnia na dzień. Przypominam sobie, że miałeś ciotkę...

— Tak, siostrę mojego ojca, zasnę, świętą kobietę; zmarła wkrótce po ostatniem widzeniu się naszym.

— Nic po niej nie odziedziczyłeś?

— Kilka tysięcy franków za ledwie, które posłużyły mi do ukończenia studyów.

— A, mój kochany — rzekł Jerzy — żałuję, że tak późno zgłaszasz się do mnie. Zajmę się natychmiast twym losem, a zajmę, bądź pewien, na seryo.

— Masz-że coś dla mnie na widoku?

— Tak.

— Cóż takiego?

— Jak uważałyś — mówił młody adwokat — posadę dyrektora w wielkiej fabryce budowy maszyn i mechaniki zastosowanej do kolei żelaznych?

— Ależ to przechodzi moje nadzieje!

— Zatem będę się starał o to miejsce dla ciebie.

— We Francji?

— Tak, w pobliżu Paryża. Siadaj — dodał, wskazując krzesło — opowiem ci rzecz całą.

— Inżynier-mechanik francuz, zubożony w New-Jorku, wrócił do rodzinnego kraju z zamiarem utworzenia w nim war-



sztatów na wzór tych, jakie posiadał w Ameryce. Ów inżynier jest moim klientem. Oddawszy mu ważną przysługę, mam prawo żądać wzamian dla ciebie w jego fabryce pomieszczenia. Buduje on obecnie olbrzymie warsztaty w Courbevoie nad brzegiem Sekwany, do których wkrótce potrzebować będzie wyborowych rysowników, mechaników, odlewaczy i wielu innych, celem rozpoczęcia robót, które wsławiwszy jego nazwisko w Ameryce, wsławią je również we Francji. Upewniam, iż posada dyrektora fabryki zostanie przed innymi tobie przeznaczona przez właściciela, pana Pawła Harmant.

— Pawła Harmant?—powtórzył Lucyan—byłżeby to ów wspólnik Mortimera z New-Jorku.

— On sam; widzę, że to nazwisko jest ci znanem.

— Komuż jest ono dziś nie znanem? Paweł Harmant wynalazł milczące maszyny do szycia, maszynę udoskonaloną do giloszowania, której pierwotną ideę powziął niegdyś mój ojciec, jak mi to ciotka opowiadała.

— A więc staniesz się prawą ręką tego zdolnego człowieka.

— Ach, mój kolego, jeśli to dla mnie uczynisz, jakże wdzięcznym ci pozostanę!—wołał Labroue.

— Zdaje mi się, iż rzecz uważać możesz za dokonaną—mówił dalej Jerzy. — Wiem, iż żądania napływać będą, mam jednak nadzieję, iż moje utrzyma się przed innemi. Pozwól mi więc działać i ufaj. A teraz przedewszystkiem zostajesz u mnie na obiedzie.

— Lecz...—zaczął Lucyan.

— Żadnych wymówek! — przerwał Darier—wykluczam wszelkie tłumaczenia z twej strony. Jutro wynagrodzisz czas dzisiaj stracony. Zatrzymuję cię i rzecz skończona!

— Zgadzam się na to, drogi mój Jerzy, zgadzam z prawdziwą radością—rzekł Labroue.

Młody człowiek zadzwonił; służąca ukazała się w progu



— Jedno nakrycie więcej, Magdaleno — rzekł do niej. — Powiększ liczbę potraw, a zarazem do poprzednio zadysponowanego obiadu dodaj dwie butelki szampa.

Po wyjściu służącej rozmowa zawiązała się nanowo.

— Mówiłeś pan przed chwilą, panie Labroue, że twój ojciec był wynalazcą? — zapytał Jerzy Castel.

— Tak, panie.

— Byłżebyś więc synem Juliana Labroue, właściciela spalonej fabryki przed dwudziestoma laty?

— Tak, mój nieszczęśliwy ojciec został zamordowany w czasie pożaru.

— Twój ojciec zamordowany? — zawołał Jerzy z zdziwieniem; — nie opowiadałeś mi nigdy o tym strasznym wypadku...

— Ponieważ sam o nim naówczas nie wiedziałem. W latach mojego dzieciństwa i w pierwszych chwilach młodości ukrywano to przedemną, by nie wywoływać gwałtownego wstrząśnienia. Dowiedziałem się o strasnej tej prawdzie na krótko przed śmiercią mej ciotki. Pan znałeś mojego ojca? — zapytał, zwracając się do Edmunda.

— Nie widziałem go nigdy, słyszałem jednak, równie jak wszyscy natenczas, o ponurej tragedji w Alfortville, a nazwisko powszechnie szanowanego Juliana Labroue wyryło się w mojej pamięci.

Szczególny zaiste zbieg okoliczności — myślał w duchu artysta — czyniący syna ofiary najszczerzym przyjacielem syna mordercy.

— Zbrodniarz więc został ukaranym? — zapytał Jerzy.

— Kobieta oskarżona o podpalenie i morderstwo skazana została na dożywotnie więzienie — odrzekł Labroue.

— Kobieta?!

— Tak; po spełnieniu tych zbrodni uciekła z Alfortville, została jednak schwytana na probostwie wioski, położonej o kilka mil od Paryża.

Jerzy rzucił na Edmunda Castel badawcze spojrzenie.



— W samej rzeczy — odrzekł artysta, zrozumiałwszy ów gest. — Kobieta, o której mówi pan Labroue, jest tą samą, o której mówiłem ci przed godziną, tą, którą umieściłem na pierwszym planie obrazu dla ciebie przeznaczonego.

— A więc—zawołał żywo Lucyan—pan widziałeś tę kobietę?

— Nietylko widziałem, ale z nią mówiłem.

— Gdzie?

— Na probostwie de Chévry, u zacnego księdza Langier, wuja Jerzego.

### XXIII.

— Jak ona wyglądała?—pytał Lucyan dalej.

— Była to piękna, silna kobieta, o wielce sympatycznym obliczu—odrzekł artysta,—Głębokie cierpienie wstrząsało nią natenczas do głębi.

— Zaprzeczała więc swej zbrodni?

— Jakkajsiłniej; utrzymywała, że jest niewinną ofiarą fałszywych pozorów.

— Być może, iż nie kłamała—rzekł Lucyan.

Jerzy z Edmundem spojrzeli z zaciekawieniem na mówiącego.

— Mimo to skazano ją—ozwał się Castel.

— To nie dowód — odpowiedział Labroue; — w iluż wypadkach znajdujemy błędy ludzkiej sprawiedliwości?

— Wszystko składało się na jej obwinienie — mówił artysta—mnóstwo widomych faktów ją obciążało.

— A jeśli te fakta były kłamliwemi? — ciągnął Lucyan dalej;—czyś pan z uwagą czytał akta procesu?

— Czytałem, chcąc się przekonać, czy ta kobieta była winną w rzeczy samej.

— I po przeczytaniu, jakież powzięłeś przekonanie?

— Że mogła być winną.



— *Mogła* — powtórzył Lucyan, kładąc brzmieniem głosu nacisk na tym wyrazie. — Nie stwierdzisz pan jednak stanowczo jej winy i gdybyś należał do grona sędziów jestem pewny, że wydałbyś wyrok przeciwny temu, jaki wygłoszonym został.

— Być może — rzekł Edmund — to prawdopodobne.

— Ja panie czytałem akta tego procesu po kilkakroć razy — mówił Labroue — ciotka moja zachowała z owych czasów dzienniki, w których wszystko to szczegółowo opisanem było a jestem najmocniej przekonany, że oskarżona nie brała udziału w tej sprawie. Moja ciotka również mnie zapewniała iż wbrew wszelkim pozorom nie wierzy w winę Joanny Fortier.

— Ach! — ozwał się Jerzy — ta nieszczęśliwa nazywała się więc Joanną Fortier?

— Tak — odrzekł Lucyan, zwracając się do Edmunda — przypominasz pan sobie — dodał — na czem ona opierała swoją obronę?

— Pamiętam doskonale. Pewien nędznik, nadzorca fabryki w Alfortville prześladował ją swemi miłostkami, obiecując jej majątek pańskiego ojca, skoro mu będzie wzajemną, chciał z nią opuścić Francję wraz z ukradzionemi pieniędzmi. Ów człowiek nazwiskiem Jakób Garaud, pisał list do niej, jak utrzymywała, list, w którym znajdował się niezaprzeczonny dowód zbrodni długo naprzód przez niego obmyślanej i dokonanej. Listu tego jednakże dostarczyć nie była w stanie.

— To prawda — ozwał się Labroue — mimo to bądź pan pewnym, że list ów istniał. Nie ta kobieta, ale nadzorca Garaud był podpalaczem, mordercą, złodziejem.

— Zapominasz pan, że ów człowiek stał się ofiarą własnego poświęcenia...

— Gdzież na to pewnik, gdzie dowód? Ja w tę śmierć jego nie wierzę, równie jak moja ciotka nie wierzyła w nią bynajmniej.



— W pewnych razach przypuszczenia za pewnik przyjąć potrzeba.

— Nie, nie! — zawołał Lucyan żywo — w obecnym wypadku zaprzeczam temu; podzielam w tym razie przekonanie mej ciotki najzupełniej. Zaprzysiągłem odkryć prawdziwego mordercę mojego ojca, i oczyścić tą nieszczęśliwą istotę, tak niewinnie skazaną.

— Lecz na co to odkrycie obecnie przydać się może? — rzekł Edmund — dwadzieścia jeden lat upłynęło od chwili popełnienia zbrodni, istnieją przepisy, wobec których prawo bezwładnem się staje.

— To mnie nie obchodzi!.. Jeżeli sprawiedliwość ludzka nie przyjdzie mi z pomocą, obejdę się bez niej, sam karę złoczyńcy wymierzę.

— Lecz czy pan jesteś przekonany, że Joanna Fortier dotąd żyje jeszcze?

— Nie wiem, zbadam to jednak.

— Ja ci w tem dopomogę — rzekł Jerzy. — Mając stosunki z osobistościami zajmującymi różne stopnie w hierarchii sądowej, łatwiej mi będzie w tym względzie pozyskać wiadomość.

— Wdzięcznym ci niewymownie pozostanę — odparł Labroue.

— Rzecz zatem ułożona i postanowiona.

— Tak, lecz dość już mówiliśmy o tem, co mnie zbliżka obchodzi — mówił syn inżyniera — pomówmy nieco o tobie mój Jerzy. Jestżeś zadowolonym z obranego zawodu?

— O ile nim być można. Zacny opiekun mój jest zarazem najlepszym mym przyjacielem; klienci nawiedzają mój gabinet dość często, pracuję z powodzeniem, czegoż życzyć mam więcej?

— Żony — rzekł żartobliwie Labroue.

— Żony — powtórzył Jerzy, śmiejąc się głośnie — czas jeszcze ku temu. Zresztą zdaje mi się, że idąc śladem mego opiekuna, zostanę kawalerem. Dotąd przynajmniej w celiba-



cie nie przykrzy mi się bynajmniej. A jak tam z twem sercem Lucyanie?

— Co do mnie, rzecz inna — odparł Labroue, mocno zarumieniony — zanim pomyślę o małżeństwie potrzeba mi wprzód zdobyć stanowisko.

— Pomimowolnie przyznaj jednakże, uwieźleś w siłkach amora — zawołał Jerzy — spostrzegłszy zakłopotanie przyjaciela.

— No tak... skoro mnie badasz koniecznie.

— Do licha, możeś już narzeczonym?

— Nie przeczę, i to właśnie przyczyna jaka mi nakazuje znaleźć grunt stały dla siebie. Łucya, to młode dziewczę, które kocham, jest równie jak ja ubogą; sierota, bez rodziny, została wychowaną w przytułku miłosierdzia. Dusza to jednak czysta, serce złote, a dobroć prawdziwie anielska; obok czego pracowita jest jak pszczoła!

— Kochasz ją zatem?

— Całem sercem i duszą! bez niej nie istnieje dla mnie szczęście na świecie.

— Miejmy nadzieję, że miejsce wkrótce otrzymasz w fabryce i będziesz mógł urzeczywistnić swoje marzenia. Zapraszam się naprzód na tve zaślubiny.

W chwili tej, weszła Magdalena oznajmując, że obiad na stole.

Wszyscy trzej udali się do jadalni.

Przy wesołej pogadance obiad przeciągnął się blisko do jedenastej wieczorem.

— Nie trać odwagi i rachuj na nas — mówił Jerzy, zegnając uściśnieniem ręki towarzysza młodości.

Labroue wyszedł od młodego adwokata z sercem pełnem otuchy; wszak o ile on czuł się rozradowanym, o tyle Łucya była smutną. Siedząc schylona nad szyciem, oczekiwała powrotu narzeczonego niecierpliwie, a oczekiwanie to wreszcie w trwożę się zmieniło.



— Czyliżby jakie nieszczęście spotkać go miało — zapytywała siebie ze drżeniem, przerywając robotę.

Z uderzeniem w pół do dwunastej, dzwonek zadzwieczał przy bramie, a jednocześnie stąpanie dało się słyszeć na wscho-  
dach. Kroki te zbliżały się szybko w stronę piętra przez nią zamieszkiwanego.

Podbiegła ku drzwiom.

— Czy to pan, panie Labroue? — zapytała zcicha.

Głos jej drżał, zaledwie z piersi dobyć go zdołała.

— Ja! droga Łucyo — odpowiedział.

Obawa dziewczęcia zniknęła.

— Ach! jakże byłam niespokojną, ileż się obawiałam...

— Zkąd, czego?

— Nigdy nie powracałeś tak późno, wyobrażałam sobie że spotkał cię jakiś straszny wypadek.

— Uspokój się droga, źle ci się zdawało, otóż przeciwnie, przynoszę pomyślniejszą wiadomość. Pozwolisz mi wejść do siebie, abym ci wszystko to opowiedział?

— Wejdz, będę słuchała cię, szyjąc.

— Pracujesz tak późno w noc — rzekł Lucyan — prosi-  
lem cię ażebyś tego nie czyniła.

— Twoja w tem wina, musiałam się zająć czemśkolwiek, oczekując na ciebie. Lecz siadaj i opowiadaj. Widziałeś się z twoim dawnym kolegą panem Darier?

— Widziałem, przyjął mnie jak prawdziwy przyjaciel.

— I zatrzymał cię na obiedzie?

— Tak, wprost wracam od niego.

— Jakże... obiecał wynaleść jakie zajęcie?

— Przyrzekł, i jestem pewien, że dotrzyma słowa.

— Jak prędko nastąpić to będzie mogło?

— W ciągu miesiąca otrzymam miejsce dyrektora robót w fabryce pewnego bogatego przemysłowca, otwierającego wielkie warsztaty mechaniczne w pobliżu Paryża, z którym Jerzy żyje w stosunkach ścisłej przyjaźni.

Łucya klasnęła w ręce z radością.



— Ach! jakżem szczęśliwa — wołała z uciechą. — Mia-  
łam dobre przecucie, namawiając cię, abys się udał do pana  
Darier. A teraz rozejdźmy się, reszta pogadanki na jutro —  
dodała — pora spóźniona, nie należy nasuwać powodów do  
plotek naszym sąsiadom.

Lucyan wstał z krzesła. Łucya zbliżywszy się pochyli-  
ła czoło ka niemu.

— Dobranoc mój drogi — wyrzekła.

Młodzieniec dotknął ustami czoła dziewczyny.

— Dobranoc — odpowiedział — śpij myśląc o mnie.

— Przrzekam ci to, do jutra zatem...

— Do jutra!

— Tu rozdzielili się myśląc, iż jeżeli przyszłość ziści ich  
nadzieje, to wkrótce nierozłączą się z sobą już więcej.

#### XXIV.

Jerzy Darier, jak mówiliśmy, był człowiekiem zanego  
serca. Ciężkie położenie Lucyana wielce go zasmuciło. Zna-  
jąc dobrze swego towarzysza z kolegium, jego inteligencyę,  
prawość charakteru, uznawał, iż byłoby zbrodnią nie przyjść  
mu w tym razie z pomocą.

Opowiadanie o tragicznej śmierci Juliana Labroue zdwoi-  
ło chęć Jerzego w wyświadczeniu przysługi synowi zamor-  
dowanego. Nie tracąc czasu, nazajutrz rano udał się na ulicę  
Murillo, dla pomówienia z milionerem o swym protegowanym.

— Zastałem w domu pana Harmant? — pytał otwierają-  
cego mu drzwi kamerdynera.

— Nie ma go panie, wyjechał.

— Kiedyż powróci?

— Niewiem, wszak panna Marya będzie mogła objaśnić  
pana w tym względzie. Czy mogę oznajmić jej o pańskiem przy-  
byciu?



Jerzy dość często bywając w domu Harmant'a, zauważył wpływ wywierany przez dziewczę na ojca, postanowił przeto wtajemniczyć ją w tą sprawę, pewien najlepszego skutku dla Lucyana Labroue.

— Jeżeli nie przeszkodzę pannie Harmant — odrzekł służącemu — chciej jej doręczyć mą kartę.

— Racz pan przejść do salonu, natychmiast oznajmę — odpowiedział sługa, wprowadzając przybyłego do małego saloniku przeznaczonego na codzienne przyjęcia.

Marya po odebraniu biletu, wkrótce się ukazała.

— Witam pana — poczęła uprzejmie, podając rękę Jerzemu — odwiedziny pańskie, mimo, iż jestem przekonana, że nie dla mnie były przeznaczonemi, niemniej są mi jednak przyjemne. Spocznij pan, proszę.

— Jakże zdrowie pani? — zapytał Darier.

— Doskonale! nigdy lepiej się nie czułam jak teraz.

Gwałtowny atak kaszlu przerwał jej mowę.

— Ach! ten nieznośny kaszel — szepnęła, uspokoiwszy się nieco — dziwnie to uporczywe i denerwujące cierpienie, gdyby nie to, byłabym zdrową zupełnie...

Przy tych słowach ocierała chustką czoło, potem zroszone.

— Winnaś się pani troskliwie pielęgnować — rzekł Jerzy, wiedząc dobrze jakiego rodzaju nieuleczalną chorobą młode dziewczę dotkniętem zostało.

— Czynię to — odpowiedziała — doktorzy okładają mnie lekarstwami, katar, rzecz tak łatwa do pokonania, a pomimo to... Nie mówmy jednak o tem, to fraszka, przeminie. Życzyłeś pan zapewne widzieć się z mym ojcem? — pytała.

— Tak pani.

— Wyjechał na trzy tygodnie, to znaczy, iż nie powróci, aż w początkach przyszłego miesiąca. Celem jego podróży są liczne zakupy dla fabryki, będzie w Belgii, w Mons, w Charleroi. Budynki w Courbevoi są na ukończeniu, ojciec jest pewnym, że w miesiąc po jego powrocie fabryka w ruch



wprowadzoną zostanie. Obecnie jak pan widzisz, sama tu pozostałam. Są chwile, wierzaj, gdzie ta samotność ciężyc mi poczyna. Cóż jednak sprowadza pana do mojego ojca? — ciągnęła dalej — koresponduję z nim ciągle, ztąd jeśli chodzi o jaką pilną sprawę, mogę mu tę rzecz listownie przedstawić...

— Dość będzie czasu gdy ojciec pani powróci — rzekł Jerzy — cieszę się ze sposobności jaka mi dozwala z panią pomówić, tem więcej, że mam ją prosić o pomoc w pewnym interesie.

— Najchętniej, o cóż chodzi?

— O udzielenie miejsca młodemu człowiekowi w fabryce pana Harmant, uczniowi szkoły Sztuk i Rzemiosł, zdolnemu rysownikowi i mechanikowi.

— Jest to pański przyjaciel zapewne?

— Tak, mój przyjaciel z kolegium. Bolesnie dotkniętym został tragiczną śmiercią swego ojca, któremu ukradziono cały majątek, a razem i śmiercią ciotki, jaką kochał tkliwie, lecz która będąc ubogą nic w spadku mu nie pozostawiła. Obecnie biedny ten chłopiec żyje jedynie z swej pracy.

— Zadość uczynić pańskiej prośbie jest naszym obowiązkiem — odpowiedziało dziewczę — możesz pan liczyć na mnie, użyję całego wpływu, ażeby pański protegowany został przyjętym, i naprzód za skutek poręczam. Mój ojciec powraca w dniu drugim przyszłego miesiąca, przeto ów młody człowiek niech zgłosić się tu zechce 3-go, a zaraz działać zaczniemy.

— Nie mam słów na okazanie pani mojej wdzięczności — rzekł Jerzy.

— Nie dziękuj mi pan, proszę — odpowiedziała po przeinięciu nowego ataku kaszlu, bardziej gwałtownego, niż pierwszy. — Dotąd nic jeszcze nie uczyniłam, zdaje mi się jednak, że pan możesz ztąd wynieść nadzieję. W najpierwszym liście doniosę mojemu ojcu, że widziałam się z panem, i że coś przyrzekłam w jego imieniu.

Jerzy powstawszy, podał rękę pannie Harmant,



— Niepozwalasz mi pani dziękować — rzekł — jestem posłusznym, oddałam się ztąd jednak z sercem przepelnionem wdzięcznością.

Marya uściskałszy mu rękę przyjaźnie, wyprowadziła do przedpokoju.

Wróciwszy do swego mieszkania, Darier wysłał list do Lucyana, zawiadamiający go o pomyślnym przebiegu tej sprawy. Synowi więc Juliana Labroue czekać obecnie tylko należało.

\*

\*

\*

Powróćmy do Joanny Fortier, którą pozostawiliśmy idącą wśród śniegu w ubiorze zakonnicy.

Odźwierny będąc pewnym, że otworzył drzwi więzienia siostrze Filomenie, dążącej na nabożeństwo do parafialnego kościoła, po zamknięciu takowych na rygle, wrócił do swojej stancyjki, by ogrzać się przy żywo płonącym ognisku.

Joanna uszedłszy kilka kroków drogą, wiodącą ku miastu, nagle zachwiała się, przyłożywszy rękę do serca. Poczucie wolności, obezwładniło ją chwilowo; drżała na całym ciele, podczas gdy grube łzy, łzy szczęścia i radości z jej oczu płynęły. Wkrótce jednakże minęło owo wzruszenie; wdowa po Piotrze Fortier zrozumiała, iż nie ma chwili do stracenia, że w ciągu kilku minut spostrzedz mogą jej ucieczkę i wysłać w pogoń za nią żandarmów, a za jaką bądź cenę wolną pozostać pragnęła, aby odnaleźć swe dzieci.

Czerpiąc odwagę w tej myśli, skierowała się szybko ku miastu, gdzie zniknęła wśród ciemnych i ciasnych ulic, przy których położone sklepy zamkniętymi były jeszcze o tak wczesnej porze.

Była odźwierna w Alfortville od dawna plan sobie wytknęła i ułożyła co czynić w razie uwolnienia. Idąc szybko przez kwadrans, zwolniła nieco kroku i spojrziała wokoło siebie.



Mleczarka z blaszanemi naczyniami w ręku zbliżała się ku niej.

— Którędy ztąd droga na stacyę drogi żelaznej, powiedz mi pani? — spytała nadchodzącej.

— Wprost przed siebie siostró — odrzekła zagadniona — staniesz tam w ciągu trzech minut...

— Dziękuję za objaśnienie.

Tu Joanna iść szybko zaczęła.

Przy brzegu ulicy otwierano sklep, który zwrócił jej uwagę. Był to skład bielizny i gotowych kobiecych ubiorów; dwa gazowe płomienie oświecały wnętrze tego sklepu.

Weszła tam.

— Czego żadasz siostró? — zapytała ją właścicielka, układając na półkach towary.

— Chciałabym kupić ciepłe ubranie dla pewnej ubogiej kobiety — odrzekła wdowa. — Jest ona równą mnie tuszą i wzrostem.

— Wyszukam coś odpowiedniego — rzekła kupcowa, przerzucając w ubiorach. — Oto właśnie spódnica miękka i ciepła w szarym kolorze, dodała po chwili, rozkładając takową.

— Kolor dobry, wezmę ją — rzekła Joanna — prosiłabym jeszcze o okrycie w podobnym rodzaju, czepek płócienny i chustkę wełnianą.

Właścicielka sklepu dostarczywszy żądane przedmioty i ugodziwszy się o cenę, zawinęła takowe.

— Widzę, że spieszysz się siostró — mówiła wydając resztę drobną monetą, podążasz być może na pociąg odchodzący do Paryża. Wyrusza on o siódmej minut czterdzieści. Pozostaje ci zatem kwadrans czasu — dodała spojrzawszy na zegar.

## XXV.

— Pilno mi w samej rzeczy — odrzekła Joanna, czując, iż wypadalo jej coś odpowiedzieć — lecz nie na pociąg się spie-



sze, ale na nabożeństwo. I wzięwszy pakiet wyszła ze sklepu, pozdrowiwszy właścicielkę.

— Kwadrans czasu tylko mi pozostaje — szepnęła — chciałabym zmienić ubranie, lecz gdzie, w jaki sposób?

I wciąż szła dalej.

Nagle ujrzała przed sobą otwarte drzwi jakiegoś domu, a w głębi tegoż ciemny korytarz, na końcu którego rozeznąć można było wschody. W wyższej części budynku głębokie panowało milczenie.

Wdowa przystanąwszy tu, zrzuciła welon, zdjęła z siebie futro, odpięła stanik rozwiązała spódnice i w oka mgnieniu przywdziała kupione przed chwilą ubranie, okrywając się płóciennym czepkiem swą głowę. Następnie przyodziawszy się chustką wełnianą, zwinęła w pakiet ubranie zakonne, okryła go płótnem, w sklepie kupionem a wsunąwszy pod ramię, podążać zaczęła ku stacyi drogi żelaznej.

Obecny jej ubiór dawał jej pozór wiejskiej robotnicy.

Na kilkanaście kroków przed stacyjnym budynkiem posłyszała uderzenie dzwonu. Trwoga ją ogarnęła.

— Miałżeby to pociąg odchodzić?

Z pośpiechem wbiegła do sali.

— Pociąg do Paryża? — pytała zdyszana pierwszego z napotkanych, wskazując na okienko kasy.

— Tam, spiesz się pani — odrzekł — za chwilę odjeżdża.

Joanna przybiegła do okienka.

— Do Paryża — powtórzyła.

— Której klasy?

— Trzeciej.

— Oto jest, cztery franki, czterdzieści pięć centymów.

Wdowa położywszy sztukę pięciofrankową, zniknęła jak błyskawica, spiesząc ku drzwiom wychodzącym na plant kolejowy.

— Lecz odbierz pani resztę! — wołał urzędnik.

Napróżno jednak, Joanna siedziała już w wagonie obok trzech kobiet i młodego z matką jadącego dziewczęcia. Wsu-



57  
nawszy się w ką, umieściła starannie owinięty pakiet z ubran-  
niem zakonnicy obok siebie.

Świsnęła lokomotywa, pociąg wyruszył w drogę.

Siedząc w milczeniu, rozmyślała nad owem zawiniątkiem,  
które mogło się stać niebezpiecznym dowodem jej ucieczki.  
Pozbyć się go należało jaknajprędzej — lecz w jaki sposób to  
uczynić?

Zrazu chciała go wyrzucić niepostrzeżenie przez okno  
wagonu, lecz mimo całej ostrożności, mogłoby to na nią zwró-  
cić uwagę, a w razie odnalezienia go przez kogoś, wskazać  
śledztwu jej ślady. Odniesionoby pakiet do komisarza policyi  
i w pogoni za uciekającą zatelegrafowano we wszystkich kie-  
runkach dróg żelaznych.

Długo nad tem rozmyślając, ułożyła plan nowy, będąc  
przekonaną, iż wkrótce jej ucieczka odkrytą zostanie. I nie  
myliła się w tym względzie.

W szpitalnym więziennym oddziale zdziwiona służba tak  
długim nieukazywaniem się dozorczyni, która zwykle bywa-  
ła obecną przy uprzątnięciu sal, sądziła, iż dłużej nieco zaspala.  
Dla przekonania się o tem, jeden z nich udał się do stacyjki  
Joanny. Nie znalazłszy jej tam, przypuszczano, iż w jakim  
interesie wyszła do ekonomicznego oddziału. Jednocześnie  
nadeszła przełożona z nabożeństwa wraz z zakonnicy, a za-  
niepokojona nieobecnością w kościele siostry Filomeny, wyda-  
ła rozkaz, aby sprawdzono, co się z nią dzieje.

Ujrzano siostrę Filomenę pogrążoną w śnie letargicznym,  
z którego dobudzić się jej niepodobna było. W jej pokoju, na  
miejscu zakonnego habitu, leżało ubranie wdowy Fortier.

Odźwierny, badany w tej mierze, zeznał, że otworzył  
drzwi siostrze Filomenie. Ucieczka Joanny natychmiast  
stwierdzoną została; powiadomiony o tem dyrektor więzienia,  
poszedł oznajmić o nastąpionym wypadku gdzie należało, ażeby  
uciekającą ścigano i przyprowadzono do domu poprawy.

W godzinę potem całe miasto Clermont wiedziało, że  
kobieta skazana na dożywotnie więzienie, uciekła przebrana



za zakonnicę. Tak mleczarka, którą spotkawszy na drodze, zapytywała Joanna, jako też i właścicielka sklepu, u której kupowała ubranie, posłyszawszy o tem, co zaszło, pośpieszyły złożyć swoje zeznania. Z otrzymanych wskazówek powzięto przekonanie, że wdowa Fortier, zrzuciwszy ubranie zakownicy, wyjechała drogą żelazną. Od chwili jej ucieczki jeden tylko pociąg odszedł do Paryża, mianowicie o kwadrans na dziewiątą rano; uciekająca znajdować się więc już mogła w bliskości tegoż miasta: Rozesławszy żandarmów na poszukiwania tak w mieście jak w okolicy, zatelegrafowano do Paryża, by nie dozwalać bez ścisłego śledztwa wysiadać tamże z pociągu osobom, posiadającym bilety z Clermont. Było trzy kwadransy na dziesiątą; gdy ta depesza nadeszła.

Pociąg z Clermont przybywał do Paryża o w pół do jedenastej.

Naczelnik policyi w towarzystwie dwóch agentów wsiadł do powozu, rozkazując woźnicy pędzić jaknajszybciej na stację północnej drogi żelaznej. W chwili, gdy wszyscy trzej wysiadali, nadszedł równocześnie pociąg z Clermont.

Na rozkaz naczelnika policyjnego oddziału, wszystkie osoby, posiadające bilety z Clermont do Paryża, zatrzymanemi zostały w oddzielnej sali. Było razem jedenastu podróżnych, między którymi trzy kobiety. Joanna jednak zręcznie uniknęła śledztwa; nie znaleziono jej pomiędzy przybyłymi trzema kobietami. Podróżne te stwierdziły tożsamość swych osobistości, utrzymując, że na stacyi Clermont nie widziały żadnej kobiety, której pozory zdradziłby mogły uciekającą.

Naczelnik policyi zatelegrafował, iż poszukiwania jego na stacyi północnej dróg żelaznych bezskutecznemi się okazały.

Oto w jaki sposób uchroniła się wdowa Fortier przed poszukiwaniem.

Na stacyi w Cretéil wysiadły dwie jej towarzyszki podróżny i ona w przedziale samą pozostała. W pięć minut później pociąg przebiegał w głębi tunelu. Korzystając z ciemno-



ści; wdowa Fortier wyrzuciła oknem wagonu pakunek, zawierający ubranie siostry Filomeny, co uczyniwszy, nasłuchiwała pilnie, ilekroć razy pociąg zatrzymał się na przystanku.

Skoro konduktor wymienił stację Saint-Denis, otworzywszy drzwi wagonu, wysiadła, udając się pieszo w drogę do Paryża, dokąd przybyła w ciągu godziny. Wielkie to miasto, całe śniegiem grubo nakryte, dziwnie ponury i smutny miało pozór, mimo, iż to była niedziela. Po ulicach rzadko snuli się przechodnie. Gromady robotników z łopatami w ręku odrzucały gęsty śnieg, oswabadzając trotuary.

Joanna, oddychając pełną piersią wśród odzyskanej wolności, nie czuła zimna, głód jednak dokuczać jej poczynał. Spotkawszy pierwszy zakład restauracyjny, weszła doń, by się pożywić bulionem; podczas czego starała się uporządkować swe myśli, od chwili uwolnienia rozpierzchnięte w nieładzie. Jedna wyłączna idea opanowała jej umysł.

— Niepowinnam zaznać spoczynku — mówiła sobie — dopóki nie odszukam mych dzieci. Dziś zatem pójdę do Chévy.

Po skromnem owem śniadaniu wsiadła do omnibusu, udając się do Vincennes, gdzie w czasie drogi powiadomiono ją, iż pociągi kursują co godzina do Brie-Comte-Robert, z kąd postanowiła dojść pieszo do Chévy.

Wsiadła do wagonu o pierwszej w południe.

— Ach! oby mnie tylko nie poznano — myślała z trwogą

Biedna kobieta nie miała się czego obawiać. Przez lat dwadzieścia jeden zmieniała się do niepoznania. Włosy jej po-  
bielały, a głębokie zmarszczki wryły bruzdy na jej gładkiem i pięknem niegdyś obliczu. Niedziw — przecierpiała i przeplakała tyle! Była przez lat dziewięć obłąkana, a obecnie dosięgała czterdziestego ósmego roku życia. Wystarczyło to, by jej zupełnie nie poznano.

*Pis...*



XXVI.

Jedna wszelako okoliczność przedstawiała dla niej groźne niebezpieczeństwo. Potrzebowała po drodze pytać się ludzi, by nie zabłądzić, a pytania te wznieciły mogły podejrzenia co do jej osobistości.

Niepodobna jej było zwracać się do kogoś z pełniących służbę na stacyi, bezzwłocznie albowiem natenczas przytrzymanaby zostać mogła. Otworzyłyby się przed nią nanowo więzienie bez nadziei uwolnienia, ponieważ dozór zostałby nad nią zdwojonym. Myśląc o tem wszystkim, nieszczęsna, przyrzekała sobie działać z rozwagą.

Przybywszy do Brie-Comte-Robert, spostrzegła oczekujący na stacyi omnibus, na ścianach którego wypisane były różne miejscowości, przez jakie przechodził, a między innymi wymienioną była i wioska de Chévry.

Wiele osób wsiadać doń zaczęło.

— Czy ten omnibus przechodzi przez Chévry? — spytała konduktora.

— Tak jest—odpowiedział.

— Przejeżdża około probostwa?

— Zatrzymuje się w pobliżu.

Joanna wsiadła. Powóz toczył się zwolna po drodze, grubo nakrytej śniegiem i zatrzymał się w Chévry nareszcie.

Stanąwszy w tej wiosce, konduktor pociągnął za dzwonek i otworzył drzwiczki, pozwalając wysiąść podróżnej.

W miarę jak zbliżała się ku probostwu opanowywało ją silne wzruszenie, serce jej uderzało w piersiach przyspieszonym tętnem. Chévry przywiodło jej na pamięć tę straszną przeszłość, stawilo przed oczyma dziecię, pozostawione na opiece księdza.

Za jednym rzutem oka poznała budynki plebanii, przypomniała sobie ów dzień, gdy wyczerpana znużeniem, umierająca



z głodu, z dzieckiem na ręku, zadzwoniła do tych sztachet żelaznych, padłszy na progu zemdlona.

Przystąpiwszy ku nim, jak przed dwudziestu laty, zadzwoniła. Stara wiejska służąca, otulona chustką, wyszła jej otworzyć.

— Czego pani żądasz?—spytała.

— Chciałabym się widzieć z proboszczem—odpowiedziała Joanna.

— Proboszcz w tej chwili odprawia nieszpory w kościele; jeżeli pani pragniesz się z nim widzieć, idź i zaczekaj w zakrystyi.

— A czy tu nie pozwoliłabyś mi pani poczekać?—szepnęła wdowa nieśmiało.

— Ksiądz proboszcz nie kazał mi wpuszczać nikogo z obcych, gdy nie ma go w domu—odpowiedziała służąca, mierząc przybyłą podejrzliwym wzrokiem.—Możesz pani poczekać na drodze—dodała.

— Dobrze, dziękuję—odrzekła, wychodząc Joanna.

Nie mogąc jednak czekać przy drodze na śniegu bez ściągnięcia na siebie uwagi, udała się do kościoła. Wszedłszy tam bocznymi drzwiami, wsunęła się po za filar i ukłękła przy krześle, zasyłając gorące modły ku Stwórcy.

Nieszpory wkrótce się ukończyły. Ludzie zwolna rozeszli się, nie spostrzegłszy obcej w kościele.

Proboszcz wszedł do zakrystyi wraz ze śpiewakami i służbą kościelną. Joanna śledziła ich wzrokiem. Wkrótce ukazali się znowu i odeszli. Proboszcz wyszedł ostatni. Był to mężczyzna, około lat pięćdziesięciu mieć mogący. Wychodząc, przyklęknął na stopniach ołtarza, odmówił krótką modlitwę, następnie podniósł się, przeżegnał i zwrócił ku drzwiom.

Wdowa zbliżyła się natenczas ku niemu.

— Wybacz, księże proboszczu...—szepnęła drżącym ze wzruszenia głosem.

Ksiądz spojrzął na nią.



— Czego żadasz, córko?—zapytał.

— Chciałabym pomówić z księdzem—odpowiedziała.

— Zdaje mi się, że nie należysz do tej parafii?

— Nie; jestem obcą, przybyłam umyślnie z Paryża, by osobiście pomówić z księdzem proboszczem w ważnym interesie.

— Jestem gotów cię słuchać, pójdź ze mną do zakrystyi.

Udała się za nim i wkrótce między obojgiem zawiązała się następująca rozmowa:

— Jestem zobowiązana przez pewną osobę—zaczęła wdowa Fortier—do uproszenia księdza proboszcza o udzielenie mi niektórych objaśnień.

— W jakim przedmiocie?—zapytał.

— Co do szczegółów, dotyczących poprzedniego proboszcza, który zarządzał tutejszą parafią w roku 1861-ym.

— A! mówisz o zacnym księdzu Langier, o tym, którego ja zastąpiłem? Umarł on w pamiętnym roku 1871-ym i odtąd pełnię obowiązki plebana?

— Zatem ksiądz proboszcz go znałeś?

— Bardzo mało; widziałem go parę razy na krótko przed zgonem.

— Wszak on miał siostrę?

— Tak, lecz ta przed nim umarła.

— Siostra ta wychowywała przy sobie dziecię?

— Swego syna, jak mi mówiono.

— To mój... mój Juraś!—pomyślała, zadrżawszy, Joanna.

— Czy nie wiadomo księdzu proboszczowi—odezwała się po chwili, powściągając wzruszenie — co się stało z tem dziećciem? Właśnie, aby się o tem dowiedzieć, przybyłam umyślnie do Chévy.

Proboszcz potrząsnął głową.

— Nie jestem w stanie w tem cię objaśnić—rzekł;—gdym przybył tu dla objęcia parafii, opowiadano mi, że syn siostry proboszcza Langier przybył na pogrzeb swojego wuja



i wkrótce potem wyjechał do Paryża z przyjacielem zmarłego. Prócz tego szczegółu, nie wiem nic więcej.

— Nazwisko tego przyjaciela?... radabym je wiedzieć...

— Nie wiem, jak on się nazywał.

— Mer tutejszy zna je, być może?

— Obecny mer ma lat dwadzieścia siedem, w owym czasie uczył się jeszcze w kolegium.

— Lecz dawny mer... ten z roku 1861?

— Umarł oddawna, dwóch po nim już było następców...

— A służąca niegdyś księdza Langier?

— Poprzedziła do grobu proboszcza i jego siostrę.

— Ta siostra była wdową, nieprawdaż? — pytała dalej

Joanna.

— Tak, wdową.

— Jak więc nazywał się jej mąż?

— Być może, żem kiedyś wiedział o tem, lecz zapomniałem — odrzekł ksiądz.

— Czy ona tu w Chévry umarła?

— Tak mi się zdaje.

— Zatem jej nazwisko musi być zapisanem w aktach kościelnych, jak również w księgach u mera i na cmentarzu po nad mogiłą.

— Było tak, być może, lecz wszystko podczas wojny zniszczonem zostało. Potyczka wznawianą była w tej wiosce po kilkakroć razy, mieszkanie mera wraz z trzecią częścią domostw wieśniaczych spalone zostało, akta kościelne uległy zupełnemu zniszczeniu, nagrobki nawet wrogowie porozbijali granatami.

— A więc — szepnęła wdowa z rozpaczą — nic... nic się nie do wiem!...

Pytania jej wzbudziły podejrzenia w umyśle proboszcza, wzruszenie jej z każdą chwilą widoczniejszem stawało się.

— Jakież pobudki osobiste popychają cię do zbadania tych szczegółów? — zapytał ksiądz, brzmieniem głosu, kładąc nacisk na wyrazie *osobiste*.



Joanna zadrżała. Zbyt była inteligentną, by nie zrozumieć, iż mogła podać się w podejrzenie. Prowadzić dalej badania było to wskazać policyi swe ślady w razie, gdyby takowej przyszło na myśl, iż zechce ona poszukiwać w Chévry swojego syna.

— Nie mogę działać więcej w tej sprawie—pomyślała— nazbyt już wiele mówiłam.

— Wspominałam—wyrzekła po chwili, zwracając się do księdza, śledzącego ją badawczym spojrzeniem—iż nie dla siebie zadaję powyższe zapytania. Jedna z mych przyjaciółek gorąco mnie zobowiązała o dostarczenie sobie szczegółowych wskazówek względem dziecka, wychowującego się niegdyś u siostry księdza Langier. Ztąd pragnęłam dowiedzieć się o jej nazwisku, by łatwiej osiągnąć wiadomość co do owego chłopczyzny.

— Komuś więc wiele zależy na odnalezieniu go — badał proboszcz dalej.

Dźwięk głosu, z jakim te słowa wymówionemi zostały, przekonywał Joannę o wzrastającej nieufności pytającego.

— Nic nie wiem—odparła z lekkim zakłopotaniem—powierzono mi tę misję, spełniłam ją, ot wszystko!

— Ja również nie wiem nic więcej nad to, com ci powiedział rzekł proboszcz. — Przejdź się wpośród wieśniaków, być może, znajdziesz kogoś, co ci udzieli lepsze objaśnienia. Niech cię Bóg prowadzi, me dziecię!...

## XXVII.

Wyszedszy po tych słowach z zakrystyi, a następnie z kościoła, ksiądz pozostawił wdowę Fortier. Biedna, zrozpaczona kobieta padła na kolana.

— Boże, mój Boże! — wołała, wznosząc załamane ręce— nic więc, nic nie odnalazłam! — Wszystko jak gdyby się na mnie sprzysięgło! I ksiądz ów nawet, człowiek miłosierdzia, ścigał mnie podejrzliwym wzrokiem, słuchając zapytań, jakich



obojętnie zadawać nie byłam w stanie. Gdybym poszła badać innych, jak jego zapytywałam, wzbudziłabym nieufność przeciw sobie i ci, do którychbym się udała, nie posiadając w sercach kapłańskiej dobroćliwości, wyrażaćby mogli głośno podejrzenia na moją zgubę. Co począć więc, co począć?— wołała.

— Boże wszechmocny, pełen dobroci i sprawiedliwości— jęczała ze łkaniem— wspieraj mnie, radź i prowadź! Ciemności zewsząd mnie otaczają, wskaż mi drogę, którą mam postępować. Jakiś człowiek uprowadził do Paryża mniemanego siostrzeńca księdza Langier, które jest mojem dzieckiem. Siostra proboszcza przyrzekła mi czuwać nad niem, zastąpić mu matkę... Dotrzymała obietnicy, jestem pewna... Lecz gdzie mego syna odnaleźć w Paryżu? Mamże iść do ludzi, którzyby mogli mnie oddać w ręce żandarmów, mamże powiedzieć im: „Jestem Joanną Fortier, tą, która uciekła z więzienia w Clermont... przytrzymajcie mnie!... Ach! czemuż mi na myśl to wszystko nie przyszło! Pragnęłam uwolnić się, a teraz, gdy odzyskałam swobodę, jestem zmuszoną ukrywać się jak przed dwudziestoma laty! Ścigają mnie... stałam się pastwą policyi i więzienia... to straszne! O czemuż nie pozostałam lepiej obłąkana!

Nieszczęsna ukryła w dłoniach rozpalone czoło, głośno łkając.

— Nie!— zawołała po chwili, podnosząc głowę, mimo to wszystko, nie uznaję się być zwyciężoną! Z głębin ciemności, w jakie mnie wpycha fatalność, będę prowadziła poszukiwania bez wytchnienia; Bóg... może zlituje się nademną i pozwoli mi dojść do celu. Mój syn przebywa zapewne w Paryżu, tam więc szukać będę jego śladów, skoro się dowiem, jaki los spotkał mą córkę.

Tu modlić się cicho zaczęła, a modlitwa ta wzmocniła jej siły i odwagę. Wyszła z kościoła uspokojona.

Mrok zapadał zwolna, smutny ponury. Joanna szła pie-  
o po śniegu ku stacyi drogi żelaznej Brie-Comte-Robert.  
Dziewiątej wieczorem była z powrotem w Paryżu. Pier-



szym pociągiem nazajutrz postanowiła jechać do Joigny, gdzie jak wiemy pozostawiła u mamki małą swą Łucyę.

Po skromnej wieczerzy udała się do pobliskiego zajazdu, przedstawivszy się tamże za wiejską robotnicę, gdzie dano jej stancyjkę nie wymagając od niej żadnych legitymacyj. Równowno ze dniem nazajutrz, wsiadła na pociąg jadący do Bour-gogne. Przybywszy do Joigny poszła wprost do domu wdowy Fremy, wieśniaczki, której przed laty dwudziestu powierzyła swe dziecię. Wiedziała naprzód, iż nie odnajdzie tej kobiety, ponieważ list pisany z więzienia w Clermont zwrócono jej z napisem: *Adresantka nieznaną*. Spodziewała się jednak otrzymać jakieś w tej mierze objaśnienia. Pojmujemy jej zniechęcenie i smutek, skoro ujrzała, iż stare domostwo wieśniaczki już nie istnieje. Na jego miejscu, tak jak i gruntach sąsiednich, wznosił się nowy obszerny budynek. Mimo to, przestąpiwszy próg owego domu, zwróciła się ku odzwiernej:

— Zechciej mnie pani objaśnić proszę — wyrzekła.

— W czym takim?

— Od jak dawna wzniesiono ten nowy dom?

— Od lat sześciu.

— Czy pani pochodzisz z Joigny?

— Mieszkałam tam przez lat dwanaście.

— Znałaś więc być może wdowę Fremy, która przyjmowała dzieci na wykarmienie?

— Wdowę Fremy? — powtórzyła kobieta — ach! przypominam sobie; na jej to gruncie ów dom zbudowano. Sięga to czasów ostatniej wojny.

— Miała ona syna, nieprawdaż?

— Tak, chłopca, wielkiego hultaja, on to właśnie sprzedał grunt, odziedziczony po matce.

— Pozostaje on jeszcze w Joigny?

— Na cmentarzu.

— Jakto, umarł? — zawołała z przerażeniem Joanna.

— Umarł i nikt go nie żałuje. Roztrwonił lekkomyślnie kilka tysięcy franków z trudem przez matkę zebranych, sprze-



dał grunt, domostwo i wreszcie bez grosza, ni odzienia, odtrącany przez wszystkich, jako pijak, włóczęga, utopił się w rzece. Czy pani jesteś jego krewną? — pytała, spostrzegłszy smutek, malujący się na twarzy przybyłej.

— Nie pani, lecz chciałam powziąć wiadomość co się stało z małą dziewczynką, powierzoną jego matce na wykarminienie, a której rodzice odebrać nie mogli, będąc zmuszonymi nagle opuścić Francję.

— Ha! otóż to dobrzy rodzice... — mruknęła odzwierna. — Jak dawno to było?

— Przed dwudziestu laty.

— Nie mieszkałam natenczas w Joigny — odpowiedziała. — Gdym poznała wdowę Fremy, nie przyjmowała już dzieci, widziałam przy niej tylko jej syna, tego ladaco.

— Nie wspominała ona pani kiedy, iż pozostawiono jej dziecię na wychowanie?

— Nie mówiła mi o tem, łatwo jednak będzie się pani dowiedzieć co się stało z tym malcem.

— W jaki sposób? — zawołała z radością Joanna.

— Wdowa Fremy nie odbierając zapłaty, a ztąd chcąc pozbyć się dziecka, rzecz prosta, powiadomiła władzę aby się zajęła jego wychowaniem... Zgłoś się pani do mera lub prefektury, a tam otrzymasz potrzebne objaśnienia.

— Do mera, do prefektury, do władzy! — pomyślała biedna matka z rozpaczą — przytrzymanoby mnie w jednej chwili! I tu więc zarówno jak w Chévry nic zrobić nie mogę bez udowodnienia kim jestem, jakim prawem upominam się o to dziecię!

Odzwierna wpatrywała się ciekawie w zadumaną Joannę.

— Sądzę, iż pani mnie zrozumiałaś? — wyrzekła.

— Zrozumiałam i postąpię według udzielonej mi rady.

Dziękuję pani za okazaną uprzejmość, wybaczkę zakłopotanie jakie ci sprawiłam — odrzekła przybyła.

— Z przyjemnością pośpieszyłam usłużyć pani. Mieszkanie mera znajduje się w wyższej części miasta, w pobliżu



prefektury — mówiła wskazując kobieta. — Potrzebujesz pani tylko most przebyć, a znajdziesz się przed nim.

Joanna odeszła; pojmujemy wszelako, iż nie udała się ani do mera ni prefektury, ale pytała sąsiadów mniemając, iż cośkolwiek bądź może dowiedzieć się zdoła. Wszędzie jednakże otrzymywała też same odpowiedzi. Nie wiadano o żadnym dziecku, nic sobie nie przypominano. Zniechęcona i rozpaczona mówiła sobie, iż wszystko już się dla niej skończyło.

Nie wiedząc gdzie szukać swej córki, czyliż ją mogła odnaleźć? Jerzy, ten był przynajmniej w Paryżu, tak sądziła, rozpocznie więc poszukiwania w tem wielkim mieście i gdyby Bóg raczył jej przyjść z pomocą, odnaleźć go może będzie mogła.

Wsiadłszy na pociąg wychodzący w nocy z Joigny, o świcie przybyła do Paryża, smutna, złamana niepowodzeniem, gotowa jednak rozpocząć swe dzieło mimo tysiąca nasuwających się jej przeszkód.

Podczas drogi ułożyła sobie plan postępowania.

— W Paryżu — mówiła sobie — nie mogę zamieszkać w umeblowanym pokoju, gdzieby żądano odemnie legitymacyj. Dwie moje podróże do Chévy i Joigny zmniejszyły nieco mój fundusz. Za pozostałą resztę pieniędzy, wynajmę stancijkę gdzie na poddaszu, kupię łóżko żelazne, krzesło i stół, podam nazwisko jakiegobądźkolwiek i pocznę szukać roboty. Roboty, lecz jakiej, szycia? Iglą kobiety tak mało zarabiają i praca ta zajmuje im dzień cały, a ja potrzebuję wychodzić za odszukaniem moich dzieci... Zdajmy się na wolę Stwórcy... On może jaką dobrą myśl mi zesła. Główną jest rzeczą urządzić się nateraz w jakibądź sposób, aby policya mnie nie schwytala.

Gdy wysiadła na stacyi, miasto okrywał jeszcze zmrok ranny. Nie mogąc o tak wczesnej godzinie chodzić za wyszukaniem mieszkania, Joanna udała się na ulicę św. Antoniego do mleczarni, której drzwi właśnie otwierano.

Gdy po spożytym tamże śniadaniu wychodziła, powietrze się ocieplilo, śnieg topniał na ulicach i Paryż począł przy-



bierać zwykłą ruchliwą swą powierzchowność. Słońce z poza chmur wyjrzało, jak gdyby wróżbę lepszej przyszłości niosąc jej sercu, czem orzeźwiona, nie tracąc czasu, udała się za odnalezieniem dla siebie schronienia.

## XXVIII.

W okręgu Bastylii zdawało się jej, iż nie wynajdzie takiego mieszkania, udała się więc ku Marais, lecz i tam nic nie znalazłszy, przebyła Pont-Neuf, wchodząc w ulicę Mazarini'ego, a następnie Sekwany.

Tu wywieszona na bramie karta zwróciła jej uwagę.

Napis brzmiał:

*Pokoik i gabinet zaraz do wynajęcia.*

— Tu nie będzie drogo zapewne — wyrzekła, spojrzawszy na dom ubogi, i wszedłszy do korytarza zbliżyła się do okienka odźwiernej.

— Pani masz pokój do wynajęcia — spytała.

— Tak, pokój i gabinet na szóstym piętrze.

— Jaka cena tego mieszkania?

— Rocznie sto czterdzieści franków.

— Można je zobaczyć?

— Owszem, lokal jest wolnym, zaprowadzę panią.

I wzięwszy klucze odźwierna udała się z Joanną na fa-  
cyatę.

— Podoba mi się to mieszkanie — wyrzekła wdowa. — Przybywszy ze wsi do Paryża by szukać tu pracy, nie radabym wydawać pieniędzy w zajeździe. Chciałabym je zająć, pójdę natychmiast za kupnem sprzętów.

— Dobrze, należy mi jednak panią uprzedzić, że u nas komorne kwartalnie płaci się z góry.

— Zaraz je zapłacę.

— Więc zgoda. Mam upoważnienie właściciela domu do przyjmowania zapłaty, na którą kwit pani wydaję.



Obie kobiety zeszły na dół. Po zapłaceniu trzydziestu pięciu franków, odźwierna pokwitowała Joannę z odbioru, otrzymawszy od niej sztukę pięciofrankową za swoją fatygę.

— Pośpiesz się pani z zakupnem sprzętów — mówiła — pomogę ci w ustawieniu takowych.

— Gdzie mogłabym znaleźć skład używanych mebli? — pytała wdowa.

— Bardzo blisko, na ulicy Jakóba, czwarty dom po lewej stronie. Powiedz pani, że przybywasz z rekomendacji odźwierniej Perrin, w domu nr. 24, a dobre ci meble wybiorą.

Udawszy się pod adres wskazany, za niską stosunkowo cenę, Joanna wybrała sprzęty, jakie nieodzownie potrzebnymi jej były, polecając przynieść sobie takowe w jak najkrótszym czasie. Następnie kupiła nieco bielizny, trochę ubrania i wróciła do wynajętej stancyjki oczekując na dostarczenie sprzętów.

Przed czwartą po południu, ubogie to umeblowanie nadesłanem jej zostało, ogień płonął w piecyku, oświetlając poddasze. Wdowa ukłękła do modlitwy, dziękując Bogu za widoczną nad sobą opiekę i prosząc, aby ją nadal nie opuszczała łaska Wszchemocnego. Uspokojona i rzeświejsza na duchu, chcąc wiedzieć ile funduszu jej jeszcze pozostało, wysypała z woreczka na stół pieniądze. Niestety, fundusz ów nader się szczupłym okazał.

— Aby nie umrzeć z głodu — wyrzekła — trzeba co rychlej jakąś pracę sobie odnaleźć. I wyszedłszy ażeby pożyć się czemśkolwiek, spostrzegła w ulicy sklep noszący na tablicy napis: *Gospoda piekarzów*.

Weszła tam bez wachania.

\*

\*

\*

Od dnia w którym Lucyan Labroue odebrał list od Jerzego, powiadającym go o skutku przedsięwziętych starań



a razem naznaczający mu dzień następnego miesiąca na spotkanie z Pawłem Harmant, młodzieniec odżył zupełnie. Pracując z zapałem, oczekiwał chwili, w której zaopatrzone rekomendacją młodego adwokata, spotka się z milionerem.

Przy powtórnem widzeniu się z Lucyanem, Jerzy opowiedział mu szczegóły swojej bytności u panny Harmant, oraz przyrzeczoną pomoc z jej strony. Syn więc Juliana Labroue nie wątpił o pomyślnym skutku tej sprawy! Posłuszny zleceniu swego towarzysza, nie mówił nikomu o powziętej nadziei z wyjątkiem Łucyi jedynie, nie wymieniając jej wszakże nazwiska właściciela zakładów, w których miał znaleźć zapewniające sobie dobrobyt zajęcie. Łucya nie badała go wcale w tym razie. Wystarczyło jej spełnienie danego przyrzeczenia przez Jerzego Darier, które miało przyspieszyć upragnioną chwilę zaślubin obojga zakochanych. Widząc narzeczonego swobodnym, wesołym, odzyskała wrodzoną swą żywość i chęć do pracy.

W obecnej chwili widzimy dziewczę wykończające pierwszą część roboty powierzonej sobie przez panią Augustę.

Suknię gotową prawie zupełnie upina ona kwiatami, aby osądzić, o ile harmonijnie ta całość przedstawiać się będzie; co ukończywszy rozpostarła kawał białego muslinu, opiąwszy nim suknię delikatnie, aby się nie pogniotła.

Była dziewiąta rano.

— Trzeba zjeść prędko śniadanie — wyrzekła — inaczej bowiem mogłabym zostać bez posiłku dzień cały. Przymierzanie potrwa długo zapewne, amerykanekę tę bowiem trudno zadowolnić, jak mówiła pani Augusta, obok czego będę musiała szukać gazy i atłasu, których mi zabrakło, i okazać całość mojej zwierzchnicze.

To mówiąc rozpalila maszynkę by odgrzać sobie na niej resztki wczorajszego obiadu.

— Ach! — zawołała nagle — otóż nie mam chleba, roznosicielka nie przyniosła mi go dziś, być może pozostawiła dla mnie u odzwiernej, zejść na dół potrzeba...



I nakrywszy stół serwetą, postawiła na nim karafkę z wodą, pół butelki wina i pudełko sardynek.

— Szkoda, że Lucyan wyszedł — dodała z uśmiechem — zaprosiłabym go na śniadanie. Następnie poprawiwszy ogień w maszynie, szybko jak gazela zbiegła z szóstego piętra do odźwiernej.

— Czy roznosicielka nie zostawiła u pani dla mnie chleba? — spytała.

— Nie panno Łucyo. Tak dla pani, jak dla mnie nie przyniosła dziś wcale. Nielad jak widzę panuje w piekarni. Nie podobna nadal liczyć nam na nich, zmieniają wciąż roznosicielki i ztąd nieporządek się wkłada.

— Ach! to nieznośne w rzeczy samej — zawołało dziewczę — nigdy nam na czas nie dostarczają, a mnie tak pilno, mam odnieść robotę, chciałabym jaknajprędzej spożyć śniadanie i biegnąć.

— Kupiłam sobie funt chleba naprzeciwko w piekarni — wyrzekła kobieta — mogę pani kawałek udzielić, jeżeli zechcesz?

— Przyjmę z wdzięcznością — Łucya odpowie.

Odźwierna otworzyła szafkę, a wydostawszy chleb odkroiła kawałek, podając go szwaczce.

Jednocześnie wysoka, szczupła i brzydka dziewczyna zastukała do drzwi stancyjki odźwiernej, trzymając w koszyku kilka bochenków chleba.

— Otóż roznosicielka! — zawołała Łucya — patrz pani, znów nowa...

I pośpieszyła otworzyć.

— Ależ to nie do wytrzymania! — mówiła wychodząc ku przybyłej odźwierna — skończy się na tem, że całkiem chleba przysyłać nam nie będziecie. Innej piekarni poszukać nam wypadnie!..

— Nie moja wina! — mruknęła z gniewem roznosicielka — zastępuję tę, którą wydalono wczoraj, nie znam jeszcze dobrze klienteli.



— Proszę o bochenek dwu funtowy — Łucya wyrze-  
cze — i jeśli pani nadal roznosić będziesz, to przychodź  
na górę do mego mieszkania. Placę natychmiast przy od-  
biorze.

— Nie będę roznosiła nadal — odpowiedziała kobieta —  
mam inne zajęcie. Właścicielka szuka nowej roznosicielki.

— Piękna nadzieja! — mruknie odzwierna — przez kil-  
ka dni zatem do południa na chleb czekać będziemy.

Łucya zapłaciwszy należność, wróciła spiesźnie do siebie,  
a w kwadrans spożywszy śniadanie, wzięła ostrożnie pakiet  
owinięty płótnem na zewnątrz, wsiadła w powóz jaki znalazła  
w pobliżu, rozkazując się wieść do pałacu przy ulicy Murillo,  
według udzielonego adresu.

Córka Pawła Harmant była od kilku dni mocniej słabą.  
Napady kaszlu, rozrywającego jej piersi, stawały się częstszymi  
i uporczywie się przedłużały. Cierpienie to drażniło orga-  
nizm dziewczęcia. Po gwałtownych atakach nerwowych, na-  
stępowało osłabienie. Głęboki smutek Maryę ogarniał naten-  
czas, gorzko płakała sama nie wiedząc czego. Wtedy to sta-  
wała się łagodną, tkliwą, uczuwającą litość dla nieszczę-  
śliwych.

— Jestem bogatą — mówiła — powinnam dobrze czy-  
nić w około siebie, tak... wiele dobrego czynić powinnam, to ul-  
gę przynieść mi może w cierpieniu!..

## XXIX.

Siedzącej w zadumie córce milionera oznajmiono, iż  
jakaś młoda dziewczyna, przysłana ze szwalni, chce się z nią  
widzieć.

Marya wydała polecenie wpuszczenia przybyłej.

— Cóż panno Łucyo — pytała wchodzącej żartobliwie—  
dokonałaś pani cudu, według słów pani Augusty?



— Staralam się — odpowiedziała szwaczka — wywiązać jak najlepiej z powierzonych sobie roboty, niewiem wszelako, czy pani będziesz zadowolona?

— Przynosisz mi suknię już wykończoną?

— O! nie, przygotowaną dopiero, radabym przymierzyć ją pani.

— Dobrze, ale czy oznaczyłaś, w jaki sposób spódnica i stanik mają być przyozdobione kwiatami?

— Oznaczyłam, natychmiast pani pokażę.

Tu szwaczka zdjąwszy pokrycie rozłożyła suknię na kanapie.

— Ślicznie, precudnie — wołała córka Pawła Harmant. Sposób jej przystrojenia jest nader oryginalnym.

— Ja to wymyśliłam — rzekła z naiwną dumą robotnica.

— Winszuję pani, szczerze winszuję. Masz gust wytworny.

Marya powoli odzyskiwała wesołość. Zniknęła bledność jej twarzy, mimo, że drobny, suchy kaszel napastował jej nie przestawał.

— Biedne dziecko — myślała Łucya — ona rzeczywiście jest chorą.

I ta uboga dziewczyna całym sercem żałowała milionerki.

— Zaczniemy przymierzać więc — poczęła Marya.

— Jestem na rozkazy pani.

— Czy mam przywołać pokojówkę?

— To nie potrzebne, ja ją chętnie zastąpię.

Rozpoczęło się przymierzanie, owa tak ważna czynność znana dobrze naszym czytelnikom.

Marya pociągnięta sympatycznym wyrazem twarzy robotnicy zawiązała z nią rozmowę.

— Jak dawno pani pracujesz w zakładzie pani Augusty? — pytała.

— Od piętnastu miesięcy...



— Zdaje się, że ona panią bardzo lubi?

— W rzeczy samej okazuje mi wiele życzliwości.

— Wspominała mi kiedyś, iż życzyła sobie, byś pani u niej zamieszkała.

— Tak jest, wolę jednak pracować u siebie.

— Mieszkaś zapewne przy rodzicach lub krewnych?

— Nie mam wcale rodziny — Łucya smutno odrzecz.

— Jesteś więc sierotą?..

— Nic nie wiem. W pierwszym roku mojego życia oddaną zostałam do przytułku dla niemowląt.

— Do przytułku dla porzuconych dzieci? — powtórzyła Marya.

— Tak pani.

— Zatem twój ojciec i matka opuścili cię?.. ach! to okropne...

— Smutne w rzeczy samej — odpowiedziała dziewczyna — czuję albowiem, iż kochałabym tkliwie mą matkę. Nigdy jednakże na myśl mi nie przyszło złorzeczyć jej za to. Przyszędłszy z wiekiem do zastanowienia, wytłomaczyłam sobie, iż ona nie była winną, że być może głód, nędza, zmusiły ją do tego postąpienia, nad którym zapewne wiele cierpiała.

— Masz słuszność — odparła córka Pawła Harmant — chociaż co do mnie, wołałabym umrzeć raczej z głodu, niżli rozłączyć się z dzieckiem. W tym razie matka twoja w części zasługuje, być może na uniewinnienie, lecz ojciec twój... ojciec?..

— Mój ojciec może umarł... matka wdową być mogła...

— To prawda.

— Zresztą — dodała Łucya — czyż mało znajduje się nieszczęśliwych, uwiedzionych dziewcząt, pozostawionych wraz z dzieckiem?..

— I w tem masz słuszność zupełną — szepnęła Marya w zadumie. — A czy nie powiedziano ci kiedy w przytułku, w jaki sposób zostałam tamże oddaną? Czyli nie pozosta-



wiono jakiego znaku, wskazówki, po których mogłabyś kiedyś odszukać swą matkę?

— Pytałam o to, przyszedłszy do dojrzałego wieku.

— I cóż ci odpowiadano?

— Że jednocześnie z oddaniem mnie tam, pozostawiono coś, co pozwoliłoby mej matce kiedyś mnie odnaleźć?

— Cóż to było takiego?

— Przepisy zakładu wzbraniają wyjawiania miejscowych tajemnic.

— Czyż podobna? ależ to bezrozumne postanowienie!

— I ja to uznaję zarówno, lecz z drugiej strony obawiają się może, ażeby opuszczone dzieci, wprowadzone na fałszywą drogę złe zrozumianemi wskazówkami, nie wnosiły zamieszania i niepokoju do rodzin powszechnie szanowanych. Zresztą dochodzenie ojcowstwa jest wzbronionem...

— Do czego więc służy ów znak, pozostawiony przy oddaniu dziecka?

— Pozwala on rodzicom upomnieć się kiedyś o opuszczone dziecię, jeżeli sumienie popchnie ich ku temu, lub zmiana położenia da im możność zajęcia się jego wychowaniem. Dzień i godzina, w których dziecię w przytułku umieszczonem zostało, zapisanemi są w księgach rejestrowych. Jednocześnie notują tam szczegółowo ubranie dziecka, znaki na jego bieliźnie, jeśli takowe istnieją, jakieś drobne wskazówki, umieszczone przy niem, któreby je w przyszłości poznać dozwoliły. Każde z dzieci oznaczone jest numerem. Ja miałam numer dziewiąty, do tego numeru dołączają imię dziecka, tworząc tym sposobem listę niejako stanu cywilnego opuszczonych dzieci, z której mogłyby korzystać one w dalszem swem życiu.

— Wszystko to dziwnym mnie smutkiem przejmuję — wyrzekła córka milionera — smutne to i straszne zarazem... Jak dawno oddaną zostałam do tego przytułku? — spytała po chwili.

— Przed dwudziestu laty. Tam zostałam wychowaną i nauczyłam się pracować. Gdym poczyniała rok szesnasty życia, umieszczono mnie w szwalni, u pewnej zacnej kobiety, któ-



ra, nie szcędząc mi rad, ani przestróg uczciwych, prawdziwą była mi matką. Zgon jej oblałam gorącemi łzami. Miałam natenczas lat dziewiętnaście. Mogłabym była znaleźć miejsce w przytułku jako robotnica, wolałam jednak sama u siebie pracować. Zebrawszy nieco zaoszczędzonych pieniędzy, kupiłam sobie sprzęty, wynajęłam pokoić i udałam się do znakomitszych magazynów, prosząc o robotę. Jedna z modniarek, u której przez rok pracowałam, wyjechała na obczyznę, natenczas pani Augusta przyjęła mnie i dotąd u niej pozostaję.

— Ileż lat masz, Łucyo, obecnie—pytała Marya—wszak pozwoisz mi się tem imieniem nazywać, nieprawdaż?

— Najchętniej — odpowiedziało dziewczę; — uważam to za dowód wysokiej życzliwości dla siebie ze strony pani i jestem ci wdzięczną.

— Powiedz mi zatem, ile masz lat obecnie?

— Zaczęłam rok dwudziesty drugi?

— Dlaczego, posiadając tyle gustu i zręczności, nie otworzyłaś na własną rękę magazynu?

— Ponieważ do tego potrzeba dwóch rzeczy, których nie posiadam.

— A mianowicie?

— Najprzód klienteli, a następnie kapitału na pierwsze urządzenie zakładu.

— Zdaje mi się, że posiadając podobnie korzystną zdolność, łatwoby ci było znaleźć męża, jeśli nie bogatego, to w każdym razie z pewną sumką pieniędzy, która posłużyłoby mogła na urządzenie szwalni, klientela zaś wkrótceby się potem znalazła.

Na wspomnienie męża Łucya się zarumieniła.

— Ej! ja zgaduję — zawołała Marya z uśmiechem, spostrzegłszy zakłopotanie dziewczyny — ty masz już narzeczonego..

— Tak... w rzeczy samej—odrzekła zapytana.

— I rychłóż nastąpią zaślubiny?

— Nic nie wiem. Ten, którego kocham, nie posiada ma-



jątku, oczekujemy więc, gdy przy staraniach zdoła pozyskać odpowiednie dla siebie miejsce. Po wyjściu za mąż szcieniem sukien zajmować się nie będę, żąda on bowiem, bym w zupełności poświęciła się domowemu gospodarstwu.

— Nieszusznem mi-się to wydaje—odrzekła Marya—lecz w każdym razie żona do woli męża stosować się powinna. W dniu twoich zaślubin, droga Łucyo—dodała—przyjemnie mi będzie przysłużyć ci się jakąś drobną sumką na pierwsze zagospodarowanie, pod warunkiem jednakże, iż twój mąż dla mnie wyjątkowo pracować ci pozwoli.

— Będę go o to prosiła — wyrzekło dziewczę z uśmiechem—i mam nadzieję, że nie odmówi, skoro opowiem mu o życzliwości, jakiej ze strony pani doznałam.

Przez cały czas tej rozmowy trwało przymierzanie; całość balowej sukni okazała się bez zarzutu. Łucya, złożywszy ją starannie, okryła muslinem, dopomagając następnie swej klientce przywdziać ciepły błękitny negliż flanelowy.

— Na kiedy pani będzie potrzebowała tej sukni? — spytała.

— Na przyszły czwartek. Jestem zaproszoną w tym dniu wraz z ojcem na tańczący wieczór do jego przyjaciół.

— Będzie wykończoną na czwartek nieodmiennie; chciałabym jednak prosić, byś mi pani pozwoliła ubrać cię w nią mnie samej. Gdyby się okazały potrzebnymi jakie drobne poprawki, uskutecznię je na poczekaniu.

— Dziękuję ci z całego serca, przyjemnie mi będzie mieć cię obok siebie w owej chwili. Mam zamówić u pani Augusty kilka dla siebie kostiumów, zobowiązę ją więc, ażeby zleciła tobie odrobienie takowych. Pragnę odtąd jedynie przez siebie być ubieraną.

— Szczęśliwą się uczuję, mogąc dla pani pracować — odpowiedziała Łucya.

---



## XXX.

— Gdzie mieszkasz, drogie dziecko? — pytała dalej milionerka.

— Przy skrócie ulicy Bourbon Nr. 9.

— Gdzież to jest ulica Bourbon?

— Na wyspie Świętego Ludwika.

— Dobrze, zapiszę sobie twój adres. Czy zauważyłaś— mówiła dalej Marya— iż to jest ten sam numer, pod którym zostałaś zapisaną w przytułku dla opuszczonych dzieci?

— Tak, jest to traf, wypadek...

— Bywasz niekiedy w przytułku dla odwiedzania znajomych?

— W pierwszym roku, po wyjściu, bywałam tam niekiedy, przepisy zobowiązywały mnie do tego, dziś, gdy jestem starszą, zaniechałam tych odwiedzin, nie mając zresztą czasu ku temu.

— Do widzenia zatem, Łucyo, we czwartek.

— Do widzenia, pani. Dzięki serdeczne składam za twoją dla mnie życzliwość— wyrzekło dziewczę, odchodząc.

Z ulicy Murillo Łucya kazała się zawieźć do pani Augusty, która ją pochwaliła za dokładne wykonanie roboty.

Po odejściu młodej szwaczki Maryę ogarnął smutek. Usiadłszy przed płonącym ogniskiem kominka, myślała o niej.

— Biedna sierota bez ojca i matki— szepnęła. Opuszczona przez tych, którzy ją kochać byli powinni i otoczyć tkliwą opieką! Smutneż to takie życie, zaprawdę! A jednak pomimo wszystko jest ona szczęśliwą! Nie cierpi tyle, ile ja cierpię... nie zna nudy, zniechęcenia... Żyje pełnem życiem, pracuje... wierzy w przyszłość i kocha! Kocha!...— powtórzyła po chwili milczenia. — Ach! słodką być musi ta miłość, gdy pozwala zapomnieć o smutkach i cierpieniach! Kocha i jest kochaną... a ja? ja będąc bogatą, czyż zaznam kiedy, co to jest miłość?...



Gwałtowny atak kaszlu purpurą okrył oblicze dziewczęcia. Przyłożyła chustkę do ust, a skoro ją odjęła, ukazały się plamy krwi. Marya pobladła.

— Krew! krew! — szepnęła — z kąd i dlaczego? W pierśsiach mnie pali... czuję, jak gdyby tam ktoś nasypał rozżarzonych węgli.

Dwie łzy spłynęły na jej policzki. Podniosła się, ażeby wziąć łyżkę lekarstwa, poczem wróciwszy, usiadła przed ogniskiem.

— Ach! jakżebym chciała kochać jak ona... — wyrzekła z westchnieniem, zatapiając się w dumaniu.

\* \* \*

Sklep korzenny, nad którym widniał napis: *Gospoda piekarzów*, a do którego weszła wdowa Fortier, aby się posilić czemśkolwiek, znanym był w tej okolicy miasta. Było to miejsce schadzek czeladzi piekarskiej, terminatorów, oraz roznosicielek chleba w tym cyrkule. Większość ich przychodziła tu na śniadania, obiady i wieczery. Zakład ten składał się z czterech pokoiów: sali, w której znajdował się wielki stół w kształcie biurka, gabinetu oświetlonego gazem, gdzie dwanaście osób mogło się pomieścić wokoło okrągłego stołu, wielkiej drugiej sali, wypełnionej małymi stolikami dla przybywających konsumentów, i wreszcie kuchni, w której właścicielka królowała, pośród błyszczących rondli miedzianych, w otoczeniu trzech dziewcząt służących.

Każdy z kwartałów Paryża zawiera w sobie jeden lub dwa takie domy, przeznaczone na miejsce zebrań dla pracujących w piekarskim rzemiośle. Rozmowy bywają tu nader ożywione, wszyscy się znają nawzajem, każdy opowiada sąsiadowi osobiste swe sprawy.

Do tej to właśnie wielkiej sali, na wpół wypełnionej przybyłymi, weszła Joanna Fortier. Spostrzegłszy obiadujących,



słyszając ich głośnie opowiadania, przeplatane wybuchami wesołego śmiechu, ku drzwiom się cofnęła.

Przechodząca natenczas służąca zbliżyła się ku niej.

— Możesz pani wejść — wyrzekła — znajdzie się miejsce dla ciebie.

— O! jest, jest miejsce — zawołał dwudziestoletni chłopiec piekarski, spostrzegłszy wachanie przybyłej — tu proszę, tu przy mnie. Jesteśmy wszyscy piekarze — mówił dalej — a choćbyś pani do nas nie należała, to nic nie szkodzi, przyjmujemy cię gościnnie.

Joanna, uśmiechnąwszy się, siadła obok chłopca, który posunął się, ażeby więcej zrobić jej miejsca.

— Co pani mam podać? — pytała służąca, wymieniając potrawy.

Joanna wybrała sobie kilka dań, prosząc o przyniesienie takowych.

— Słuchaj no, Tourangeau — zawołał nagle chłopiec, przy którym miejsce zajęła, spoglądając w stronę siedzącego nieco dalej swego towarzysza — znalazłem środek, który uleczy moją majstrowę z nerwowych ataków, a majstra powstrzyma, iżby nie leciał do niej z obcęgami...

— Jakiż to środek? odrzekł zapytany.

— Potrzeba im dobrej roznosicielki chleba.

— Ba! — zawołał, śmiejąc się, Tourangeau — znajdź taką! Jest to biały kruk między dzisiejszymi roznosicielkami, zwłaszcza w zimowej porze, wśród mrozu i śniegu. Kładą się do łóżek jedna po drugiej i nie chcą pracować. W ciągu dwóch tygodni u mojej majstrowej pięć ich się zmieniło.

— Ha! ha! — to u nas jeszcze lepiej — zaśmiał się pierwszy; — przez dwa tygodnie sześć ich przyjęto i odprawiono! Kupujący uskarżają się i grożą, iż chleb brać będą gdzieindziej, co we wściekłość wprawia majstra i majstrową. Jutro od rana własna ich służąca chleb roznosić będzie, znasz dobrze jej ślamazarność, nie skończy czynności tej do wieczora. Gdyby się jaka porządna kobieta trafiła obecnie, otrzymałaby trzy



franki dziennej zapłaty i dwa funty chleba — mówił dalej. — Cóż, Tourangeau—dodał—nie znasz ty takiej? mógłbyś nam ją przysłać...

— Nie, nie znam—odparł zapytany.

Joanna słuchała całej tej rozmowy z łatwą do zrozumienia uwagą. Po spożyciu obiadu czekała. Stoły z wolna się opróżniały. Chłopiec, siedzący obok niej, wziął dziennik i czytać go zaczął. Po upływie kwadransa wypił resztę czarnej kawy ze stojącej przed nim filiżanki, schował swój dziennik do kieszeni i podniósł się, by odejść.

Joanna powstawszy, zbliżyła się ku niemu.

— Wybacz pan, że go zatrzymuję—wyrzekła,

— Czem mogę służyć, matko?—zapytał.

— Mówiłeś pan przed chwilą, że twój pryncypał potrzebuje roznosicielki chleba...

— Tak jest, miałabyś mieć kogoś do tego? A może sama chcesz przyjąć ten obowiązek, hę?

— Chętniebym go przyjęła...

— Pełniłaś kiedy tę czynność?

— Dotąd nigdy jeszcze. Zdaje mi się jednak, że to nie jest zbyt trudnem. Potrzebując zapracować na swe utrzymanie, pilniebym się temu oddała i wkrótce obeznała z klientelą. Jestem pewną, że ci, którzy mnie przyjmą, będą ze mnie zadowoleni.

— Widzę, żeś roztropną i inteligentną, uprzedzam cię jednak, że mimo, iż ta czynność łatwą być się zdaje, jest ona utrudzającą.

— Mam siłę, posiadam chęć do pracy i odwagę!..

— Będziesz musiała, matko, przez pięć godzin dziennie ciężko pracować z koszem na plecach, lub pechać przed sobą zamknięty wózek w razie deszczu lub śniegu. A ileż piętér przejść będziesz musiała dziennie! To gorzej niż wdrapać się dwańście razy na szczyt kolumny Bastylii! — zaśmiał się wesoło.



— Powtarzam, jestem silną, potrzebuję na życie zarobić— odrzekła wdowa.

— Znasz dobrze Paryż?

— Nie wiele; wasi klienci jednakże zamieszkują zapewne w tym samym cyrkule?

— Mamy ich w całym mieście.

— Gdzie mieszka pryncypał?

— Przy ulicy Delfinatu.

— Znam tę ulicę.

— Mamy kupujących wzdłuż i wszerz miasta, aż ku ulicy de Marais—ciągnął dalej chłopiec.

— W jednym dniu obeznam się z tem wszystkiem, nóg swoich oszczędzać nie będę. Sądziś pan, iż pryncypał mnie przyjmie, skoro mu się przedstawię?—pytała.

— Rzecz pewna. Od trzech dni poszukuje pilnie kobiety do roznoszenia chleba. Powiem majstrowi, że pani przydziesz jutro zrana porozumieć się z gospodynią, gdyż pani Lebreť wyłączenie się tem zajmuje.

— Proszę, uczyn mi pan tę przysługę, Bóg cię za to wynagrodzi!

Brzmienie głosu mówiącej wzruszyło serce piekarskiego terminatora.

— Upewniam panią, że zrobię, o co prosisz, wyglądasz bowiem na dzielną i uczciwą kobietę. Jutro zrana przychodź do sklepu, objaśniwszy, iż przybywasz z rekomendacji *lugduńczyka*, pod tem to bowiem nazwiskiem wszyscy mnie znają; przyjdź, a zastaniesz tam gospodynię.

— O której godzinie mam przyjść?

— Pomiędzy siódmą a ósmą zrana.

— Na ulicę Delfinatu?

— Tak, numer 15-ty, piekarnia Lebreťa, wszyscy ją znają, tam ja pracuję. Zatem do widzenia, mateczko—kończył wesoło — bądź spokojną, zaręczam ci, iż otrzymasz to miejsce. Lecz jeszcze słowo—dodał, wracając się od drzwi — trzeba ci gdzie obeznać się z różnemi gatunkami bułek i chleba, oraz



pamiętać ich nazwy, ażebyś nie myliła się przy dostarczaniu takowych.

— Dużo jest tych gatunków?

— Niezbyt wiele. Kulki okrągłe, rozłupane, placuszki, rogale, grajczarki wiedeńskie, angielskie świąteczne fujarki, chleb bielszy, śniadszy, plecionki, strucle, benedyktyнки; zapiszę ci to wszystko dla pamięci. Ale... jakże się matko nazywasz?

— Eliza Perrin—odpowiedziała Joanna.

— Dobrze, to nam wystarcza...

Tu lugduńczyk wyszedł z restauracyi, podążając w stronę piekarni.

### XXXI.

Joanna, zapłaciwszy za obiad, wróciła do swego nowego mieszkania.

— Roznosicielką chleba...—powtarzała, idąc na najwyższe piętro.—Pięć godzin pracy codziennie... Zarobię trzy franki i bochenek chleba. Przez resztę godzin jednak wolną pozostanę i będę mogła użyć tego czasu na odszukanie mojego syna. O! jak mi ta zwłoka do jutra długą się być wydaje!

Wczesnym wieczorem udała się na spoczynek, a mimo doznanych wzruszeń, sen nią wkrótce owładnął. Wstawszy nazajutrz równo ze świtem, uczuła się znacznie pokrzepioną na siłach. Punktualnie o siódmej poszła do piekarni na ulicę Delfinatu. Zastała tam gospodynię, zajętą gatunkowaniem bułek i chleba. Lugduńczyk nie zapomniał danej obietnicy. Skoro tylko wdowa ukazała się w progu, pani Lebret, oczekująca na roznosicielkę z najwyższą niecierpliwością, powitała ją uprzejmym uśmiechem.

— Pani to jesteś zapewne, o której mówił nam wczoraj nasz terminator?—spytała.

— Tak, ja to właśnie.



— Cheesz pani objąć miejsce roznosicielki?  
— Życzyłabym sobie...  
— Czyż pani dotąd nie pełniła tego obowiązku?  
— Nigdy jeszcze. Mam jednak nadzieję, że dobra wola zastąpi wprawę; będę się starała usilnie, ażeby panią zadowolnić.

— Myślę, iż zobopólnie będziemy z siebie zadowolone.  
— Przyjmujesz mnie więc pani?—pytała Joanna.  
— Przyjmuję... choćby czasowo, na próbę. Gdzie pani mieszkasz?

— Ulica Sekwany, numer 24. Przybyłam ze wsi, gdzie od lat trzech zamieszkiwałam.

— Jesteś pani zameżną?

— Jestem wdową.

— To objaśnienie jest dostatecznem. Powierzchność pani starczy mi za wszelkie poświadczenia. Nazwisko pani?

— Eliza Perrin.

— Zatem, Elizo, od jutra zaczniesz pełnić swój obowiązek. Dziś moja służąca oprowadzi cię po mieszkaniach klientów, według udzielonych adresów, ażebyś wiedziała, którzy biorą na kredyt, płacąc miesięcznie, a którzy natychmiast przy odbiorze chleba należność uiszczają. Przy dobrej chęci i bystrości umysłu, jakie widzę, że posiadasz, wkrótce obeznasz się z tą całą manipulacją.

— O której godzinie mam do sklepu przychodzić?

— O szóstej rano.

— Będę przybywała raczej wcześniej, niż później.

— Mimo, że niektórzy z naszych konsumentów mieszkają daleko, będziesz musiała przychodzić tu jeszcze o 9-ej godzinie dla zdania mi rachunku. Następnie po raz drugi musisz przyjść o piątej wieczorem, ponieważ mamy w tym obrębie miasta domy i restauracye, gdzie wcześniej wydają obiady. Ta robota jednak nie potrwa długo, zajmie ci ona najwyżej około dwóch godzin.

— Dobrze, pani.

*Dobrze pani*



— Pobierać za to będziesz trzy franki dziennie i dwa funty chleba; to cena przez nas dla roznosicielek ustanowiona.

— Zgadzam się na nią.

— Przyjdź zatem dzisiaj w południe, moja służąca zaprowadzi cię do klientów, którzy kupują chleb rano i do tych, którzy potrzebują go wieczorem.

— Przyjdę w południe nieodmiennie.

— Oto — wyrzekła pani Lebret, dobywając z szufladki sztuke dziesięciofrankową — przyjmij odemnie na szczęśliwy początek.

Joanna, zarumieniwszy się, podziękowała i odeszła uradowana.

W południe przybyła do piekarni, gdzie miejscowa służąca już na nią oczekiwała. Poszły razem i wdowa Fortier notowała sobie w pamięci wszystkich klientów, odbierających chleb rano. Następnie poszła powtórnie wieczorem z tą samą suchą i gniewliwą dziewczyną, którą widzieliśmy przybywającą do odzwiernej domu, gdzie Łucya zamieszkiwała, poczem, odebrawszy od pani Lebret polecenia na dzień następny, wróciła do siebie. Joanna nie mogła w domu obiadować; całodzienna praca, oraz zamierzone poszukiwania, nie pozwoliły jej kuchnią się zajmować. Widząc, iż w Gospodzie piekarzów potrawy nie były nazbyt drogiemi, tam stołować się postanowiła. Spotkawszy lugduńczyka, dziękowała mu gorąco za udzieloną sobie pomoc w tej sprawie.

— Nie uczyniłem nic tak wielkiego — mówił chłopiec — cieszy mnie, że ci mógł być użytecznym, matko Elizo.

I odtąd nazwa matki Elizy została nadaną Joannie w piekarni, gdzie uważano ją jako jedną ze swoich.

Nazajutrz rano, o oznaczonej godzinie, wdowa była na stanowisku. Czas był pogodny, lecz zimny. Nowa roznosicielka wolała wziąć pudło z chlebem na plecy, niż pchać przed sobą wózek, i przyodziana długim fartuchem z błękitnego płótna, z nożem wiszącym u pasa, rozpoczęła obchód swych konsumentów. W książce adresowej wypisała sobie drogo-



wskaz, aby jaknajmniej tracić czasu na poszukiwania. Ulica Bourbon była najbardziej oddaloną, zostawiła ją więc sobie na ostatek. Przybyła tam o w pół do dziewiątej.

— Otóż znów nowa roznosicielka!—zawołała, ujrawszy ją odzwierna.

— Tak jest—odrzekła z uśmiechem Joanna; — miej pani jednak nadzieję, że ta długo pozostanie...

— Będziemy zadowoleni, jeżeli codzień tak punktualnie, jak dzisiaj chleb dostarczycie.

— Będę się starała; a teraz proszę wskazać mi piętra, na które mieszkańcom mam zanosić pieczywo.

Po otrzymanem objaśnieniu zaczęła obchodzić klientów. Przybywszy na szóste piętro, ujrzała dwoje drzwi naprzeciw siebie, a nie widząc napisu, przystanęła rozmyślając, w które zapukać, gdy nagle Łucya ukazała się w progu.

— Ach! zapewne to chleb przynosisz mi pani?—spytała.

— Tak jest — odrzekła Joanna, olśniona pięknością dziewczęcia.—Bochenek dwufuntowy, nieprawdaż?

— Właśnie dwufuntowy, proszę, wejdź pani, zaraz zapłacę.

Wdowa weszła do stancyjki, w której porządek i czystość zwróciły jej uwagę. Przystanąwszy, wsparła się o poręcz krzesła, ciężko oddychając po przebyciu tylu pięter z ciężarem na plecach.

— Utrudziłaś się pani — wyrzekła Łucya, dając jej pieniądze.

— Tak, nieco. Długą przestrzeń przebyłam; jest to czynność, którą wykonywam raz pierwszy.

— Proszę, chciej pani usiąść na chwilę.

— Dziękuję, śpieszyć mi trzeba—odpowiedziała;—muszę zdać w sklepie rachunek, poczem powrócę do siebie.

Mówiąc to, Joanna jednak nie odchodziła; stała w miejscu, jak gdyby dziwną przykuta siłą, nie mogąc wzroku oderwać od uroczej postaci dziewczęcia.



— Nie przyzwyczaiłaś się pani jeszcze do rzemiosła roznosicielki—mówiła Łucya dalej.

— Tak, lecz wkrótce nawyknę do tego, mam nadzieję, iż nie zbraknie mi siły. Do widzenia!

— Do widzenia!

Wdowa, postąpiwszy parę kroków, zatrzymała się przy drzwiach, czuła, iż nogi jej jak gdyby wrosły w to miejsce... spojrziała wokoło po stancyje. Dostrzegła maszynę do szycia i rozrzucone kawałki jedwabnych materyi.

— Pani jesteś szwaczką?—spytała.

— Tak, igłą na życie zarabiam.

— Co do mnie, nie potrafiłabym szyć sukien z tak drogich jedwabów, jakie tu widzę. Pracujesz pani zapewne dla osób bogatych?

— W samej rzeczy—odpowiedziała Łucya—co nie przeszkadza mi i dla ubogich zarówno pracować po niższej cenie.

— Ach! pani jesteś dobrą, jak widzę.<sup>3</sup>

— Rzecz najzwyczajniejsza... sędzę, iż każdy by to uczynił.

— Zatem pani codziennie chleb mi przynosić będziesz—spytało dziewczę, zmieniając rozmowę.

— Dopóki będę roznosicielką u pani Lebret, a mam nadzieję, że to potrwa dłużej.

— Jeżeli chodzenie po wschodach utrudza panią—mówiła szwaczka—zechciej zostawiać chleb u odźwiernej, która pani za niego zapłaci. Przechodząc, wezmę go sobie. Potrzebujesz pani powiedzieć tylko, że to chleb dla panny Łucyi.

Na wymówione to imię Joanna pobladła, serce gwałtownie bić jej zaczęło.

— Ach!—szepnęła—pani nazywasz się Łucya...

— Tak.

— Piękne imię... imię, które lubię nad wyraz!

Jednocześnie Lucyan Labroue, posłyszawszy rozmowę w pokoju Łucyi, wyjrzał i wszedł. Spostrzegłszy go, Joanna się cofnęła.



— Do widzenia jutro!—wyrzekła — obrzucając dziewczę pełnem życzliwości spojrzeniem.

## XXXII.

Przez całą drogę, wracając do piekarni na ulicę Delfina-tu, roznosicielka chleba myślała o pięknem dziewczęciu.

— Łucya!—powtarzała z cicha — ona nazywa się Łucya, jak moja córka! Ach! ileż wspomnień bolesnych obudza we mnie to imię! Widok tej młodej szwaczki dziwne sprawia na mnie wrażenie... Dźwięk jej głosu, spojrzenie, przyspieszają bicie mojego serca... Córka moja byłaby w jej wieku obecnie, i równie piękną jak ona... Czyż ja ją kiedy zobaczę? Co się z nią stało? Gdybym choć wiedzieć mogła, czy żyje? Jakież straszne męki ja znoszę, nie mogąc bez narażenia się zwrócić ku tym, którzyby mnie objaśnić zdołali w tym względzie. Badałoby mnie, dlaczego pytam o to, w jakim celu? Przytrzymałoby mnie niechybnie, a wówczas na zawsze, bez odwołania! Nie, nie!... na siebie samą tylko i traf szczęśliwy liczyć mi należy. Będę odwiedzała wszelako to młode dziewczę, codziennie chleb jej przynosząc; sprawi mi to ulgę; ach! ona mi tak przypomina naszą córkę!...

Tak rozmyślając, wdowa Fortier przybyła do piekarni, gdzie właścicielka nie szczędziła jej pochwał za okazaną punktualność i gorliwość, ciesząc się, iż odnalazła nareszcie kobietę, godną zaufania. Nazajutrz, jak i dni następnych, Joanna, zamiast zostawiać chleb u odzwiernej przy ulicy de Bourbon, wchodziła na szóste piętro, aby go osobiście Łucyi doręczyć.

Dziewczę czuło się być coraz więcej pociąganiem dziwną, niewytłumaczoną sympatją ku tej kobiecie, wykonywującej z taką odwagą ciężką swą pracę.

Zwykle na tym domu kończyła roznosicielka swój obchód, starając się choć przez kilka minut pozostać w pokoju szwaczki.



Widząc Łucyę siedzącą przy pracy, pochłaniała ją oczyma, odchodząc z sercem, pełnym radości. Biedna kobieta zadawała się tem niemem uwielbieniem, nie ośmieliwszy się pytać dziewczyny o jej przeszłość. Na cóż bo wreszcie przydać jej się to mogło, w jakim celu by ją zapytywała? Szwaczka nosiła wprawdzie imię jej córki, lecz ileż młodych dziewcząt tak się nazywa?... Czynić przypuszczenia, iż Łucya była jej córką, równałoby się szaleństwu. Często w czasie swego przybycia Joanna widywała Lucyaną u jego narzeczonej; ani pomyślała jednakże, że ów młody, nieznany jej człowiek był synem Juliana Labroue, o którego zamordowanie niewinnie oskarżona, tyle wycierpiała!

✱

✱

✱

Zbliżał się oznaczony dzień powrotu mniemanego Pawła Harmant, którego Lucyan oczekiwał z ławą do pojęcia niecierpliwością, czując, iż chwila ta rozstrzygnie o jego przyszłości. Przybycia milionera oczekiwano w drugim dniu noworozpoczętego miesiąca.

Przypomnijmy sobie, iż Marya przy widzeniu się z Jerzym Darier powiedziała:

— Niech pański protegowany przyjdzie przedstawić się memu ojcu *trzeciego*.

W dniu pierwszym Lucyan otrzymał list od swego przyjaciela, w którym młody adwokat zapraszał go nazajutrz do siebie na śniadanie. Labroue przybył doń o oznaczonej godzinie.

— Wczoraj odebrałem list od panny Harmant—rzekł Jerzy, witając wchodzącego.

— W którym najmnia, być może, iż nic zdziałać nie zdoła w tej sprawie?—przerwał Lucyan z niepokojem.

— Przeciwnie, donosi mi, iż mnóstwo silnie popieranym żądań względem otrzymania miejsca, o jakie ty się starasz, napływa ze wszech stron; córka pana Harmant przyrzeka mi je-



dnak gorąco wstawić się za tobą, obok czego żąda, bym napisał od siebie list protekcyjny; pójdiesz więc w dniu jutrzejszym około dziesiątej rano na ulicę Murillo i zażadasz osobistego widzenia się z panną Maryą, która wydała już rozkazy, aby cię wpuszczono, poczem sama zaprowadzi cię do swego ojca.

— Dziękuję ci z całego serca, mój Jerzy — rzekł Labroue — ty jesteś opiekuńczym mym duchem.

— Przygotowałem już list do panny Harmant — rzekł Darier — oto jest.

— Niezapieczętowany?

— Umyślnie. Chcę, ażebyś go przeczytał i przekonał się o prawdzie słów moich.

— Ależ ja ci wierzę w zupełności.

— Przeczytaj, proszę!

Lucyan, otworzywszy list, czytał co następuje.

Kochany panie Harmant!

„Niejednokrotnie wspominałeś mi pan, iż życzyłbyś sobie znaleźć sposobność do wyświadczenia mi jakiej przysługi. Sposobność ta nadarza się obecnie, wskutek czego zwracam się do ciebie z mą prośbą. List ten zostanie ci wręczonym przez jednego z moich przyjaciół z kolegium, byłego ucznia szkoły sztuk i rzemiosł, znakomitego mechanika i rysownika zarazem. Gdy jednak zdolność sama przez się nie popłaca wiele, przyjaciel mój, skutkiem przebytych wielkich nieszczęść rodzinnych, znajduje się obecnie bez miejsca, w położeniu, z którego przez wzgląd na jego zdolność wyswobodzić go nam należy. Upraszam przeto, chciej pan powierzyć memu szkolnemu koledze, Lucyanowi Labroue, obowiązek dyrektora robót w swojej fabryce, a upewniam, iż będziesz z niego zadowolonym. Mając nadzieję, iż nie odmówisz mej prośbie, z wyrazem wdzięczności łączę zapewnienie mego

szacunku i poważania.

Jerzy Darier.“



Po przeczytaniu tego listu Lucyan uściśnął rękę przyjaciela.

— Dziękuję, stokroć dziękuję—rzekł wzruszonym głosem.

— Podziękujesz mi, gdy rzecz dokonana zostanie—odpowiedział młody adwokat. — Włóż teraz list w kopertę, następnie schowaj go do pugilaresu i jutro o dziesiątej zrana zadzwoń do pałacu przy ulicy Murillo.

Nazajutrz Labroue ubrał się nadzwyczaj starannie, chcąc jaknajkorzystniej przedstawić się córce milionera. Nie czynił tego skutkiem lekkomyślnej chęci podobania się jej, lecz dla zyskania względów dziewczęcia, które mu tak potrzebnymi były.

Przed wyjściem wstąpił na chwilę do Lucyi. Dziewczę siedziało pogrążone w smutnej zadumie.

— Odchodzisz?—spytała.

— Tak, ukochana...

— Gorące moje życzenia towarzyszyć ci będą.

— Wiem o tem. Lecz powiedz mi, dlaczego tak smutną cię widzę?

— Miałam przerażający sen tej nocy.

— Sen?—powtórzył z uśmiechem młodzieniec.

— Tak... dręczą mnie żalobne jakieś przeczucia, jestem prawie pewną, iż to się nie uda...

— Czemu się zmieniasz w złowrogie ptasze, me dziecko?—mówił Labroue — i to wówczas, gdy idę pełen nadziei... idę, ażeby otrzymać sposobność do pracy, która ma zapewnić wspólne nasze szczęście? Powodując się snami, wątpisz o skutku, któremu tryje znaczenia nadać powinnaś! To źle... źle, ukochana!

— Nie moja wina—odparło dziewczę, usiłując się uśmiechnąć — silniejsze to od mojej woli. Chciałam wszystko ukryć przed tobą, niepodobna mi jednak. Wyczekiwałam z upragnieniem tej chwili, w której miałeś zostać przedstawionym właścicielowi fabryki, a skoro nadszedł ów moment, drzę cała...



75  
lękam się czegoś! Zdaje mi się, iż z tego wszystkiego wynika dla nas obojga jakieś straszne nieszczęście.

— Skutkiem snu twego, nieprawdaż?

— Tak.

— Wszak nie masz innych powodów obawy?

— Nie, nie mam.

— Uspokój się więc, proszę, twój sen zwodzi cię w tym razie. Jakim sposobem mogłoby wynikać coś złego z mojej wizyty u przemysłowca, milionera, mającego otworzyć we Francji wielkie warsztaty, które go zubożyły w Ameryce i nazwisko jego okryły sławą w całym świecie...

— Jak on się nazywa?—spytała.

— Jerzy prosił mnie o zachowanie tajemnicy—rzekł Lucyan—przed tobą jednak mieć jej nie chcę. Nazywa się Paweł Harmant...

Lucya spojrzała na mówiącego ze zdumieniem, zasepiona jej twarz nagle się rozjaśniła.

— Co? Paweł Harmant, mieszkający w pałacu przy ulicy Murillo?

— Tak, lecz z kąd wiesz te wszystkie szczegóły?

— Znam jego córkę, pannę Maryę Harmant; dla niej to wykończyłam ostatnio tę suknię balową, która ci się tak podobiała.

I dziewczę ze smutku przeszło nagle do radości prawie.

— O! teraz nie obawiam się już!—wołała — mój sen bredził, widzę to jasno. Skoro poznasz pannę Maryę, przekonasz się, jak jest dobrą, miłosierną i tkliwą. Posiada wszelkie najwyższe przymioty charakteru, ojciec takiej córki musi być również zacnym człowiekiem. Nie... nie... nie obawiam się już niczego—powtarzała; — idź, idź i nie myśl wcale o mych przeżuciach dziecinnych.

Lucyan, ucałowawszy narzeczoną, udał się w arystokratyczną stronę miasta, przez park Monceau. Przybywszy na ulicę Murillo, zadrżał pomimowolnie, przykładając rękę do



dzwonka, umieszczonego przy kratkach żelaznych, otaczających pałac.

Na dźwięk ten otworzyły się drzwi, umieszczone w pobliżu okratowania i Lucyan wszedł na dziedziniec.

XXXIII.

— Co pan żądasz?—zapytał go odźwierny.

— Chcę widzieć się z panną Harmant?—odrzekł Labroue.

— Pani nie przyjmuje nikogo.

Odpowiedź ta zmięszczała nieco Lucyana.

— Przybywam od pana Darier, adwokata pana Harmanta—dodał, przypomniawszy sobie polecenie Jerzego.

Na słowa te dumny służalec przybrał w oka mgnieniu uśmiechnięty wyraz twarzy.

— A! to rzecz inna, panie — odpowiedział; — wiem, pani uprzedziła mnie o tem; racz pan przejść dziedziniec i wejść na główne schody pałacu, ja zaraz powiadomię pana Teodora.

I podczas gdy Lucyan zwracał się ku marmurowym schodom, odźwierny zadzwonił. Mężczyzna nader starannie ubrany, w białym krawacie, ukazał się w przysionku. Był to ów pan Teodor, kamerdyner milionera. Stał w milczeniu przed Lucyanem.

— Chcę widzieć się z panną Harmant w interesie pana Jerzego Darier—odrzekł Labroue na nieme jego zapytanie.

— Racz pan udać się za mną, pani jest w salonie.

I poprzedzając przybyłego, kamerdyner prowadził go przez kilka pokojów, bogato umeblowanych, aż do wspomnianego salonu.

— Pani—rzekł, unosząc nieco aksamitną portierę—osoba przysłana przez pana Darier, przybyła.

— Proś!—odpowiedziała Marya.

Kamerdyner usunął się, aby zostawić wolne przejście. Córnka Pawła Harmant siedziała w salonie, w gustowny negliz



przybrana. Po nocy spokojniej niż zwykle spędzonej, mniej chorobliwie wyglądała; była piękną, powabną.

Skoro wszedł Lucyan, ukłon jej składając, postąpiła na przeciw niego; dość było jednego spojrzenia dziewczyny, by spostrzedz jego zręczne i eleganckie obejście, twarz sympatyczną i inteligentną. Podobał się jej widocznie.

— Zostałeś mi pan poleconym gorąco przez pana Jerzego Darier—mówiła z uśmiechem.

— Tak, pani... Jerzy jest moim najlepszym przyjacielem, towarzyszem lat młodocianych—rzekł Lucyan.

— Oczekiwałam na pańskie przybycie.

— Głęboko czuję się wzruszonym zaszczytem, jaki mi pani czynisz, przyjmując mnie u siebie—mówił Labroue;—Jerzy mnie powiadomił, iż pani nie odmawiasz łaskawego wstawiennictwa ze swej strony do pana Harmant, do którego list właśnie przynoszę od mego przyjaciela.

Lucyan mówił to poważnie; sposób jego wyrażania się nie zawierał w sobie nic upokarzającego, nic poniżającego; prosił o wyświadczenie przysługi jak człowiek, umiejący cenić swą godność.

Marya pomimowolnie przymknęła powieki pod pieśczołliwym brzmieniem głosu mówiącego.

— Racz pan spocząć—wyrzekła, wskazując krzesło—porozmawiamy chwilkę.

Lucyan zajął miejsce.

Pan Darier mówił mi—zaczęła panna Harmant—iż pan posiadasz wiele talentu i wiele odwagi, że miłujesz pracę, a dotąd z braku stosunków jedynie nie zdołałeś rozwinąć swoich zdolności, oraz że pragniesz znaleźć pomieszczenie w wielkiej fabryce, którą mój ojciec zamierza otworzyć?

— Tak, pani... miejsce to zapewniłoby mi przyszłość...

— Powiadomiłam pana Darier—mówiła Marya dalej—iż mimo, że starających się o posadę dyrektora jest nader wielu, będę czyniła wszystko, ażebyś pan otrzymał pierwszeństwo. Do tego jednak potrzeba, ażebyś się widział z mym ojcem. Do-



— tąd nie mieszałam się w interesa fabryki i nie sądziłam, iż kiedyś potrzeba mi będzie mieć jakąś łączność z przemysłem; dla pana jednak, który jesteś przyjacielem pana Darier i zasługujesz na poparcie, użyję całego mego wpływu, jeśli takowy istnieje—dodała żartobliwie—by skłonić ojca do udzielenia ci tego miejsca.

— Dziękuję z głębi serca...—odparł Lucyan wzruszony.

— Były chwile — dodał — gdy opanowywało mnie niezachęcenie; sądziłem, iż zły los do końca życia przesładować mnie nie przestanie. Dzięki pani, odzyskuję nadzieję!...

Marya słuchała z rozkoszą słów młodego człowieka; wzrok jej spoczywał z przyjemnością na pogodnym i szczerem obliczu syna Juliana Labroue.

— Będę czyniła wszystko, co odemnie zależy—powtórzyła;—pragnęłam, abyś pan wyszedł ztąd upewnionym, na nie-szczęście jednak... jest to niepodobnem...

— Niepodobnem!—powtórzył zaniepokojony.

— Niepodobnem... ponieważ mój ojciec dotąd nie powrócił. Wczoraj odebrałam od niego telegram, w którym oznajmia, iż musiał nieco dłużej zatrzymać się w Belgii i że przybędzie dopiero dziś wieczorem.

Lucyan odetchnął.

— Drobnie to opóźnienie—rzekł—nie oznajmia nic złego; dzień dzisiejszy zaliczam do szczęśliwych, gdyż pozwolił on poznać mi panią i wynurzyć się przed nią.

— Dobrze pan poprowadziłeś swą sprawę — odparła Marya, rumieniąc się zlekka. Wobec mnie wygrałeś ją zupełnie, liczę więc, że pan Darier wraz ze mną wygrać ją również u ojca potrafię; lecz będziesz pan musiał przyjść do nas jutro powtórnie—dodała.

— O którym czasie?

— Między dziewiątą a dziesiątą zrana, ponieważ mój ojciec będzie się śpieszył z wyjazdem do Courbevoie dla obejrzenia robót przy budowaniu fabryki. Chciałabym, abyś pan naj-



pierwszy się z nim zobaczył, dlatego też, tak, jak dziś, będę oczekiwała na pańskie przybycie.

— Zastosuję się ściśle do godziny. Do jutra zatem, pani—rzekł.

— Do jutra! — odpowiedziała Marya, powstając:—Lecz jeszcze słóweczko... nie znam pańskiego nazwiska...

— Lucyan Labroue—odpowiedział młodzieniec.

— Lucyan Labroue... — powtórzyła — będę pamiętała. Bądź pewien, panie Lucyanie, że już niejako należysz do naszego domu...

Młodzieniec, skłoniwszy się, z sercem pełnym radości wyszedł z salonu. Marya, stanąwszy w oknie, śledziła go wzrokiem, gdy przechodził dziedziniec. Przy wyjściu po za sztachety żelazne Lucyan odwrócił się i pożegnał ją ukłonem. Spojrzenia ich się spotkały. Marya odpowiedziała nawzajem gestem pozdrowienia, poczem cofnęła się w głąb salonu.

— Lucyan...—powtórzyła półgłosem—czyni zaszczyt panu Darier—oblicze jego wyraża uczciwość i szczerłość... Widziałam go po raz pierwszy, a zdaje mi się, jak gdybyśmy znali się oddawna. Jestem pewna, że on podoba się memu ojcu... Trzeba, żeby ojciec powierzył mu kierunek robót w fabryce... tak... trzeba... ja tego chcę i tak być musi!

Tu siadła przed ogniem kominka, pogrążając się w zadumie.

Paweł Harmant powrócił tego wieczora, jak o tem doniósł telegramem. Marya, pragnąc coprędzej z ojcem się zobaczyć, wyjechała naprzeciw niego na stację północnej drogi żelaznej.

Ujrawszy swą córkę, milioner uderzony został boleśnią zmianą w jej fizyognomji, jaka zaszła podczas jego podróży. Wiemy, iż ów nędznik, pomimo wszystko, uwielbiał swe dziecię. Po raz pierwszy ujrzał niebezpieczeństwo, jakiego dotąd nie spostrzegał. Po gorącym powitaniu, pytał córkę, co zaszło podczas jego nieobecności. Dziewczę objaśniło w kilku słowach, nie jednak nie wspominając o Lucyanie Labroue.



Milczenie to było wynikiem planu, który wkrótce poznamy.

— Mów mi przedewszystkiem o sobie, drogie dziecko— rzekł Harmant — okrywając córkę pieścizotami; widzę, że jesteś więcej cierpiącą niż przed moim wyjazdem...

— Zdaje ci się, mój ojcze—odparła wesoło.—To pewna, że podczas twojej nieobecności czas włókł mi się nieskończenie wolno, nuda ta jednak nie wywarła na mnie szkodliwego wpływu. Nie jestem cierpiącą, przeciwnie, czuję się być swobodną, uradowaną i zapewniam cię, iż moje zdrowie jest w doskonałym stanie.

Na nieszczęście, nagły atak kaszlu zadał kłam słowom dziewczęcia, napełniwszy Jakóba Garaud boleścią i niepokojem.



KONIEC TOMU II-go.



Odkwaszone

10-2011

